



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Harv 7111.7.14

THE SLAVIC COLLECTION



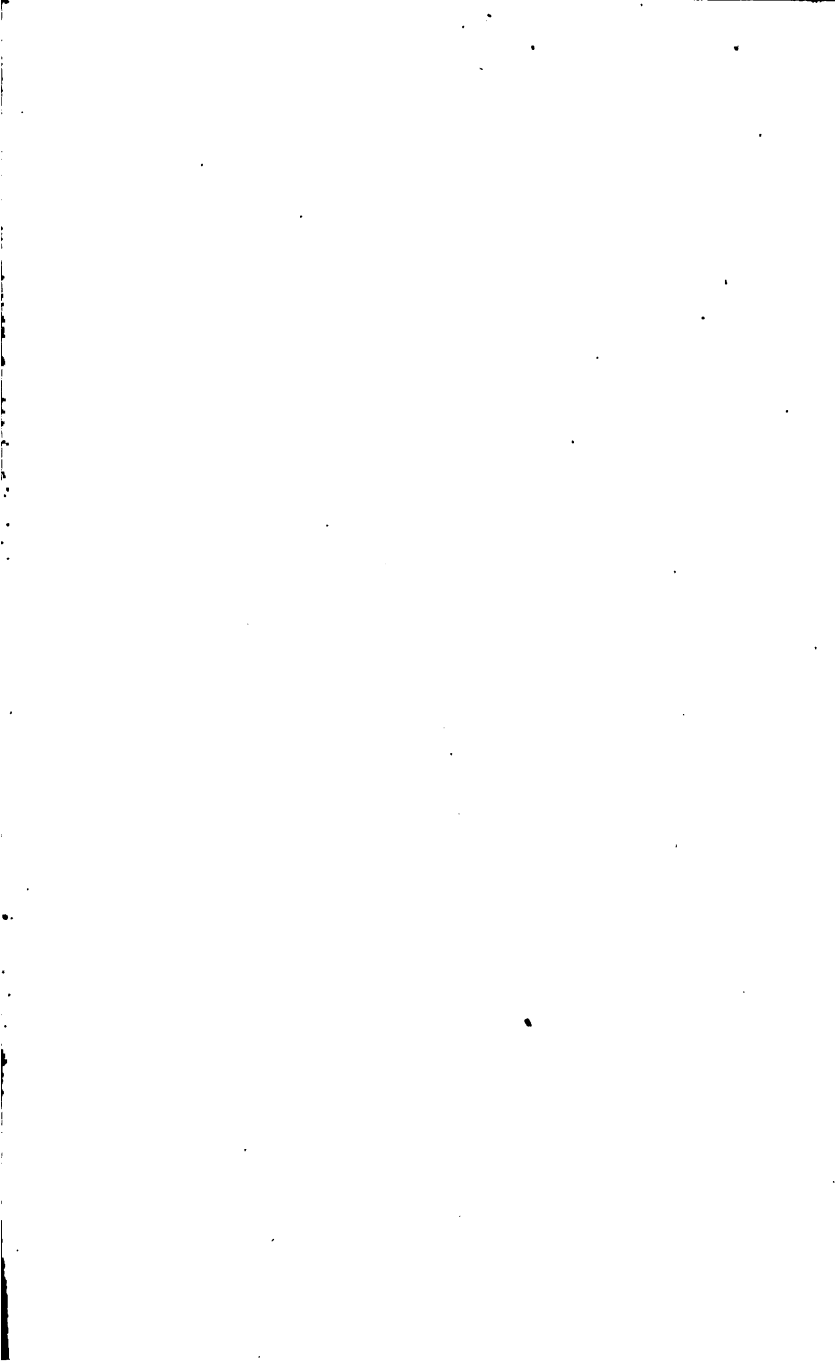
Harvard College Library

GIFT OF

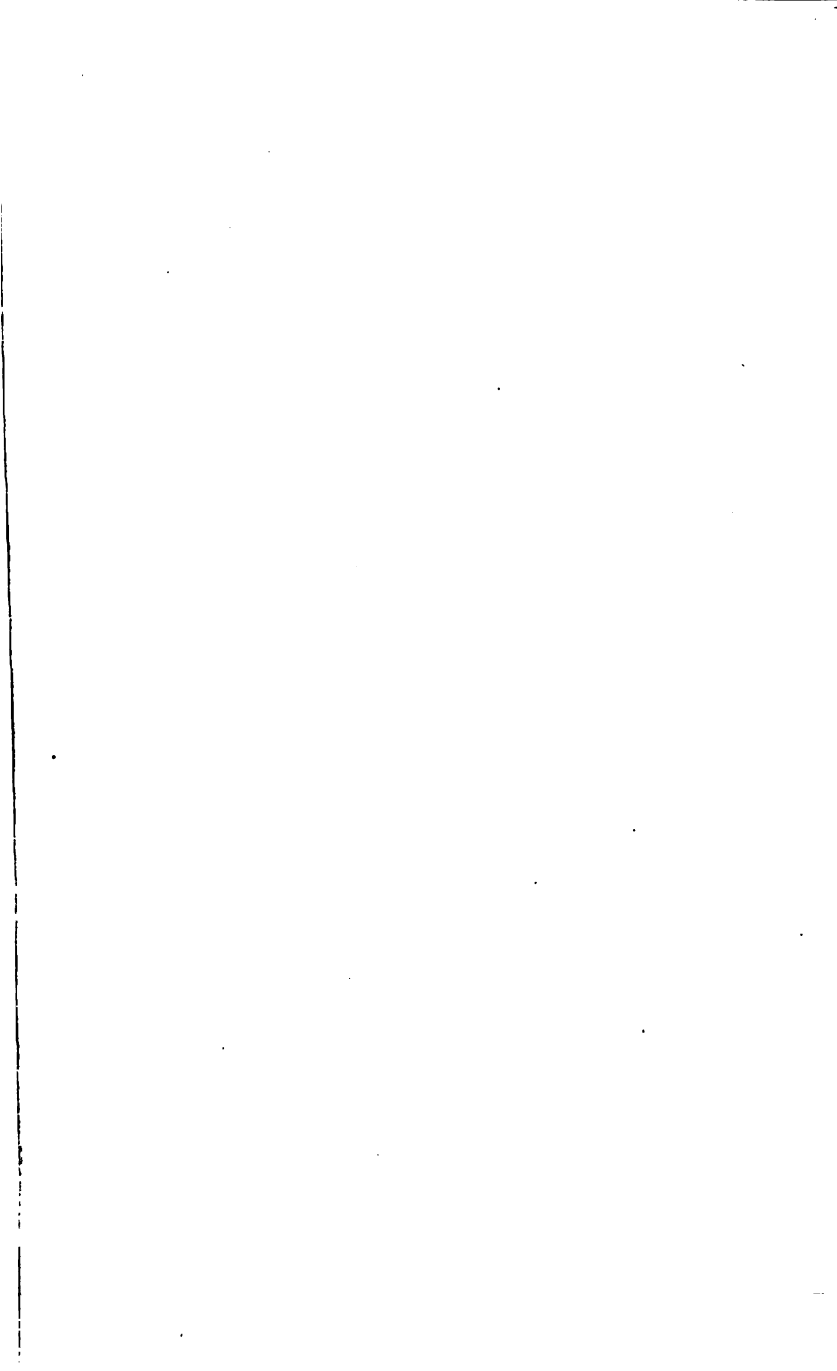
Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

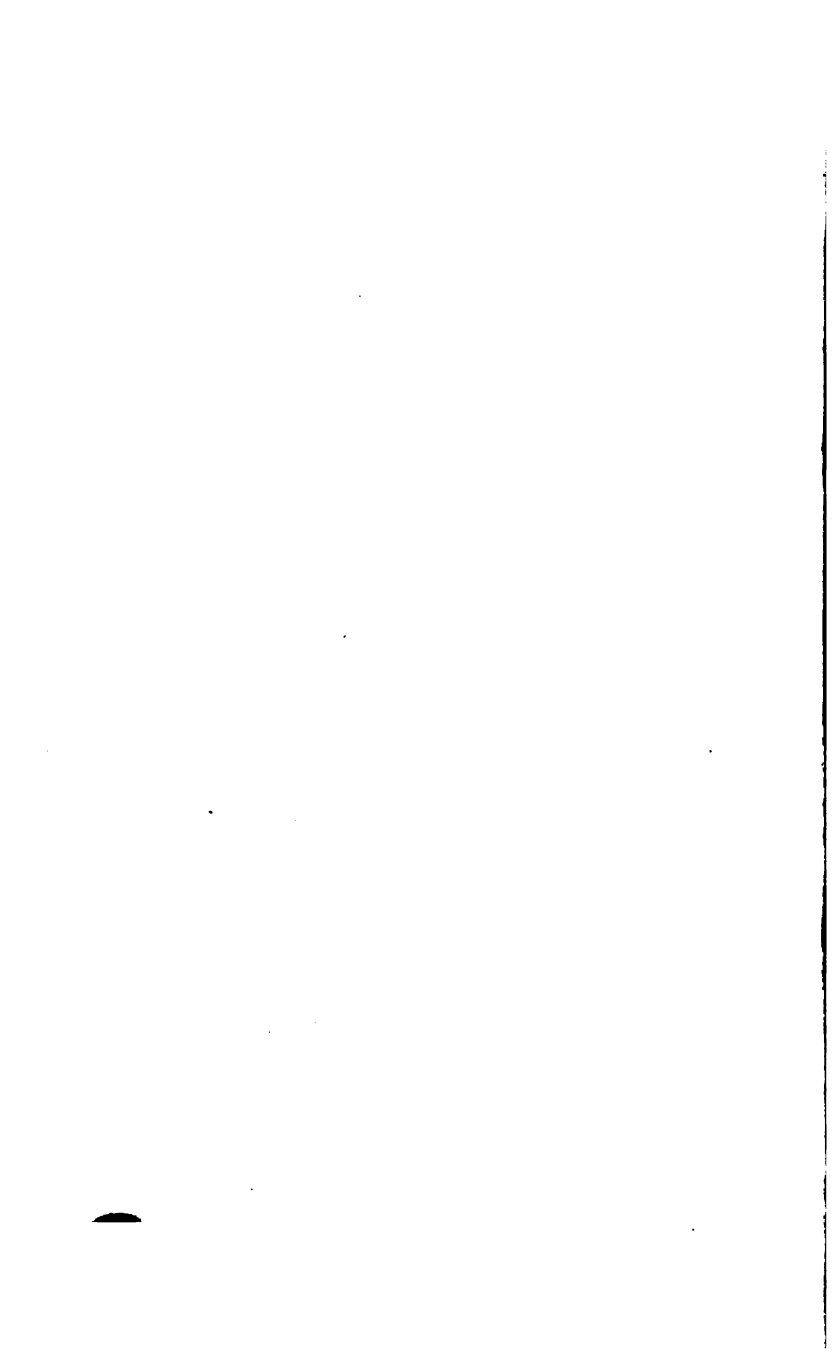
(Class of 1887.)

Received 1 July, 1895.









when we were young

Reminiscences from a travel
journey over the wide world

by J. Gordon

Leipzig 1871

(Polish)

Slaw 7111.7.17

20

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

63

TOM SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI.

GDY SIĘ BYŁO MŁODYM.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

PO

SZEROKIM ŚWIECIE.

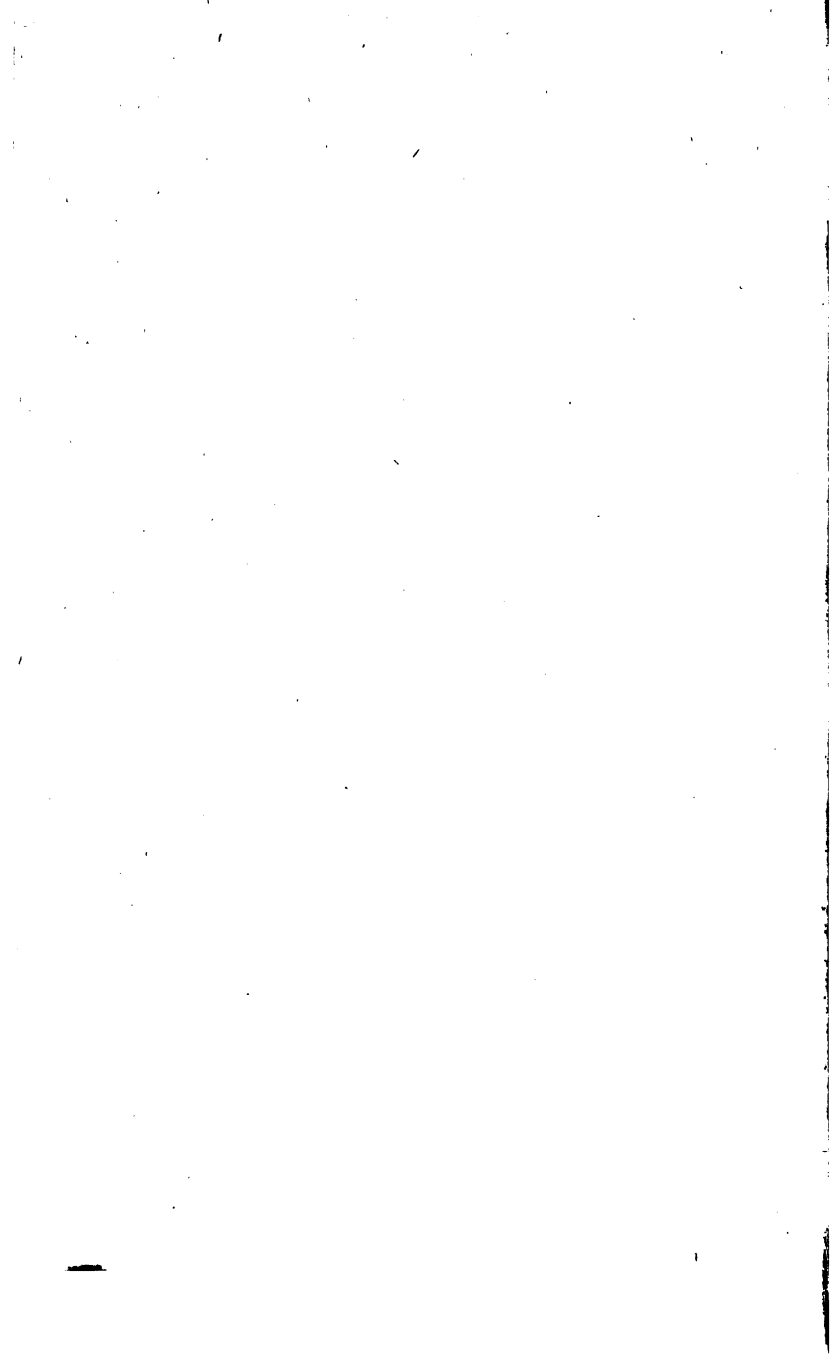
PRZEZ

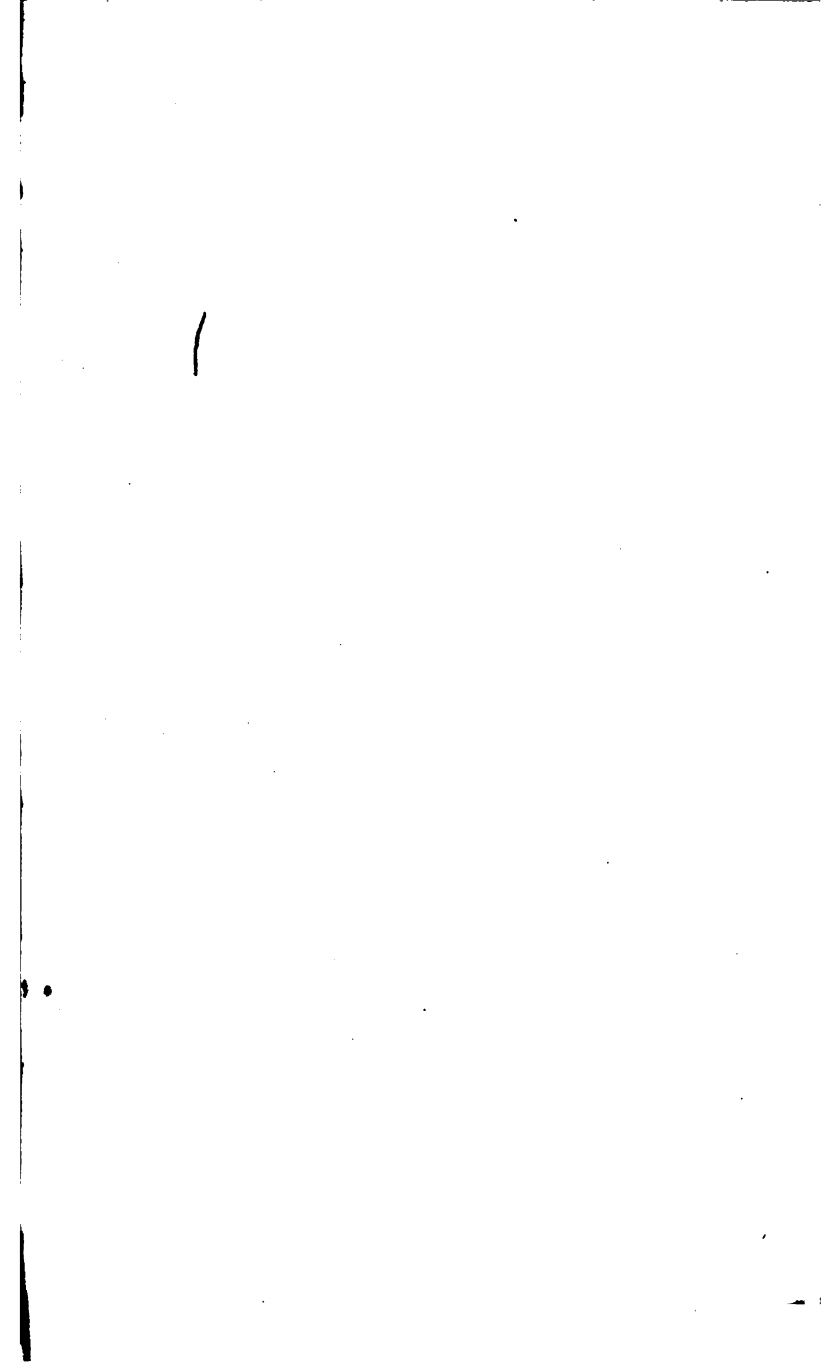
J. GORDONA.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1871.





3

GDY SIĘ BYŁO MŁODYM.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

PO

WIELKIM I SZEROKIM ŚWIECIE.

SZEROKIM ŚWIECIE.

PRZEZ

Jakób
J. GORDONA.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

—
1871.

12/21

GDY SIĘ BYŁO MŁODYM.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

PO

WIELKIM I SZEROKIM ŚWIECIE

SZEROKIM ŚWIECIE.

PRZEZ

Jakób
J. GORDONA.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

—
1871.

Slav 7111.7.14

Harvard College Library
Gift of
Archibald Cary Cochrane, Ph. D.
July 1, 1896.

RECEIVED JUN 29 1896

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
I. Pierwsza miłość	1
II. Ślub duchów	15
III. Nie ma złej drogi do mojej niebogi	25
IV. Etap	39
V. W stepach	47
VI. Przygoda z Kozaczką	57
VII. Chata młodocy i huragan na pustyni	71
VIII. U młodocy włos długi, rozum krótki, ale serce tęgic	83
IX. W świat szeroki	93
X. Tęsknota	105
XI. Grobowiec Poniatowskiego. — Zakład Brockhansu w Lipsku	115
XII. Romansik z dewotką. — Spotkanie z nihilistami	127
XIII. W Heidelbergu	141
XIV. Strasburg. — Chciwość teutońska	149
XV. Klęski i pożytki wojny. — Katedra strasburska	161
XVI. Otóż i Szwajcarja. — Obrońcy Polski	169
XVII. Pomnik Kościuszki w Solurze	177
XVIII. Wrażenia Bernu. — Pułkownik Lelewel	189
XIX. Vanitas Vanitatis	203
XX. Genewa. — Lozanna i więzienie w zamku Chilon	211
XXI. Podróż na górę św. Bernarda	223
XXII. Spoczynek w monasterze	233

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

GORDON, Gdy się było młodym.

1



I.

Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fall —
Wtem go raptem do portu porywają wody:
Wybiegi na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile . . .
I już nie pojechał dalej! . . .

Jan Jakób Russo pisał przez lat dwadzieścia jedną z książek swoich, którą nazwał Spowiedzią; Lamartinowi zarzucano, że ogłosił drukiem „Zwierzenia się“. Nie mam bynajmniej pretensji do sądenia, czy właściwem było znakomitemu filozofowi i wielkiemu poecie, stojącym na świecznikach swojego wieku, jako wzór dla żyjących, wydawać na jaw najdrobniejsze szczegóły przygód osobistych, ale niech mi wolno będzie rzucić na papier kilka rysów z mojej przeszłości, zacierających się z wolna pod zgliszczami ubiegłych pamiętek. Jest to obecnie potrzebą serca mojego, tak dalece, że coś mię prze mimowolnie do stolika; chwytam za pióro, aby uratować owe drogie wspomnienia od zupełnej zagłady, wyrwać je nicości, gdyż nikną już one niestety, niby stado ptaków odlatających na jesień.

Człowiek, gdy wszystko koło niego umiera, umrzeć całkowicie nie może; jeśli zostawia niezatarte ślady po sobie, już nie powiem czynów swoich, których nikt częstokroć nie widzi, żadna sława nie nagrodzi, żadna trąba nie rozgłosi; owych czynów o tajemniczych tryumfach, które kwitły i woniały samemu tylko Bogu; lecz ten sam człowiek nie umrze jeszcze, jeśli pozostawi bodaj ślad myśli i uczuć, składających

ciche dzieje żywota; a osobistość jego, jego indywidualność sięga po za czas i przestrzeń, bo przenika grób nawet, zdobywając na tym padole wieczność dla siebie. Pomniki myśli twardsze od spiżu.

Cokolwiek bądź, widzi on się tak drobnym owadkiem na tym planecie, iż pragnie co prędzej zacząć się o niego czemkolwiek, choćby kartką papieru, pocieszając się nadzieją, że skoro przeniesie się do krainy duchów, jeszcze nie zupełnie tu zginie.

Stary wojskowy na przykład, co obszedł w życiu i morza i kraje, nie piśmienny, opuszczony samotnik, zwykle szczepi przed chatą swoją drzewka, co go przeżyć mają, okrywając zielonym wiankiem miejsca, w których błogo marzył o wszystkim, co kiedy kochał, co lubił, z czem myśl za młodu skojarzył.

Wszak Fenix starożytnych odradza się ponoć zawsze z popiołów.

Dziad — czujący się bliskim zgonu, zdąża do rodzinnej wioski, w nadziei, że tam przynajmniej westchnie po nim sędziwy Bartosz, pod dachem którego z młodu głowę chronił, i że wierny pies zawyje na jego mogile.

Katon przed śmiercią trzyma w jednej ręce trupa, a w drugiej rozprawę o nieśmiertelności duszy.

Wallenrod przed wypiciem trucizny każe żyć Alfowi, aby rozniósł sławę jego po szerokim świecie.

Słowem, życie ludzkie jest nacechowane dwoma ostatecznościami: śmiercią i odrodzeniem na ziemi. Mówię „na ziemi“, gdyż jaki ma zakres dziedzina ducha naszego, niech co chcą o tem prawią mędrcy i proroki, ja zaś rzeknę: nie wiadomo!

O wy, niebiańskie ptaszyni! o wy, czary mej miłości! nie uciekajcież więc tak szybko odemnie! . . . Chwilkę, jedną chwilkę, zostawcież mi przecież czas pożegnać was na wieki!

Jakże wy dziś snutne, choć z pogodą na czole; jakże wesole, choć z łezką w źrenicy; a jakże, o mój Boże! zamglonym już promieniem błyszczą wasze wdzięki?! . .

Bo niedługo młodość świeci,
Z młodością złotą, złoty wiek uleci!

Ach — bodaj to młodość! Wszak w każdej życia dobie mile ona dla nas jaśnieje, choć już zagrzewać przestała. Toż i księżyc nie grzeje, a jednak jakże on piękny, jak uroczy. Nie darmo któryś z poetów wyrzekł, że wspomnienia są jako ptaszki, przyspiewujące naszej starości. Tak z po za krepy osłaniającej przeszłość, jaśnieją one zawsze i wszędzie na szarej kanwie żywota. Pośród tysiąca zwyczajnych przygód zalatuje do naszego ucha echo drogich wspomnień i dobrze znajomych; — a ile takich wspomnień, tyle krynicznych strumieni dla odświeżenia ducha, strudzonego tą ziemską pielgrzymką. Nieszczęsny, kto ich nie zaznał — do kogo się ani razu nie uśmiechnęły barwy tęczyowych promieni, kto urodził się, wzrastał i istniał jak kamień.

O wy, czciciele matematyki; najnielogiczniejsi sekciarze oddzielnej, właściwej wam samym logiki; wy pseudo-mędrkowie, co to nie jesteście ani zimni, ani goręci, lecz ckliwoletni; wypasieni, porządni i poważni na pozór; przyuczeni najpiękniejsze dzieła wszechstworzenia rozczyniać w chemicznych tygielkach; dla których rajska sukienka uludy nie ma żadnego powabu; wy młodzi starcy, coście usłuchali wykrzyku cara: „Precz z marzeniami!“ — wy nakoniec samoluby, coście nic w życiu nie ukochali, wyjąwszy siebie samych — jakże smutne przedstawiacie studjum!

Czy ty żyjesz, nadobna Wandziu? czyli pamiętasz, jakżeśmy oboje, szczęśliwi, ująwszy się za ręce, płasali po nadwiślańskich łąkach, zbierali niezabudkę i słuchali pienia słowików? . .

Wandzia była to prawie rówieśnica moich rannych latek, przyjaciółka młoda, cichej wioski wychowanka, której serce, bijące niewinnym świętym zapałem, w milczeniu wielbiłem, której krasę podziwiałem tyle, której się wszyscy wraz ze mną dziwili. Było to dziewczę w pierwszym brzasku jutrzeńki, podobne do różanego pączka, zamkniętego w sobie, mało się ulatniającego, atoli tak pełnego uroku.

Miała lat szesnaście, gdy ją poznałem — ów wiosenny

pączek. Nie należała ona wprawdzie do piękności klasycznych, co to bywają opiewane przez poetów i służą za model dla malarzy; lecz za to w jej postaci lotnej, giętkiej, eterycznej, w całym jej ułożeniu malował się wyraz nieporównanej słodyczy i łagodności.

Wysmukła, blada, z jasną główką blondynka, z pociągłą twarzyczką, z oczami ciemno szafirowemi o długich i gęstych rzęsach, lubiła się niekiedy zamyślać; a wtedy zdawało się, iż patrzy ona wewnątrz siebie, że się przygląda swej duszy z rodzajem melancholicznego omdlenia, i że z jej ramion lada chwila skrzydełka się wysuną, aby dopełnić postaci anioła, który nie powinien dotykać się ziemi, aby się nią nie skalać.

Oto portret mojej czarodziejki małej; a jakieśmy się poznajomili, opowiem:

Działo się to w Warszawie. Obciążony w mundurek studencki z czerwonym kołnierzem, poszedłem ze zlecenia na ulicę Marienstadt. Pan inspektor gimnazjalny prosił mnie bowiem, abym tam wziął pod swoje zwierzchnictwo chłopca nieuka z klasy początkowej.

Przybywszy do jego mieszkania, zastałem tylko dwie panny stojące na środku pokoju, zatrudnione wyciąganiem płótna, dotąd nie wiem na jaki użytek. Znacznie starsza z nich szatynka, nieco podeszła, która zakrawała już na arcypannę, uśmiechnąwszy się, wskazała mi fotel.

— Proszę siadać — rzecze — domyślałam się, kto pan jesteś, oczekiwaliśmy pana. Pani L., moja ciocia, wyszła na przechadzkę z Kostusiem, lecz wkrótce powróci. Jakże się ucieszysz . . .

Jej towarzyszka zarumieniła się lekko, nie rzekłszy ani słowa. Jak lilja śnieżna i wspaniała, pochylona pasowała się biedaczka ze swem płótnem, czyli raczej ze starą panną, która będąc mocniejszą, pociągała ją ku sobie.

Nie czekając długo, pospieszyłem jej na pomoc. Wtedy to ujrzałem z bliska jej cudowne oczy — dziwo — marzenie — i usłyszałem dźwięk głosu, który mię na wskroś przeniknął. Przebóg! cóż to za głos — dotąd brzmi w mojem sercu, choć milczy dla ucha. Głos ten był cichy, tkliwy

i jakaś uroczysta smętność w nim się rozlewała; a miły wyraz bladego oblicza dziewicy, uwydatnionego czarną żalobną suknią, budził mimowolnie żywe zajęcie, połączone z uczuciem podziwu i uszanowania.

To ona, Wandzia — sierota na opiece, co dopiero opuściła pensję!

Jej koleżanka, Marynia, wezwana po coś przez służącą, zostawiła nas samych; wtedy zająłem jej miejsce. A tak, prowadząc gawędkę z ex-pensjonarką o wszystkim i o niczym, stojąc naprzeciw niej, pociągaliśmy się ku sobie, jak dwa magnesy, za pomocą nicianego rąbka. Nieoszacowany rąbek! . .

Aliści nadchodzi gospodyni domu z synkiem, owym nieukiem Kostusiem, i zmienia się scena w salonie. Moja czarodziejka opuszcza mię, zabrawszy swój zwitek, idzie do stołu i przykrawywa jakąś bibulastą formę, ja zaś staram się zdobyć na powagę w obec nowego ucznia, przedstawionego mi przez matkę.

Pierwsza korepetycja odbyła się świetnie. Damy mnie słuchały, będąc obecne w salonie podczas lekcji. To mi dawało wymowy. Czując się trochę strudzonym, nabierałem natchnienia, spojrzawszy na skromną minkę Wandzi, zajętej ze spuszczonemi oczyma robotą.

Przed odejściem złożyłem jej najzgrabniejszy ukłon, na jaki się tylko zdobyć mogłem — czułem, że się obejrzała za wychodzącym. Nazajutrz znowu nie zastałem pani L., nie gniewałem się wcale o to — Wandzia już mnie traktowała z pewną zażyłością, jak gdyby swego krewnego. Nie posiadałem się z radości, gdyż dusza moja tak jej właśnie potrzebowała. Dojrzywałem wcześniej.

Upłynęło kilka tygodni. Pani L., dowiedziawszy się, iż daleko kwateruję od jej domu, i że tem samem uczęszczanie me na lekcje jest połączone z poświęceniem, ofiarowała mi przy jednej ze swych lokatorek schludny, elegancki pokój. Oczywiście nie domyślała się poczciwa matrona, jakie następstwa ztąd wyniknąć mogą. Rozumie się, że ofiara została skwapliwie przyjętą, bo zaraz na drugi dzień przeniosłem się do jej kamienicy.

Uważałem się wówczas za nader szczęśliwego, tak mi już niczego nie trzeba było. Wszystko się bowiem uśmiechało ku mnie; młodość, lube igraszki z kolegami ławy szkolnej, wiara w przyszłość, a nadewszystko blondynka, którą już pokochałem był jak własną siostrzyczkę.

Ilekrót razy powracałem w południe z gimnazjum, ujrzałem ją w oknie. Na biurku u siebie znajdowałem niekiedy bukiet. Któżby go splótl, jeśli nie jej paluszki? Sąsiadka ma, podeszłego wieku osoba, żona urzędnika, u której właściwie mieszkałem, kochała ją też bardzo, gdyż niepodobna było jej nie kochać.

Często w licznym towarzystwie wychodziłem z nią na spacer — robiliśmy razem wycieczki za miasto, podczas których przez jakieś przyjazne losów zrządzenie zawsze znaleźliśmy się przy sobie; często też wybiegaliśmy oboje do domowego ogródka i łapali motyle; ale i zdarzyło się, że zatopieni w mrzonkach, postępowaliśmy w milczeniu obok siebie: ona z pochyloną główką, zadumana, zamyślona, z kropelką rosy zwilżającej jej twarzyczkę — a ja wpatrujący się pilnie w ten żywy obraz zachwyty ze szczególnem wzruszeniem, z którego bym napróżno był usiłował zdać sobie rachunek.

Wtedy to zdawało mi się dostrzegać, że starsze panie nie spuszczały z nas badawczego oka, i że mężczyźni się uśmiechali, spoglądając z ukosa na siebie.

O! ten uśmiech, to straszne bluźnierstwo przejęło mnie oburzeniem, a nie przewidywałem niestety, prostaczek Chrystusowy, że był on błyskawicą, która miała zrządzić uderzenie piorunu.

Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy pewnego pięknego poranku zatrzymawszy się na schodach, aby przejrzeć afisz, o niczem złem nie myśląc, słyszę na raz głosy dwóch kobiet rozmawiających podemną, nie widząc mnie wcale.

— Nie miała baba kłopotu, kupiła se prosię — rzecze pani L. — a to czysta kara boża! I co tu począć! . . . On mi tak potrzebny . . . zbliżają się egzamina . . . bez niego .

ani pomyśleć o promocji Kostusia! . . . O! ta niegodziwa Wanda — to ona wszystkiemu winna!

— Nie martw się pani — odpowie dźwięczny, srebrny głosik przyjaciółki pani L. i jej lokatorki — może to jakoś wszystkiemu się zaradzi, że jak to mówią, będzie i wilk syty i owca cała.

— No proszę, ktoby się spodziewał? — przedłużał pierwszy głos — jemu jeszcze gramatyka z kieszeni wygląda, a ta już sobie głowę nabiła smar . . . kaczem . . . i przeszkadza mu do nauki; a już przecie dorosła pannica, powinna mieć rozum . . .

— Wie pani co?

— Nie wiem.

— Udawaj pani, że nic nie dostrzegłaś i basta! Zostaw mi nad nim wyłączne panowanie, a spodziewam się, iż go z tego szalu ulecze. Spuść się tylko na mnie! —

Hm! hm! — pomruknąłem — ciekawym, jaka to będzie kuracja? . . . Gdy tymczasem głosy zniknęły, wydostawszy się na ulicę.

Winienem tu dodać, że dama, co mię leczyć zamierzyła, była w swoim rodzaju prześliczną, młodą rozwódką, córeczką stolicy Mazowsza, z którą poznałem się od dni kilkunastu za pośrednictwem właścicielki domu. Imię jej Malwina.

Malwina przedstawiała swą osobą typ Kreolki, bardzo niebezpiecznej dla każdego, kto na nią spojrzał. I wiedziała o tem dobrze. Nader miłowała zwierciadła. Była to sobie prawdziwa, rasowa, arystokratka rodu — bo piękna. Zawróciła nie jednemu głowę.

Otóż ciekawy byłem, jakie to ona ma leki, ta Malwina, na uśmierzenie miłości? . . .

Ciekawość ta nie opuściła mnie jeszcze, gdy na zegarze zamkowym ozwała się spiżowym jękiem godzina przeznaczona na naukę z Kostusiem. Tym razem zastałem panią L. siedzącą poważnie na kanapie i z miną surową robiącą pończochę. Kilka atoli słów, które raczyła przemówić do winowajcy, były bardzo uprzejme i tchnęły życzliwością, lecz za to na twarzy jej kuzynki Maryni, z argusowemi małemi,

zawsze przymrężonemi, kociami ślepiętami, malowała się złośliwa ironja, która ciężyla mi na sercu kamieniem.

To dopiero jęzda, ta stara Marynia! — pomyślałem sobie.

Ale otóż nadchodzi z drugiego pokoju Wanda i wita mię zaledwie dostrzeżonem, zimnem na pozór skinieniem. Niespokojny, zatrwożony, spojrzałem w jej oczy: były otoczone czerwoną obwódką — wyraźnie płakała w skrytości nieboga.

Zrozumiałem wszystko, krew ma zawrzała, gdy nadobne dziewczę zawróciło się, wzięło jakąś książkę i znikło.

Tego dnia Kostuś był większym niż zazwyczaj nieukiem, którego raczej trzeba było oddać do szewca, lub wysłać na wieś, żeby gęsi pasał, bo ja odpowiedzialności za jego niedbalstwo brać na się nie chciałem. Tego dnia także lekcja trwała krócej niż zwykle. Pani L. zaś zapraszała mię przed odejściem na konfitury.

Lecz nie do konfitur mi było. Pobiegłem na chwilkę do siebie, zkąd postanowiłem pójść na przechadkę, aby odechnąć świeżem powietrzem. Potrzebowałem roztargnienia, bo zaprawdę duszno mi było.

W przechodniej komnacie sąsiadki zastałem Malwinę, zajętą żywą rozmową z mą gosposią. Skoro ukazałem się w progu, obiedwie ucichły, młoda zaś rozwódka figlarnym powitała mię uśmiechem.

— Dokądże to tak spieszenie? dokąd? — zawołała.

— Na spacer, proszę pani, na spacer . . . dzień mamy cudowny.

— Ach prawda! dla tego też mamy i jednakowe chęci . . . posłałam już po dorożkę . . . jedź pan ze mną, proszę . . . będzie nam weselej.

— Aaa! . . . i owszem — wyjęknąłem, gdyż zaświtała mi myśl, że się może czegoś od niej wywiem.

Malwina wyperfumowana, strojna, krochmalna, wyrurkowana, wyglądała jak królowa. Podąłem jej rękę, zaprowadziłem do powozu i potoczyliśmy się Krakowskim przedmieściem i Nowym Światem do Łazienek królewskich.

Malwina promieniała wdziękami, którymi przyroda hojnie

ją wyposażyła. Była miłą, fosforyczną, czarującą podczas przejażdżki. A jaka wymowa! co za śliczne, trafne poglądy! ileż poezji i dowcipu w każdym jej wyrazie! . . . do serca każda przebijała głoska. Jakżeż ona umiała zajmująco opisać owe Łazienki, ową ustronń wydobytą z moczarów i bagien, a przemienioną skinieniem różczki magicznej w kunsztowne gniazdeczko, wysłane puchem łabędzim, na marmurowych osadzone płytach!

Długośmy się przechadzali po zielonym, rozkwitniętym gaiku, rokosznie oblany promieniami majowego słońca; aż stanąwszy na spoczynek przed posągiem, który bohaterskiemu królowi wystawił zniewieściały monarcha, otoczony kobiet i dworaków gronem, ów twórca Łazienek, co ręką zuchwałą a sercem spodlonem trzy razy podpisał rozbiór państwa swego — Malwina zaczęła opowiadań anegdotki o miłostkach tego wiarołomnego króla epikurejczyka — niedołęgi.

Uczucia, jakiem wtedy owładnięty zostałem, oddać trudno. Ktoby podobnego wrażenia w całej pełni chciał doznać, trzeba, aby był na mojem miejscu, obok owej zalotnej, elastycznej, jaśniejszej potęgą i siłą tryskającego życia, pysznej Warszawianki, obok tej syreny, przemawiającej językiem tak dla mnie nowym, rokosznym, lubieżnym.

Ten język pieszczotliwy — ta kobieta przy mym boku — to jej szczebiotanie, któremby zrzuciła i gwardzistę z konia — tudzież wytworne wdzięki greckich bogiń wyglądających z Łazienek, już to nagich, już obleczonych w leciuchne, z białego marmuru uwite, niemal przezroczyste, opadające szaty — lazur wód — pogodne niebo — zalatująca woń pomarańczowego kwiecia — ptasząt zalecanki — wszystko to razem wzięte odurzyło mię, upoiło; zapomniałem nawet o biednej, tęsknej Wandzi, gdyż dusza ma utonęła w Malwinie.

Bo i cóż to jest młodzieniec?
Istność marna — senna — płochą,
Jutro rzuci, co dziś kocha,
Dzikić marzeń potępieniec.

Zaiste, wielka to prawda w ogóle; lecz ja byłem wyjątkiem, i powyższy wiersz na szczęście do mnie zastosować się nie dał. Posłuchać proszę:

Malwinę odprowadziłem pod wieczór do jej mieszkania. Zaprosiła mię na herbatę. Zaledwie wstąpiliśmy do salonu, ledwie zdążyła zrzucić kapelusz i zarzutkę, utrudzona, na pół zemdlona, padła na najbliższą sofę, szukając ochłody w wachlarzu.

Byliśmy sami; dzień był gorący, skwarny nawet; spuszczone żaluzje nie dopuszczały mającego się ku zachodowi słońca; wyszukane kwiaty i krzewy wychylały romansowo pachnące, różnobarwne listki z wazonów ustawionych w oknach; w kąciuku z pośród ciemnych kaktusów wyglądał z postumentu jasny amerek; miły zmrok panował w komnatach Malwiny. Nad kominkiem wisiał wybornego pędzla obraz, przedstawiający kąpiące się Najady. Jaki salon, taka pani.

W każdym ruchu Malwiny, rozciągniętej na sofie, przebijało się pewne zaniedbanie i miękkość, będąca cechą delikatnych, pieśczołliwych niewiast, która uderzającą stanowiła sprzeczność z jej dzielnością i sprężystością zwyczajną. W ogóle jakiś pociąg wydzielał się z całej jej postaci, podobnie jak woń ulatniająca się z rośliny.

Te iskrzące, czarne oczy, usta wiśniowe na pół otwarte, z kąd wyglądały zalotnie dwa rzędy perel, gorącem otoczone tchnieniem; szelest jedwabnej sukni, w fałdach której siedział szatan kusiciel ukryty — wszystko to oddziaływało na mą wyobraźnię i wzbudziło . . . co? . . . sam nie wiem; przedej nie dające się wyrazić kłopotliwe położenie, niż jakie inne uczucie, pomimo że nie byłem Serafinem, ani też wychowano mię na wzór panien, co nic w życiu nie czytały, wyjąwszy „Złoty Ołtarzyk“. Prawdę zaiste powiadają Paryżanie: *Si la jeunesse savait!* . . .

Snać, że Malwinie ciężył prunelowy bucik, bo go zrzuciła z kształtnej, acz nie zbyt małej nóżki, którą gdy założyła na drugą nóżkę, nie podobna było nie dostrzedz czerwonej podwiązki na bieluchnej opiętej pończosze.

— Aj! jakże mi i ten drugi bucik dopieka — dodała po chwili z kapryśno-figlarną minką.

I drugi bucik odleciał na stronę.

— A i ten niegodziwy grzebień, co mi zawadza!

I spadły w nieładzie na alabastrowe ramiona gęste sploty kruczych warkoczy.

Wtem przyniesiono herbatę.

Popijając, szczebiotaliśmy to o tem, to o owem. Malwinie podobały się powieści Balzaka, a nie smakowała w medytacjach Lamartyna, gdyż lubiła czytywać książki francuzkie, nadewszystko powieści, bo te wedle jej zdania wszędzie wniknąć, wszystko objąć potrafią.

Przez otwarte drzwi od sypialni przypatrywała się nam ze złoconej ramy Kleopatra, ze źmiją na obnażonem łonie i z okropną na licu boleścią, w którą wprawilo zachwycającą Egipcjankę ukąszenie gadziny.

Portret ten zwrócił moją uwagę. Znalazłem niejaki podobieństwo mojej bohaterki do wizerunku owej królowej, co sobie dobrowolnie śmierć zadała, zwłaszcza gdy Malwina naśladowując jej przemowę, poczęła obiecywać rajskie roskosze temu z niedowiarków, kto się poświęci na ofiarę Izydy, a za to będzie potem smażył się na stosie, upojony puharem wdzięków monarchini, która się sama rzuci w jego uściski — nie wiem dla czego zdało mi się wówczas, że widzę rzeczywistą Kleopatę przed sobą.

— Och! cóż to za obrzydły stanik z tą twardą rogózką — dodała po chwili. — Przez litość, siadaj tu przy mnie... rozepnij mi z tyłu haftki, bo się uduszę. Dobrze... tak, tak!... teraz tylko pociąg za ten biały sznureczek u góry. —

Pociągnąłem tedy za biały sznureczek i stanik opadł, odsłaniając prześliczny biust Wenery medycejskiej.

W oczach mi się zaćmiło i już się szarpnąłem, by pochwycić w objęcia kibić Malwiny, gdy dźwięk fortepianu dał się słyszeć z pierwszego piętra, a z nim śpiew, tkliwym i wdzięcznym zawiedziony głosem:

„Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwszą żądano w zamęcie.“

Ten śpiew łabędzi, ten głos tak był znany sercu mojemu! Tyle on wywierał zawsze nademną potęgę! Powstałem z sofy, wsłuchując się w owe lube pienie. Niewypowiedziany żal i wyrzuty sumienia przejęły mię na wskroś. Zawróciłem się i w roztargnieniu zapomniawszy nawet pożegnać gościnną Malwinę, wyszedłem machinalnie do sieni, nieświadomy dokąd dążę.

Może niegrzecznie postąpiłem. Być to może. Ale inaczej postąpić nie mogłem; byłoby to nad moje siły — gdyż Wandzia blada i cierpiąca przedstawiła się mej wyobraźni.

ŚLUB DUCHÓW.



II.

Do mych piersi drżąca tulę,
Do mych piersi mocno, czule —
Uścisłk płacł mi ućcisłkiem.

Nazajutrz miały się odbywać wielkie fajerwerki na Kraśńskim placu, już nie pomnę, na jaką uroczystość. Dużo o nich gadano w mieście, i umówiłem się był ze szkolnymi kolegami, że się tam zjeździemy.

Przed wieczorem, po odbytej korepetycji z Kostusiem, obaczyłem Wandę, siedzącą samotnie w fotelu na ganku, okalającym podwórzec. Naturalnie, zbliżyłem się do niej.

— Zostań ze mną — szepnęła. — Pani L. zaproszona na wieczór, wzięła z sobą Marynię, a mnie zostawiła w domu . . . bo się na mnie gniewa . . . i myśli, że już z tobą nigdy mówić nie będę . . . zresztą wie, że miałeś . . . pójść na widowisko. Czyż prawda? —

Ognie sztuczne, przyjaciele, towarzysze młodocianych igraszek, przyszli mi na pamięć. Powiedziałem, że zaraz powrócę. Byłem jeszcze oczywiście dzieckiem, chociaż wiekiem starszym od mojej kochanki, czyli raczej owym dojrzewającym dopiero podlotkiem, który łączy między młodzieniaszką i kawalerem.

Pobiegłem zatem na widowisko, a raz zszedłszy się z pocziwymi koleżkami, trudno mi było tak prędko rozstać się z nimi, jak to uczynić zamierzyłem. Później zaś po-myślawszy, że ona zapewne poszła już na spoczynek i że

napróżno spieszyłbym się z powrotem, zabawiłem dłużej, bo aż około godziny jedenastej udałem się do domu.

Lecz cóż to jest? . . . Tam cóż to bieli się przy lampie księżyca? Byłoby to przywidzenie, mając nią nabitą głowę? Jestże to zwodnicza mara? . . . Ale nie — to nie mara — to ona, moja oblubienica, siedząca na ganku w tem samym fotelu, jak ją porzuciłem; nic się w jej ułożeniu nie zmieniło, miała nawet złożone na krzyż ręce, zupełnie tak samo jak przed mojem odejściem; rzekłby kto: udatnego dłuta statua, przyniesiona z jakiegoś muzeum. Lecz nie! takiej statuy żaden Fidjasz, żaden Kanowa by nie stworzył.

Nie zrobiła mi biedna najmniejszego wyrzutu, nie rzekła nic, coby mię dotknąć mogło; zapytała tylko, czy się dobrze bawiłem, ale w tem zapytaniu, w tym jej akcencie, było coś takiego, co mi ukropem padło na serce.

Przyklęknąwszy, ucałowałem jej śnieżne ramiona.

Lecz ona taki miała wówczas głos drżący, przerywany, trwożliwy, tak pełen prawdy, wzruszenia i uroku razem, a sama tak się wdzięcznie ślaniała, że czułem się względem niej być występny; jakiś szczególniejszy proces, nieznan mi dotąd przeobrażenie odbyło się w mem jestestwie. Zamysliłem się głęboko, rozmarzyłem i niepojęte tony przygrywały mej duszy.

Wanda uzacniła mię chrztem miłości!

Wtem do bramy zakołatano. Drgnienie jej dłoni oznajmiło mi dobranoc, i znikła jak strzała. Wryty na miejscu, patrzyłem za odchodzącą, a przez całą tę noc nie zmrzyłem powieki.

Następnego dnia już jej nie widziałem. Podczas, gdy słuchałem kursów naukowych, wywieziono ją na wieś pod jakimś pozorem. Był to dla mnie cios gorszy od gromu. Pamiętam, że na wiadomość o tem wyniosłem się do ogródka i wlaższy między krzaki, pierwszy raz w życiu zapłakałem, ale tak rzewnie, tak tęskno, jak gdyby żal mój nawet był ciężkim grzechem, którego nie godzi się przed ludźmi wyznawać. Zdziaczałem na umyśle — świat wydał mi się niewdzięcznym, pustym i bez barwy.

Pomimo to pani L. była jeszcze grzeczniejszą, niż codziennie, litując się bez wątpienia nademną.

— Proszę — ozwie się pewnego razu — pójsz z nami do teatru, jeżli łaska. Dobrski będzie śpiewał, pan się troszkę rozerwie, co mię wielce ucieszy; gdyż wierzaj mi pan, że bardzo mu życzliwą jestem. Wszak nie znana panu jeszcze opera „Robert djabeł“?

— Djabeł czy szatan, Robert czy Iwan, potępieniec czy opętaniec! wszystko dla mnie jedno; nie ciekawym go oglądać! — zawołałem w przystępie głuchej rozpaczy, opuszczając jej progi.

Byłem wściekły, byłem szalony pod wrażeniem chwili, tem więcej, że zacna matrona, na którą odtąd patrzyłem jak na furję piekielną, jak na obrzydłego potwora, który mi wydarł wszystko, co miałem najdroższego, zmuszoną się ujrzała zmyślać nieboraczka, nie chcąc mi dać adresu swej pupilki, po którą niby przybyli krewni w przejeździe i zabrali ją z sobą, mając zamiar zatrzymać się w ciągu podróży w rozmaitych miejscach, bez oznaczenia wszakże czasu ich pobytu.

Naturalnie, że nie wierzyłem temu wszystkiemu. Z łatwownego stałem się podejrzliwym.

I co tu począć? . . . Roilo mi się w mózgu tysiące różnych pomysłów i kombinacji. Przeróżne i śmieszne układałem plany, jeden lepszy od drugiego. Chaos w strudzonej lepecie! Choćby za cenę krwi dowiedzieć się od niej postanowiłem. Niczem były przeszkody! Serce me bowiem zraniono tak niespodzianie, tak znienacka, tak podstępnie, a tak srogo, iż gotów za to byłem wykląć świat cały, rozszadzać go po kawałku, wypowiedzieć wrogom walkę na ostre bodaj zginąć przyszło!

Lecz przedewszystkiem wypadło jej odszukać. Myśl ta nie opuszczała mię i wzrastała ciągle. Z nią szedłem do gimnazjum, z nią słuhałem jednym uchem wykładu profesora, z nią się spać kładłem i z nią wstawałem, aby westchnąć i śmiertelnie się zadumać. Przyzwyczaio się do rozdziału z Wandą w żaden sposób nie mogłem; wszelkie

pod tym względem rozumowania i perswazje okazały się daremnymi.

Co gorsza, że nieszczęsny ten stan zamieniał się w gorączkowy. Budziłem się ze spieczonemi ustami i znowu też same trawiące mię myśli co i wczoraj, znowu też sama historia, a do tego czarna posępność. Istne męki Tantala!

W oplakany zaprawdę popadłem nastrój ducha, w rozwijającą się chorobę, zwierzając się z mych cierpień jeno starej sąsiadce, o której przychylności dla mnie aż nadto przeświadczony byłem, a która słuchała mię, potrząsając tylko głową; gdy na domiar łoskot daje się słyszeć z mego gabinetu, choć nikogo pod tę porę tam nie było. Mimo-wolnie zadrżałem, jednocześnie wyczytałem przerażenie w obliczu zabobonnej sąsiadki, i dwa stłumione ach! wyrwały się z piersi naszych.

Rzeczywiście, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w alkowie, zawieszony, jak się dowiedziałem, ręką nadobnej Wandzi, upadłszy na krawędź łóżka, ogromnego narobił stuką. Rozumie się, że zła wróżba! Czy nie umarła? . . . czy nie chora? . . . co się z nią nakoniec stało? Matka Boska wyraźnie nas ostrzega o jakimś niebezpieczeństwie . . . Dla czego Wanda przed odjazdem nie pożegnała się z moją dobrą gosposią, do której tak często przedtem przybiegała, aby ją obsypać podarunkami? Pewnie jej nie dozwolono. Przebóg, co znaczy ta cała tajemnica, ta straszna mistyfikacja?! . . .

Te i tym podobne zadawaliśmy sobie naprzemian pytania; aliści drzwi się otwierają i wchodzi . . . zgadnijcie kto? listonosz! . . . który wręcza mi pismo od niej. Błogosławiony mądry, nieoszacowany listonosz! Tak — to od niej — wzrok mnie nie myli — koperta jej własną nakreślona ręką. Co za szczęście, jakaż niespodzianka! Do ust ją przycisnąłem — ową kopertę — i skropiłem łzami, obróciwszy się do muru, aby ich nie dostrzegli profani.

Lecz na rogu koperty dopisano: „pilno!“ Łamię więc co tchu pieczętkę, dobieram się do wnętrza i zaczynam czytać, gdy serce bije gwałtownie.

Ale za chwilę odetchnąłem, długiem, przeciągłem, swo-

bodnem tchnieniem. Moja miłość chodząca nie myślała wcale umierać, ani chorować, tylko smutno jej było i nudziła się na wsi bezemnie. Pomimo to, olśniona promieniami mej wyobraźni, jaśniała uludą, jako osoba niezmiernie zafrasowana z powodu rozstania się z przedmiotem swych uczuć — jaśniała zatem podwójnym wdziękiem! swoim własnym i urojonym przez młodego poetę.

Widzicie, łaskawe czytelniczki, jak to wygodnie rozkochać czasem poetę: ma się wtedy spotęgowane wdzięki!

Cokolwiek bądź, dowiedziawszy się o niej, lżej mi się zrobiło, w duszy się jakoś rozjaśniło i po burzy wstąpiła do niej pogoda. Na Kostusia przestałem się już dąsać, i arcypanna Marynia już mniej mi się brzydką być wydała. I o mało z radości nie zdradziłem się był w obec pani L., która zaczęła się we mnie wpatrywać ciekawa, dla czego ni z tego ni z owego cmokam ją po rękach.

Na szczęście spostrzegłszy się, zmieniłem rozmyślnie humor. Pierwsza przygoda nauczyła mię od razu ostrożności, zacząłem tedy w milczeniu przemyśliwać nad sposobami dostania się do niej, czyli raczej do nich.

Powtarzam: „do nich“, gdyż winienem tu objaśnić, że w jednym liście dwie panienki naraz do mnie pisały i obie mię do siebie przyzywały. Embarras de richesses!

Jedną z nich była, rozumie się, Wandzia blondynka drugą, daleka jej krewna i powiernica, nieznaney mi barwy; przypuszczać należało, że także ładna, bo taką ją znała myśl moja, a więc nie mogła być inną.

Otóż owa piękność nieznanajoma, zapraszając mię na pocieszenie kuzynki do swego domu, a właściwiej mówiąc, do dworu jej ojca staruszka, wyraźnie oznajmiła, że czyni to jedynie, wierząc w mój dowcip i przedsiębiorczość, która jakimś niesłychanym pomysłem wystrzeli zapewne z mej rozumnej czaszki, iżby się do tego dworu dostać, pomimo że opisano mię tam jak węża, i gdzie w razie niezręczności z mej strony zaraz na wstępie poznanym i wydalonym być mogę.

Sliczna historia! jeschcem tam nie przybył, a już mię wyganają. Bądź co bądź, obaczyć je muszę, mianowicie jedną

Dla tego pierwszą mrzonką, która się wylęła w mej „rozumnej czaszce“, było pożyczenie rewerendy od znanego mi braciszka OO. Karmelitów w klasztorze na Lesznie i pójście na wieś po kweście. Lecz znówu myślę: nie znam obchodów zakonnych, trzeba by podgolić czuprynę, szata udanej pokory nie byłaby mi do twarzy, dziewczęta gotowe zachichotać, zdradzę się w obec starego cerbera, chwyci mię na wabika w potrzask, ot, i awantura! A niechże się jeszcze o niej dowie kurator, generał Okuniew, to do kata gotowi i ze szkół wypędzić. Zły to zamiar, trzeba przejść do innego.

Gdyby też przejechać się na wronym koniku, niby syn negocjanta, za skupnem zboża, lub dorózką, u której na przykład koło by się złamało. He! . . . Lecz znówu myślę: znane to sztuki! Wreszcie szlachcic da koło lub go odmówi, pokaże ziarno albo powie że go nie ma — i basta. Przypuściwszy nawet, iż dawnym polskim zwyczajem zaprosi na zakąskę łaskawego gościa, to także nie wiele na tem zyskam. W najlepszym razie zobaczą panny i zaledwie kilka słówek o pogodzie do nich przemówić zdołam, i to jeszcze kwestja . . .

Tak medytując, postępowałem ulicą, gdy wtem w rynku Starego Miasta spostrzegam menażerję pod gołem niebem. Ciekawi widzowie, mnóstwo gapiów z rozwartemi gębami, cisnęło się do małp i patrzyli na nie z zadowoleniem; zdziwione małpy przyglądały się, podrzeźniając gapiom; a szajne katarynka im przygrywała.

Z małpami powędrować? biada! — pomruknałem — gdyż nie potrafiłbym niemi komenderować — może by mię jeszcze podrapały i uciekły . . . kłopot . . . ogromny kłopot. Ale katarynka, to wysmienity, jeniałny pomysł.

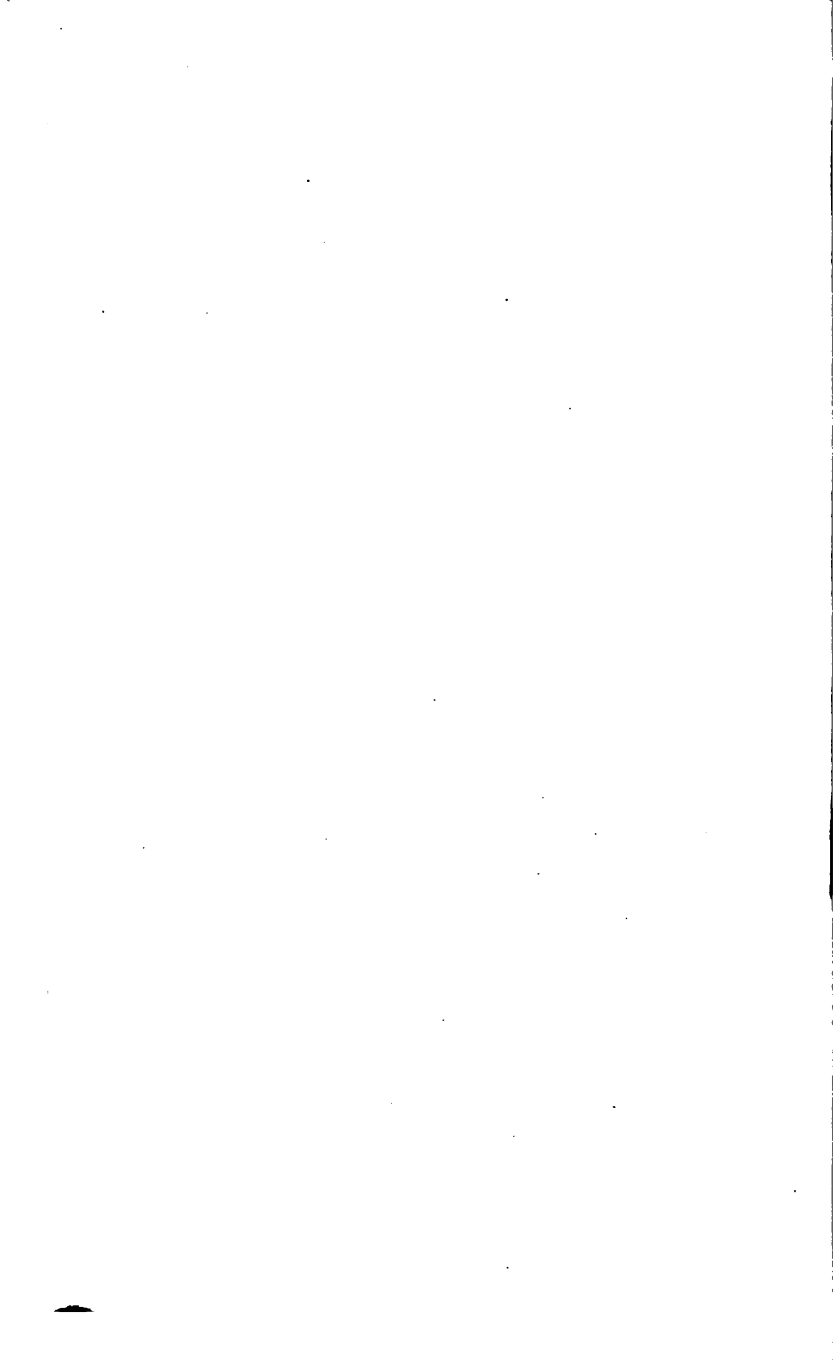
I nie zastanawiając się dłużej, podstąpiłem do koczującej trupy pajaców, zbliżyłem się do dozorczyńni zwierząt, podsadkowej jejmości w cielistych trykotach, i wzięwszy ją na bok, wynająłem od niej grającą skrzynkę na następną dobę, poleciwszy, aby tegoż samego wieczora o zmierzchu przyniesiono ją cichaczem do mego mieszkania. Nazajutrz bowiem postanowiłem o świcie wyruszyć z nią w drogę. Łakoma na pieniądze Niemka po niejakiach ceregielach zgo-

działa się i na to. Ofiarowała mi tylko w dodatku, niby do usługi, jakiegoś chłopaka.

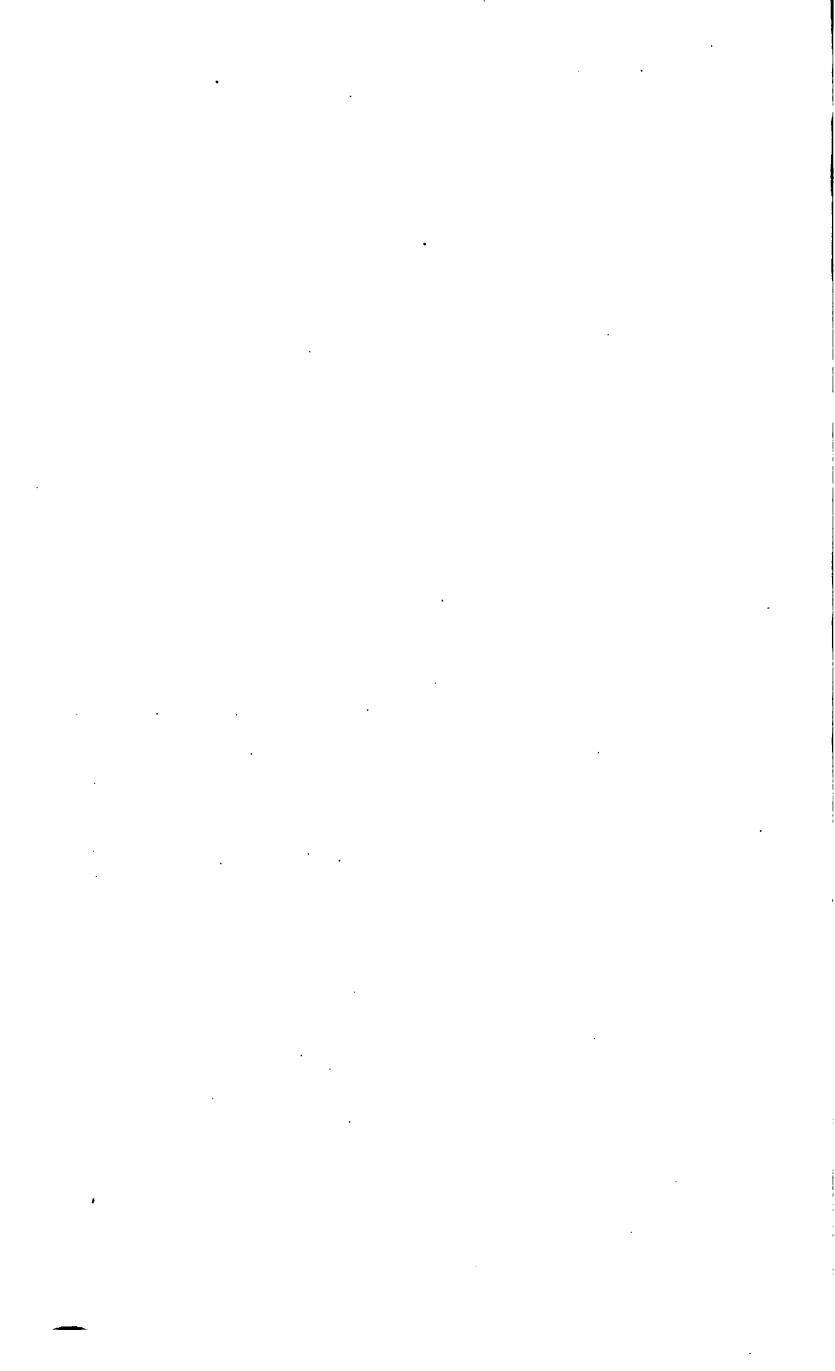
Miałem tedy z nim pomaszerować do kochanki.

— Jaktó . . . i z katarynką? — zawoła może ze śmiechem niejedna z czytelniczek.

— Tak jest, moje panie; nie z lutnią, jak Orfeusz do piekieł na odszukanie Eurydyki, lecz po prostu z katarynką na wieś. Orfeuszowi skakały kamienie — do mnie wyskoczą dwie nadwiślańskie dziewoje.



NIE MA ZŁEJ DROGI DO MOJEJ NIEBOGI.



III.

Piesza podróż jest wesoła
I bardzo mało kosztuje,
Nie ugrzęzną w błocie koła,
Ani się resor zepsuje.

Ranek był dość chłodny, lecz zanosiło się na pogodę. Popychane wiatrem chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, żeglowały na błękitnym niebios sklepieniu. Spała jeszcze, pogrążona w słodkich marzeniach, luba, wystawna, zawsze świeża i wykwintna Warszawa, a zarazem poważna, boleściwa, milczeniem swem wymowna nasza Mekka polska.

Przebrany do niepoznania, w niebieskim kaftaniku, w wełnianych pończochach i pożyczonych chodakach, opięto i kuso, z rozczochraną czupryną *à la* rozpacz i zamorusaną twarzą, postępowałem obok mego towarzysza, niosącego grającą skrzynkę na plecach.

Szliśmy przez Saski plac. Młodemu paliwodzie, jakim byłem, ani przyszło wtedy jeszcze na myśl, że to tutaj właśnie przedstawiciel walki uciemżonego narodu, Kordjan, przeskakiwał bagnetów las wśród szatańskiego oprawców chichotu.

Wzrok mój błdził bezmyślnie już to pomiędzy lwami i orłami, co się zuchwale rozsiadły na piedestałach z szarego marmuru, strzegąc z Kozakiem na stojącej trupiej woni siedmiu zdrajców, żeby jej nie rozwiali potomni; już to wśród kolumnady, po za którą przesuwwały się gdzieniegdzie w cie-

nistych chodnikach szykowne postacie Laszek, używających majówki.

Dusza zaś ma kręciła się u nóg Wandy.

W milczeniu minęły Jerozolimskie rogatki. Nikt nas przy wyjściu z miasta o nic nie pytał, bo i o cóż miano pytać katarynkarzy? Nikt na nich nie zwracał uwagi. I lepiej!

Ujrzeliśmy się niezadługo na szosie, zwijającej się po łąkach, jak biała wstęga rozpostarta na zielonym aksamicie; aż utrudzeni, zziązani, padłszy na kobierzec z murawy i złożywszy radę, postanowiliśmy czekać na przejeżdżających, w nadziei, że nas który z nich zabierze w dalszą drogę.

Brzask dzienny ozłocił już doliny; skowronki świegotały, trzepocząc skrzydełkami nad naszemi głowami; mirjady niedościgłych okiem owadów brzęczały na źdźbłach trawy; słychać było zdala głosy oraczy krających ziemię w skiby, śmiechy i piosenki wieśniaczek w ogrodach, wuczenie skrzętnych pszczołek osiadających na kwiatkach, co dopiero rozmrużyły swe majowe rąbki; wszystko nuciło hymn wszechstworzenia.

I ja go nuciłem z całą przyrodą, oddawałem cześć Stwórcy, myśląc o jego cudownem stworzeniu — o pięknej Wandzie.

Potem spojrzawszy na towarzysza ryzykownej wyprawy, zacząłem się nad nim zastanawiać: czy jest bezpiecznie, żeby nieznajomy włóczęga stawiał się wraz ze mną na rendez-vous, którem mnie samego tylko zaszczycono? Czy nie zagrożą to wydaniem tak potrzebnej tajemnicy?

Lecz nie . . . chłopak ów był to sobie dobroduszny brat Szlązak, inaczej mówiąc „Wasser-Polak“, gułaj z ospałą i głupowatą miną, przypominającą fizjonomję wołu zaprzęgniętego do jarzma. Nazywał on mię „mospanem Polakiem“, zapytując tylko w prostocie swojej, dokąd my „wandrujemy“, a nie troszcząc się bynajmniej o to, po co my „wandrujemy“. Poznawszy w nim tedy powolne, wcale nie niebezpieczne indywiduum, byle czuwać nad niem i umieć niem pokierować, to mi dodało otuchy.

Czekaliśmy długo, ale przecież pani Fortuna raczyła

wziąć pod opiekę biednych chłopców, gdyż oto bryka kupiecka, pokryta białym płótnem, toczy się wspaniale, jak rydwan króla królów Agamemnona, z Warszawy ku Krakowu.

— Stój żydku!

— Nyyyyy?

— Damy po półzłotku . . . za sześć mil.

— Za „sieść“ mil . . . kikste? . . .

— No — to po złotówce! . . . zaczekaj! —

O rudych pejsach braciszek od Jordanu popędza het szkapy.

— Po dwa złote, po dwa! stańcież przecie . . . Hej, hej; panie arendarzu! —

Stanął.

— Ny . . . i trynkgield?

— Dobrze, dobrze, zaraz na popasie.

Wpakowaliśmy na wóz naszą maszynę i sami doń wskoczywszy, roztasowaliśmy się na sianie jak w namiocie. Jak to dobrze czasami nie nazywać żyda ani psem, ani pijawką, ani szmokielesem, tylko uprawnionym panem arendarzem.

— „Fur, fur, au gicher!“ — i ruszyły szkapy. Jedziemy, popasamy i znowu jedziemy. Aż drogoskaz z wyciągniętą dłonią, a przy nim św. Jan Chrzciciel w białej komży pod lipą zatrzymują nas. Obydwa zgadzają się najzupełniej z rysopisem w liście . . . zeskakujemy więc z bryki, wyciągamy katarynę i maszerujemy z nią na stronę, w kierunku prostopadłym do bitego gościńca. Zostaje nam jeszcze pół mili z ogonem do przebycia.

Idziemy, odpoczywamy i znowu idziemy, aż zatrzymaliśmy się o kilkanaście staj od wioski R***, celu naszej wycieczki. Wstępujemy na zwiady do karczmy, stojącej na rozdrożu.

W ciągu tej podróży śnać pokolenie izraelskie nas ści-gało, gdyż karczmazem był starozakonny, obdarzony godnością nie tylko propinatora, lecz i jeneralnngo pachciarza na okolicę. Właśnie wydawał najstarszą córkę za męż. W izbie szynkowej panowało zamieszanie i szwargot, jak

gdyby cała ta czereda wybierała się w podróż za morze Czerwone.

Zasiadłszy na drewnianej ławie przy ogromnym szabasowym stole, nad którym wisiał olbrzymi o pięciu ramionach mosiężny świecznik, posilałem się podanem mi na cynowym talerzu dzwonkiem nadziewanego szczupaka, popijając go kwaskowatym piwem i zakąsując macą; to jednak nie przeszkadzało, abym od czasu do czasu nie strzelał oczyma na pannę młodą, bo owa Rebeka dosyć mi się podobała. Jej haczykowaty, jakby wystrzyżony z papieru, zgrabny profil noska, usta Putyfary i piekielne ślepięta w dziwnej były z sobą harmoniji.

Kilku jasnowłosych parobczaków dworskich w izbie też się uwijało pośród czarnobrewych dziewcząt o wschodnich rysach twarzy.

I dla czego się nie zaślubia ten Wschód z Zachodem? — rzekłem wówczas sobie.

A dziś — przepraszam cię, czytelniku, że po dwudziestu kilku latach pozwolę sobie powtórzyć nawiasem toż samo zapytanie; gdyż ilekroć razy przechadzam się po hetmańskich wałach w stolicy Lwa i patrzę na tę polską Jerozolimę, która się dotąd u nas przechowała jak muszelka w bursztynie, myśl ta przesładuje mię ustawicznie.

Otóż — czemu się nie łączy sarmacka rasa z czarnokiemi córeczkami? Miałyżby one nieboraczki być inaczej zbudowane od katoliczek? A przecież to są prawowite arystokratki rodu — bo się wywodzą przez tak długie wieki, aż od mądrego Mojżesza; do tego posiadają grosze, a nawet pałace o kryształowych szybach i złożonych balkonach; i mówią po francusku, i grają na pianoforcie, tańczą i śpiewają. A jakie porządne, a nawet eleganckie, wytworne dziewczuchy, że aż bierze ochota dać samemu przykład i pojąć którą za małżonkę.

A Wanda? . . . zbrodniarzu!

Ach, prawda! Wanda! Pokazuje się, że męczyzna z natury swojej zapominać się lubi i zawsze jest ułomnym,

choć Wolter śmiał dowodzić, że właśnie ta ułomność stanowi jego wartość. Mea maxima culpa! . . .

Otóż, wracając do rzeczy, wtargnęliśmy na dziedziniec dworski i uszykowali się przed domem szlachcica, gdzie moja miłość rezydowała. Bryś na łańcuchu powitał nas pierwszy, wyszczerzając zęby. Odważnie, śmiało ustawiłem katarynę na czterech rozłożonych nóżkach i — zakręciłem korbą.

Na odgłos muzyki zbiegła się, niewiadomo z kąd, dworska czeladka i różne pacholki, aby jej się przysłuchać.

Rzekłby kto, iż cała ta czereda wyrosła z ziemi, gdyż przed chwilą dziedziniec był pusty.

Ale myśl moja błądzi gdzieindziej! Spoglądam niepokojnie już to na ganek przed domem, już w okna, już na ogród otoczony sztachetami, w chęci zoczenia celu mej wyprawy. Nie raczył się atoli ukazać na przyjęcie upragnionego gościa. Tylko dwa wesołe kotki igrały na progu od sieni, nie zważając na nikogo.

Wtem nadchodzi starzec wysokiego wzrostu, z sumiastym siwym wąsem, w długich butach i z fuzją zawieszoną u ramienia na zielonej taśmie. Domyślam się, że to dziedzic, stary Cerber dwóch ładnych dziewcząt.

Następuje przerwa w muzyce.

Przesuwam czempredzej zasówkę w maszynie, aby zmieniła jednostajną nutę i zagrała jakąś lepszą sztukę na spotkanie szlachcica, i znowu kręczę korbą; lecz maszyna, jak na złość, wycina tegoż samego co i wprzód kuranta. Nowa przygoda podróży!

Zbliża się Szlązak i koło kataryny majstruje — ale na próżno — on tylko umiał obchodzić się z małpami — maszyna zaś wycina zawsze jedno i toż samo, coś się w niej zepsuło w drodze.

Skłoniliśmy się nisko dziedzicowi, a on rzucił nam w szczodrobliwości swojej kilka trojaków i zwróciwszy się do fartuszkowej pokojówki:

— Daj Kasiu po kieliszku wódki tym włóczykijom! — rzecze.

A sam wszedłszy do przedsiönku, zakrecił się i znikł nam z oczu.

— Póďte chłopcy na gorzałkę! — zawoła z kolei fertyczna w gorseciku Kasia, prowadząc nas za sobą.

To serce ma coś zajęczego w sobie, bo znowu mi bió poczęło biegiem przyspieszonym; a te trojaki, rzucone z pogardą, piekły do kości dłoń, co je podjęła dla odwrócenia podejrzeń butnego szlachcica. Jeśli cię uderzą w policzek, nadstaw drugi, a idź śmiało do celu! — szeptał głos tajemny.

Raptem drzwi od pańskiego przybytku się rozwarły, wstąpiliśmy do pierwszej obszernej izby, stanowiącej salę jadalną. Kredens stał w kącie i długi dębowy stół na środku sali, na który patrzyły marsowate postacie w kontuszach, wiszące rzędem na ścianie. Śnać to praocjowie dziedzica.

Sam pan przechadzał się, paląc fajkę, w drugiej przyległej komnacie; w trzeciej zaś, do której drzwi prowadziły na przestrzał, siedziała przy oknie nieznajoma dama z pochyloną głową nad rozłożoną książką, a obok niej dostrzegłem profil wspartej na fortepianie Wandy, jak się zdawało, z ołówkiem w ręku, zajętej rysunkiem.

Cisza panowała w pokojach, przerywało ją tylko ciężkie stąpanie jegomości, skrzyp posadzki i brzęk kieliszków, którymi trącała w kredensie Kasia.

— No! kiedy już napilišta się piołunówki, to teraz fora ze dwora — zawołała, poczęstowawszy nas, szorstka dziewczyna, widząc że nam się nie spieszy z odejściem.

Tere fere! gadaj tam sobie! — i nie słuchając wieśniaczki, postąpiłem do komnaty, gdzie sam jegomość spacerował.

— Proszę uniżenie jaśnie wielmożnego pana! — rzekłem głośno i dobitnie.

I odezwa ma wywarła przewidziany skutek; Wanda bowiem obróciła główkę i napiąwszy wzrok ku mnie, zbladła, wyraźnie mię poznawszy. Wyprostowała się nagle, wsparta łokciem o zwój papierów na fortepianie, lewą rękę przyło-

żyła do łona; następnie coś przemówiła, czego jednakże dosłyszeć nie mogłem; to tylko pamiętam, że jej towarzyszka spojrziała zmieszana na nią, potem zwróciła wzrok badawczy do pierwszego pokoju, spojrzeliśmy sobie oko w oko, potem wstała i drzwi zamknęła. Wszystko to odbyło się w oka mgnieniu.

I nie wiem, co się dalej tam stało; bo skończyła się scena — kortyna zapadła.

Za to nastąpiła zmiana dekoracji.

W drugim pokoju, chodząc za szlachcicem, zapraszałem się do niego na nocleg, przekonując silnymi argumentami, że do karczmy daleko, że tam nie byłoby się gdzie podzięk z powodu weseliska, że kataryny żydzi nie potrzebują, gdyż przygrywają sobie na cymbałkach, że człek utrudzony, biedny, a i u chłopca na wsi to także zapłacić każę, że wreszcie ubliżałoby to gościnności dworu szlacheckiego...

— Gdzież się ty tak szczebrać wyuczył, próżniaku? — zapytał gospodarz.

— W Warszawie, jaśnie panie! —

Rozśmiał się szlachcic.

— Kasiu! Kasiu! trzeba by tych chłopaków na noc pomieścić.

— O! wzdyc jeszcze czego?

— Przenocuj ich, przenocuj Kaśko! zanoszą się na wielką burzę na dworze.

— Hm! Na folwarku dzisiaj bielili, jeszcze nie wyszło, to jaści chyba w maglach ich przenocować... tam im przyniosą słomy... Choćta chłopcy! —

I nie czekając odpowiedzi, wyprowadziła nas do sieni, a ztamtąd zawiodła do jakiejś zatęchłej sionki, psiarni czy komórki, gdzie stały tylko dwa magle, nałożone kamieniami i długa ława pod okienkiem, i gdzie nas porzuciła.

Och! jakżebym ja cię przemaglował kanajko za taką kwaterę! — pomruknąłem oburzony na Kasię.

Wieczór się zbliżał, niebo szarym płaszczem się odziało; przyniesiono nam kolację, złożoną z kwaśnego mleka i razowego chleba, tudzież wiązkę słomy.

Mój kamrat podjadłszy sobie, rozciąga się na barłogu i niezadługo po bohatersku chrapać zaczyna; koncert nie bardzo przyjemny, ale do taktu. Pomimo to nudzę się najokropniej, rachując kwadranse, które przynosi z za ściany kukulka z zegaru jegomości, a z których każdy wiekiem mi się staje.

Chodzę, utykam w komórce, siadam na ławie, wstaję, znowu utykam; a w dodatku zaczynam zniecierpliwiony dąsać się na panny. Co to będzie? Toż one wiedzą, że moja rola tutaj skończona, że zrobiłem wszystko co mogłem; mają mię! a więc teraz na nie kolej ułatwić dla się kontrabandę zakazanego towaru.

Temi i tem podobnemi zajęty byłem myślami — ciemno już się zrobiło w komórce — gdy naraz słyszę śmiechy kobiece w sieni i widzę maluchne światełko, co zajrzało do mnie przez dziurkę od zamku. Zatrzymuję oddech, aby się lepiej przysłuchać, ale kamrat niepoń przeszkadza mi chrapaniem. Byłbym mu na łeb zimnej wody nalał, gdyby mi rozum nie wstrzymał był od tego.

Głosy się zbliżają, potem słabną — poznaję i kwilenie Wandzi; zda się, że cała kawalkata gdzieś się wznosi do góry, a Kasia jej przewodzi, bo ją najwięcej słyhać. Nareszcie wszystkie głosy wraz z światełkiem nikną i noc milcząca skrzydła rozpościera. Cisza.

Ale ktoś wkrótce zbiega ze schodów, coś szasnęło obok mej komórki, fru fru sukni kobiecej! Poskoczyłem ku drzwiom — to ona! — ale nie — to Kasia. I cóż ty mi zwiastujesz, kanalijko?

— Hi, hi, hi! zdejmi panicz bóty — rzece po cichu — pójdziwa na górę; ja zaraz wrócę, tylko powygamiam pieski z sypialnego pokoju jegomości i zawrę drzwi od sieni. Jegomość już są w łóżku. —

Odetchnąłem.

Wiedząc już, na co się zanosi, wydieram co tchu podróżny worek z pod głowy Szlązakowi, dozywam suknie, przebieram się na prędcę, wycieram twarz, najeżam dziesięcioma palcami czuprynę, a na ostatku zdejmuję obuwie czekam na przegody losu.

Słyszę jak rzeczywiście pieski gdzieś wyganiają, jak główne drzwi od korytarza ryglują, i jak wreszcie powraca ostrożna Kasia, zadmuchnąwszy świecę.

Potem przesuwamy się oboje, wzięwszy się za ręce, po ciemku do schodów.

— A teraz uczepek się panicz za spódnice — szepnęła pokojowa.

Ująłem ją za wstążki od warkoczy i tak cichaczem wznosiliśmy się ku niebu, a włazszy na facjatę, przystanęliśmy razem.

Nagle roztwierają się przed nami podwoje i źródło światła tryska. Kaśka schodzi na dół, ja zaś przestępuję próg raju, wkraczam do sanktorjum panińskiego.

Wandzia zrywa się na powitanie ku mnie, chwytam ją za szyję i nuż się oboje całować! — nie przymierzając, jak dwa kędzierzawe skrzydlate aniołki, co się w przelocie całują na obrazach Rafaela. Druga dziewczyna na ten widok promienieje z radości, a oczy jej błyszczą jak dwa zarzewia. Puszczam zatem Wandę, a w nadmiarze uszczęśliwienia łapię tamtą, ująwszy jedną dłonią pod bródkę, drugą za szynion, i także wyciskam na jej ustach gorący pocałunek; całujemy się społem, niby zgodne rodzeństwo.

Potem dopiero następują z młodą nieznaną wzajemne prezentacje, wedle przyjętej etykiety.

Dwa te pysia, o ile pomnę, jakoś smaczniejsze mi się wydały od buziaków mych krewniaczek, do których niegdyś przyjeżdżałem był na wakacje. Tamte były zwyczajne, te zaś lukrowane.

Usadowiłem się na kanapie między dwoma dziewczynami; starsza z nich, gosposia, sierota bez matki, podobnie jak Wandzia, sama czyni honory domu, nalewa mi zgrabną rączką wina, podaje ciasteczka i różne łakocie; uprzejmie, hojnie ugaszcza. Snać że Polka, bo każda Polka jest to jaśnie wielmożna Polka!

Obiedwie trącają się ze mną próżnymi kieliszkami; wnosimy zdrowie podeschłej arcypanny Maryni, którą zostawiliśmy w Warszawie z całą jej czujnością; pełno śmiechu,

roskoszy, miłej pustoty, wesela. Bodajto młodość! i podobna gratka z takimi dziewczętami, których niewinne rozrywki mają nierozzerwany związek z krainą ducha, nie wychodząc z pod opieki niebios.

Ileż tam było swobodnej, nie skrepowanej żadnym interesem, żadnemi światowymi względami uciechy! Obyło się zaiste bez form i formułek niszczących samodzielność, tępiących siłę twórczą człowieka, a pokrywających najczęściej samą jeno próżnię. Nie mieliśmy nad sobą żadnego pułkownika, coby nam rozkazywał, jak mamy postępować. Byliśmy sobą i dobrze nam z tem było, bo serca nasze nie były spacone.

Gdy wpatrywałem się z zachwytem po długiem niewiedzeniu w Wandę, występowały na jej lica kolorki, które tak jej szły do twarzy; gdy do mnie mówiła, wzrok jej ożywiał się niewinnym zapałem; gdy mię słuchała, dusza jej tkwiła na mych ustach; a gdy wołała na mnie po imieniu, cała jaśniała radością. Słowem, stanowiła ona urocze dopełnienie mego jestestwa.

Ale owa przeklęta kukulka jegomości, której złowrogie krakanie aż na piętro zalatywało, oznajmiała ciągle przez zazdrość, że szczęśliwe chwile święta naszego mijały szybko, bezpowrotnie, jak błogi sen, co się tylko raz w życiu pojawia, zostawiając po sobie czarowne wspomnienie — tylko wspomnienie.

Aniśmy się spostrzegli, kiedy ranek się zbliżał. Nie mógł on wprawdzie z ciekawości zajrzeć do nas przez okna, gdyż osłonięto je gęstemi kotarami. Lecz na szczęście wierna Kasia czuwała, gdy my upojeni szalem zabawy, zapomnieliśmy o świecie całym.

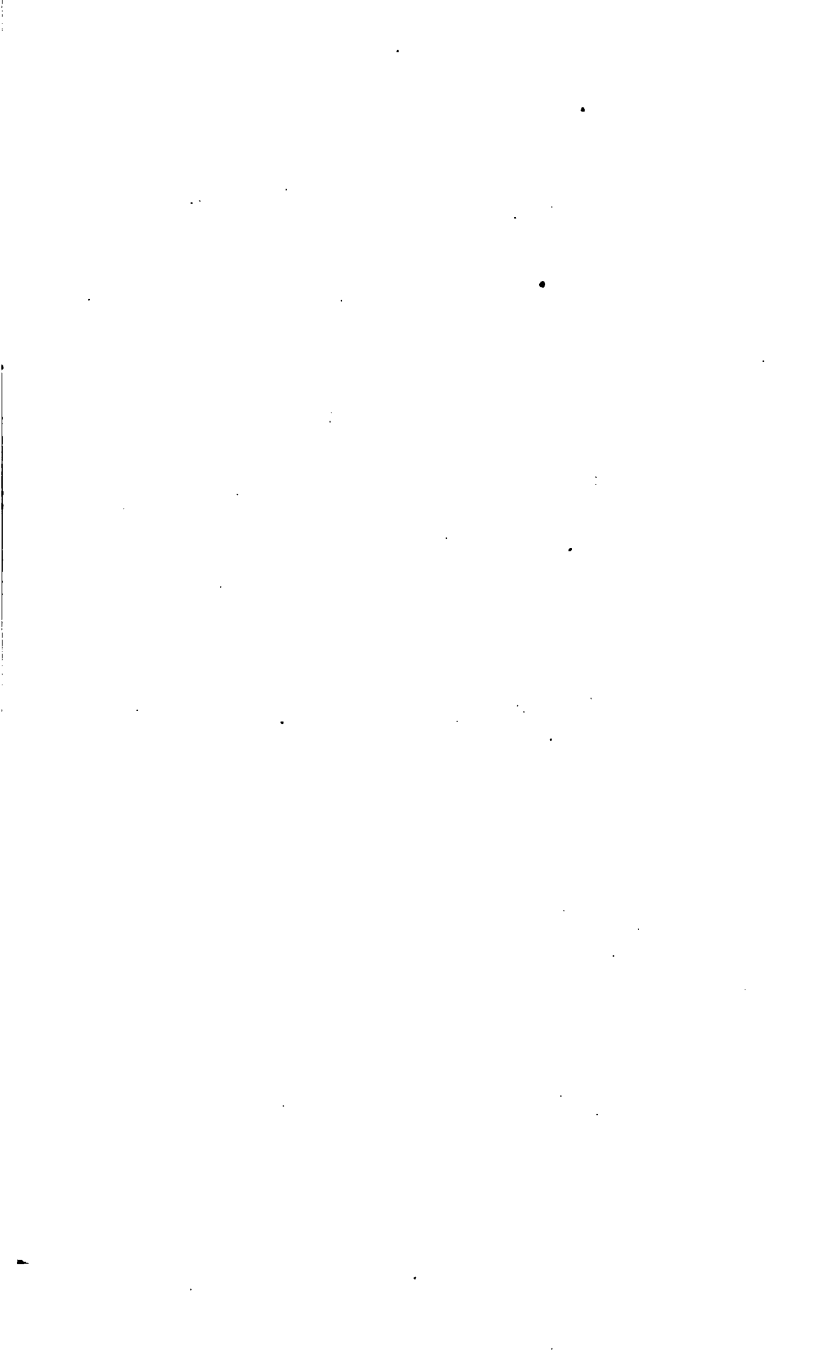
Kasia wpadła zadyszana z zawiadomieniem, że już jegomość „wstali“ i przechadzają się koło stodół. Nie było chwili do stracenia, wypadało się jak najprędzej wynosić.

Rozplakała się tkliwa Wanda przy rozstaniu; zabłysła brylantowa łezka i w oczach jej przyjaciółki.

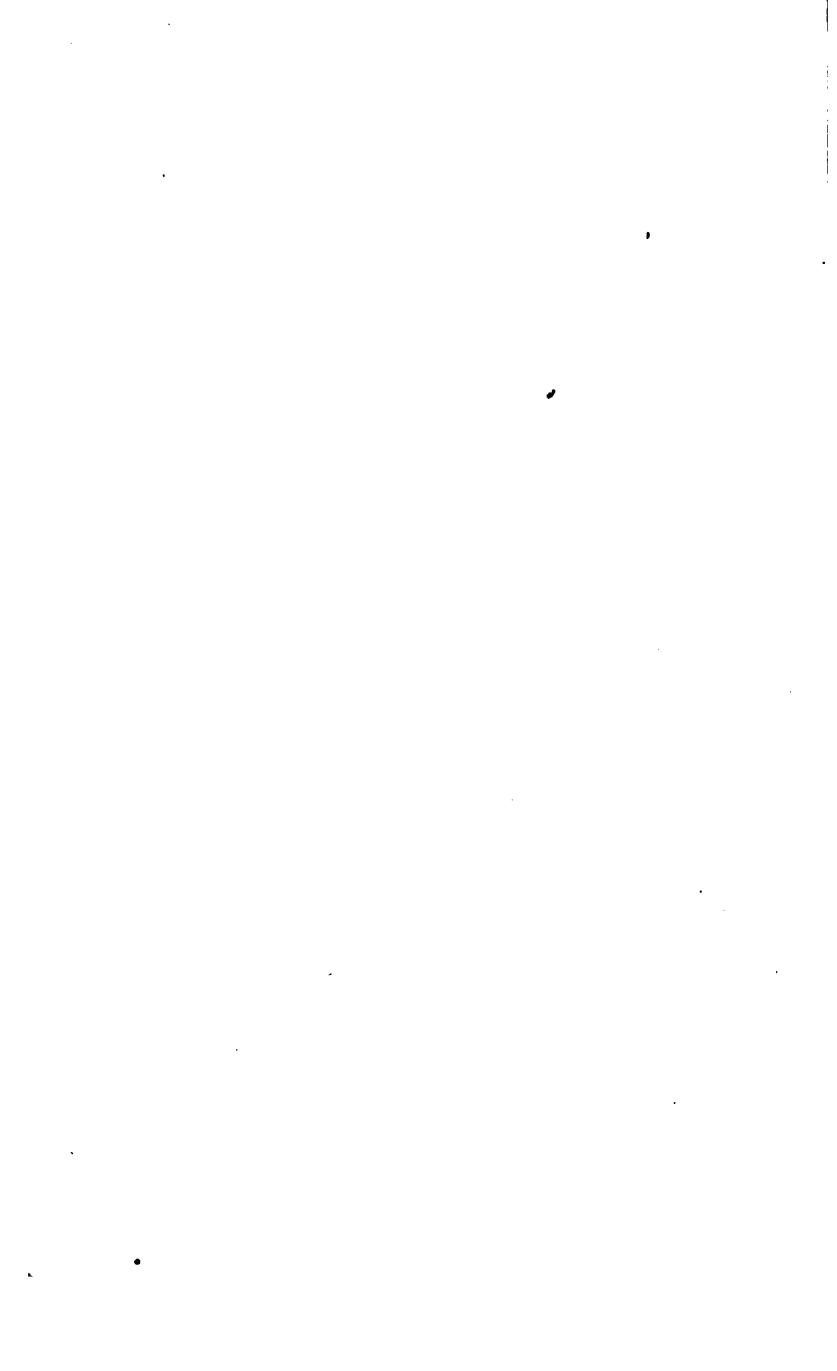
Opuszczając dwór z towarzyszem podróży, obejrzałem się nań kilka razy. Dorodne dziewice stały już na balkonie.

Wandzia była nieruchoma, wsparta o poręcz, z rękoma na krzyż złożonemi. Minąwszy wrota, popatrzyłem jeszcze na nie chwilę i dostrzegłem mignięcie chusteczki; później, gdy się znowu obejrzałem, już ich nie było.

Rozstaliśmy się, aby się więcej niestety nie ujrzeć. Wszystko się jakoś dziwnie plecie na tym padole gorzycy...



E T A P.



IV.

Myśl o was, jak trupią woń,
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń,
Ile razy kto was wspomni.

Jest plac na Pradze; obok płynie wartko Wisła; ponad nią rozpościera się na wyżynie majestatyczna Warszawa, niby olbrzymia dekoracja z czarownej melodramy, przeglądająca się w wód przeźroczu; w obłokach sterczą świątyń szczyty, jak palce groźnie ukazujące ku niebu; na kopułach świątyń jaśnieją krzyże, godła miłości i przebaczenia; a na uboczu widać czerwone, jakby krwią zbroczone, mury cytadeli, więzienia zbudowanego dla myślicieli.

Słowem jest to polska Golgota, w całej świetności i grozie, ze wszystkimi skarbami jej kamiennej historii, i całym jej dzisiejszem poniżeniem.

A sama Praga, to ziemia przesiąknięta krwią męczeńską, która popłynęła ku Wiśle szeroką strugą, znacząc pierwszy pochód na tej drodze ofiar, jaką naród iść miał od tej pory.

Po nad Pragą szerokim łukiem wygięła się z tęczy brama, na wyplakanej rozwieszona chmurze; a na jej placu, zwanym punktem zbornym, stoi etap moskiewski. Stoi i czeka.

Szaremi oponczami przyodziana drużyna, spędzona na ów punkt za pośrednictwem knuta, ma lada moment wyruszyć razem w daleką pielgrzymkę, aby się potem rozpierzchnąć po bezludnych stepach, jak liście pędzone jesiennym

wiatrem. Kozactwo ją otacza. Każdy się żegna z kim może, i każdy rzuca błędnym wzrokiem na gród ojczysty, który za chwilę zniknie mu z widowni na zawsze. Każdy się żegna z nadzieją!

Wtem wychodzi z kancelarji wojskowej uradnik kozaczy, najstarszy dozorca orszaku więziennego. Ma skórzaną torbę na piersiach, szablę u boku i nahajkę w dłoni. Wąsy mu sterczą po za uszy. Władza nad nieszczęśliwymi nadyma jego dziką naturę, połączoną z zepsuciem niewoli; siada na koń, komenderuje przyszłymi obrońcami ojczyzny, i na dane hasło pochodu nasza procesja rozwija się do marszu, a potem snuje się zwolna, pomału, smutno, coraz dalej za Warszawę, zdążając ku wieczności.

Ponury pochód zbliża się nakoniec w milczeniu do pól grochowskich, do owego Maratonu polskiego, gdzie ongi po całodziennej walce na niwie zasłanej trupami, prowadzone przez starców, wiodąc z sobą dzieci sieroty, postępowały zwolna wdowy Laszki, szukając każda swego . . . poznając każdego po broni, co przy nim leżała . . . i przy każdym „Moskali dziewięciu“. Aż sokół, zataczający w przestrzeni kręgi, zwolnił lotu i widowisku się temu przypatrywał, nim znowu pofrunął pustkowiec, aby braciom orłom opowiedzieć, co widział, aby z nimi podumać i pogwarzyć o tem, jak za wolność walczy Lacha plemię.

Przy tych polach, przy tym polskim Maratonie, jak gdyby na urągowisko przystanek etapu, ostatnie pożegnania, lzy tych, co mieli iść w nieskończoność, i tych co zostawali!

Któryś tam z towarzyszków niedoli odezwał się na harmonijce. Rzewne tony pogrzebowego marsza przejęły mnie na wskroś.

— Poczekaj! . . . jeszcze ohwilkę! — zawołałem do żegnającego mnie kolegi Bolesława. — Wszak to dziś rocznica urodzin Wandzi — przesłesz jej na wieś moje najlepsze życzenia, gdy mnie już tutaj nie będzie.

I wzięwszy od niego pugilares, usiedliśmy na murawie przy fosie gościńca; Bolesław przyłożył chustkę do oczów, gdy ja tymczasem skreśliłem dwie następujące strofki:

Gdybym był wolnym, miał sławę, dostatki,
 Wszystko bym Tobie podesiał pod nogi;
 Gdybym tak w życiu napotykał kwiatki,
 Jak napotykam i ciernie i głogi,
 Zwiłbym Ci, Wandol! tak uroczy wieniec,
 Jakiego żaden nie upłócił młodzieniec.

Lecz — że nic nie mam, nad żalodne pienie,
 Co właśnie duszy przygrywa,
 Składam Ci więc proste, lecz szczere życzenie:
 Bądź wечно, wечно szczęśliwa!

I nasz etap ruszył dalej zwolna, pomału, smutno, w milczeniu, a smętna harmonijka ciągle mu przygrywała; a przyjaciele nasi, którzy nas opuścić zmuszeni byli, stali na szosie jak drogoskazy, spoglądając ku nam i potrząsając głową. Odeszliśmy już daleko, przesłaliśmy im już ostatnie skinienia, a jeszcze patrzyli za odchodzącą, szarą procesją rodaków, dopóki im nie zniknęła w tumanie kurzawy.

* * *

W kilka lat po tej przygodzie przechadzałem się z kolegami oddanymi w żołdacy po nad stromym brzegiem Uralu, toczącego swe nurty spienione w stepach azjatyckich; wtem dano nam znać, że świeży przypędzono etap, a z nim i kilku ziomeków z Kongresówki.

Biegniemy co prędzej na powitanie przybyszów; każdy w uniesieniu tęsknoty i nadziei spodziewa się jakiejś pomyślnej nowiny z kraju. I nie dziw! gdyż dla uciemionych i dotkniętych, dla nieszczęśliwych i upadłych, jest słowo jedyne, broniące ich od zwątpienia i rozpacz, od kału niewolniczego błota, słowo dodające siły i otuchy, a tem słowem — nadzieja.

Ten pyta, co się święci w Polsce? tamten chce się dowiedzieć, co słychać w całym świecie? kto tam na święczniku stoi? Ów nalega o wiadomości o jego krewnym lub dobrym znajomym — jak gdyby przybywający do ich grona rodak wiedzieć o tem wszystkim powinien i był w stanie zaspokoić ich ciekawość w ogóle i każdego po szczególe.

Gdy się do woli wygadali, zwróciłem się do jednego z Warszawian, co miał pokrwawione ręce od żelaznej sprząży, i zagadnąłem z niechcenia:

— Czy nie słyszałeś przypadkiem, zacny kolego, o losie panny Wandy S . . . ?

— Wanda? Wanda S . . . ? Tak, tak . . . przypominam sobie . . . Owa piękna blondynka z Marienstadtu. Wprawdzie znałem ją tylko z widzenia, ale wiem z pewnością, że nie zbyt dawno temu wydano ją za mąż i wkrótce potem umarła.

Na tę wieść nie byłem zdolnym wyrzec ani słowa; żadna skarga, żadna łza, żadne narzekanie ani bolesne westchnienie nie rozdarło duszy mojej — uczułem tylko ściśnienie pod piersiami, jak gdyby tam coś przewijało na motowidło przędzę mego żywota. Byłe jak najprędzej za nią! pomyślałem — czeka na mnie w grobie.

Tymczasem w bęben uderzono na capstrzyk, chwiejącym krokiem potoczyłem się więc do koszar.

W izbie krzątało się zajęte sobą żołdactwo; okropne nasuwały się oczom fizjonomje różnorodnych indywiduów, rojących się w dusznej atmosferze. Jedni czyścili karabiny: tarcie ich cegły o stal i mosiądze wydawały pisk drażniący nerwy. Drudzy naprawiając buty, stukali młotkami nielitościwie. Inni, jak szaleni w szpitalu, nucili wesołe piosenki, przy odgłosie wybijanych chołupców i o trzech strunach bałabajki. Inni nakoniec raczyli się blaszankami wódki, a ich rozczochrane bachantki wyskakiwały prysiudy, rodzaj rubasznego moskiewskiego kankana,

Wyziwy — hałas — ścisk — harmider — piekło nie do opisanial

Usiadłszy w kącie izby pod wrażeniem cierpkiej wieści przed chwilą odebranej, otulony w szarą żołnierską siermięgę, patrzyłem obojętniej niż zwykle na obrzydliwą scenę koszarową. Wszystko, co się koło mnie snuło, zdawało mi się być jakąś marą, nie mającą żadnego związku ze mną.

Potem zwolna zaemił mi się ów straszny obraz przed oczyma i tylko głucho zgrzyty, niewyraźne akrzypienia, do-

chodziły zmieszane do mego ucha, szum po sobie zostawiając, bez zwrócenia na się uwagi. W końcu i te ustały.

Natomiast ujrzałem przed sobą katafalk, jarzącymi okolony świecami. Na rogach stały żalobne z trupiami czaszkami słupy, a na nich kagańce, z których wybuchał płomień zielonawy, buchał i ustawał, jak gdyby znużony. Czarny całun pokrywał stopnie, z umieszczoną na nich trumną karmazynową.

Po stopniach zbliżyłem się z cicha, na palcach do trumny. Spoczywała w niej Wanda w białej szacie, z rozmarynowym liściem w kędziorach jasnych włosów. Na jej oniemiałych ustach zawisł uśmiech łagodności i słodyczy, a na czole zwyczajna pogoda. Spała snem błogosławionym; sen zaś ów, nie przerwany ani szasnieniem myszki, trwał długo, bardzo długo — bardzo długo.

W to oblicze niebianki, usadowiwszy się na gradusach katafalku, wpatrywałem się spokojny, jak gdyby oderwany od świata, jak gdyby mi się nic złego nie przytrafiło.

Wtem nadlatuje mucha brzęcząca i mącąc smętną ciszę, zatacza kółka nad jej wezłowiem. Wuczy, furka, podlatuje do góry zygzakiem, potem zrzedzić przestaje i raptem pada na śnieżne lica dziewicy . . . grzebie nóżkami i wysuwa żądło . . . już uczuwam ból, który ma zadać ukąszeniem mej oblubienicy, poruszam gałązką, aby odpędzić jadowitego owada, co mi ją chce przebudzić — gdy nagle usuwa się i gdzieś ginie katafalk; słyszę na nowo zgiełk żołdacki, fetor dziegciu uderza me powonienie, a zamiast trumny widzę pryce żołnierskie i ogromną muchę bujającą z brzękiem w powietrzu.

I znowu świat rzeczywisty, świat brudu i męki! . . .

Od tej pory nieboszczka przychodziła do mnie, lecz coraz rzadziej; gdyż zapewne lepiej jej było na tamtym świecie. Pocieszała mnie ona czasem wśród ciężkiej niewoli, jak gdyby przez to okazać pragnęła, że niespożyty duch jej unosi się zawsze nademną; widywałem niekiedy drobną jej twarzyczkę z pomiędzy chmur uśmiechającą się wdzięcznie ku mnie, żeby mi się samemu nie nudziło, kiedym stał opuszczony na warcie.

A dziś, po latach wielu, skoro się cieszę osobistą, zupełną wolnością, nawiedziła mnie jeszcze, może raz ostatni, podczas gdy tę kartę kreślę, aby się naocznie przekonać, czy się nic u mnie nie zmieniło, i czy na jej mogile w sercu mojem nie zwiędły cyprysy.

Nie — nie zwiędły, kochanie! Ty tam żyjesz zawsze, aniele!

Tak — ty żyjesz! Fosa za mała, aby cię pogrążyć w nicości i zapomnieniu.

W S T E P A C H .



V.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury —
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.

Leży w naturze człowieka, że lubi przyzywać wspomnienia przygód swoich. Choć cierpkimi były w rzeczywistości, przywdziewają one dla nas świąteczne sukienki, gdy już należą do lat ubiegłych, do historii żywota na tej tu gospodzie doczesnej.

Lecz żeby owe szaty przeszłości naszej układały się w uroczą draperję, potrzeba koniecznie, aby ta przeszłość miała młodość swoją z właściwą jej poezją, gdyż siły moralne człowieka dłużej się zachowują, jeżeli je odświeżają estetyczne poczucia.

Nic nieznośniejszego, jak dojrzały mentyka, który z toku rzeczy musiał być kiedyś młodym, a nie miał młodości; podobnie jak nieprzyjemnym jest rok, co nam szczeźł bez wiosny.

Bywa zaiste nieraz osierocona młodość — jak na przykład tyłu a tyłu rozsypanych na wygnaniu współbraci naszych — nad którą nikt nie czuwa; usiłują ją spacyć samoluby, na jej odwagę i zapał dmuchają ludzie ciemni i chłodni. Idzie ona przecież naprzód, kierując się pociągami serca, przyswajając dla ducha swego tylko pokarm zdrowy jak to czyni skrzętna pszczołka, osiadła na krzewie przesiąkłym trucizną.

Rozpacz, co jak skorpion zatapia swe żądło w duszy egoisty, rzadko owłada człowieka, któremu pozostały bogate zasoby z czasów jego wieku złotego; bo serce takiego nie da się porównać do pustego śpichlerza, po którym wspomnienia jak zgłodniałe myszy biegają.

Takiemu, chociaż niedola dni jego zachmurzy, choć się nań uzbroją pokusy i na ciężkie wystawią próby, przyjdzie na ratunek — niby przyjaciel stary — boski płomień dawnego natchnienia.

I znowu wyzwolony, siłą doświadczenia wzmocniony, wystąpi dzielny szermierz do zaciętej walki z przeciwnościami.

Gdy się nudzę samotnością, lub gdy towarzystwo zaczyna mi ciężyć, odwracam głowę od niego i spoglądam po za siebie, szukając pokarmu w obrazach, co jak wielka panorama przesuwają się z żywymi postaciami na widowni mej wyobraźni.

Czarowne to dumania! wdzięk tajemniczy duszy obcującej z sobą.

Oto w tej chwili bezbrzeżny step rozacza swe niezbadane cuda przedemną, dając obraz nieskończoności; ten sam step, który odrywając mię od zwyczajnych scen i błyszczącej nędzy światowej, zmuszał do rozmyślenia i przyjęcia nieznanych w podniebiu europejskiem wrażeń.

Tak ślady stóp istoty ludzkiej, a nawet zwierzęcia, wciśnięte na piasku w pustyni, były dla mnie częstokroć ważniejszym zjawiskiem, niż niegdyś najładniejszy bucik zgrabnej nóżki w salonie.

Jeżeli wyrazy: skała, strumyk, ruczaj, co w kamyki dzwoni, niebotyczne góry i bezdenne wąwozy — są poetycznymi, tedy step kirgijski ponad Uralem (gdzie upłynęły mi najtkliwsze lata młodości) ma inną, właściwą sobie poezję — tęsknoty.

Tam bielące się kupy kości ze zwierząt i ludzi są jedyne drogoskazami dla znużonego wędrowca; tam tylko napotyka on gdzieś stare, omszałe kamienie i domyśla się, że to groby nieznanym mu pokoleń.

Jakaż to różnica owej moskiewsko-azjatyckiej ziemi po-

tępienia od stepu amerykańskiego, roztaczającego się nad rzeką Mississipi!

Pustynie na pozór podobne, atoli przeznaczenia ich różne.

Nad Uralem zgasła dawna wielkość i z licznych grodów, siół i gajów, opiewanych przez historyków, dziś najmniejszego śladu tam nie dostrzeżesz. Owa kraina miodem i mlekiem płynąca, zatraconą została.

Nad Mississipi, przeciwnie, potęga w zarodzie!

Rozum jest strudzony, gdy na pograniczu Azji zatapia się w badaniach, co mogło tam istnieć przed pięciu tysiącami lat? A w stepie amerykańskich Stanów Zjednoczonych nad tem, co się tam stanie za lat pięć tysięcy? . . .

Ten ostatni przedstawia rozległego obszaru, bo na przestrzeni 20,000 mil kwadratowych, warsztat do pracy. Ściągają doń drużyny emigrantów ze wszystkich części świata. Tam pług i ręka ludzka zamienia szybko pustynię w uprawne pola; a wyraz „łaka“ jest słowem magicznem, oznaczającym przyszłość, postęp, poezję. Kolonista spogląda na nią z uśmiechem zadowolenia, gdy obszedłszy się bez uciążliwego karczunku, oddycha wśród odkrytej przyrody wolno, swobodnie.

W nagim stepie kirgiz-kajsackim nie ma nic . . . nic, oprócz kiru pokrytego żółkłym piołunem, rozciągającego się jak zblakła płachta pod twemi nogami, na którą patrzysz znudzony.

Z brzegów Mississipi słyszysz zgiełk nowych osad; widzisz pozakładane ogrody, chaty z tarcic i szalasy, stopy cegieł, mierników wytyczających linje, mnóstwo w rozmaitych kształtach i rozmiarach maszyn rolniczych; tudzież uwijających się ludzi, rozmawiających różnymi językami.

Tam wzrost i oświata, i przemysł tak żywotny, że ledwo powstał, już go znać. Aż miło popatrzeć na to mrowisko pracy i ogólnej pomysłowości.

A pomysłowość ta, ów dobrobyt, jest głównie wynikiem swobody praw i wolności osobistej, która każdy naród do prędkiego wzrostu prowadzi; gdzie każdy z pracowników-

obywateli czuje się być samoistnym panem i ma to przekonanie, że swój byt i szczęście zawdzięcza jedynie Opatrzności i samemu sobie, i że praca jego nie idzie na marne — że ją nie wyssą podatki, ani uprzywilejowane osobistości.

Step zaś kirgizko-kajsacki jest to dno, zapadła kotlina wyschłego morza; kraina spetryfikowana, równa, milcząca, któraby nam jednak wiele strasznych tajemnic odkryła, gdyby mówić umiała.

Słowem, jest to pusta karta globu ziemskiego, na której z postępem cywilizacji, przemysłu, handlu i rolnictwa zapisze najwyższa zasada zasad, Bóg, żywe słowo miłości bliźniego; lecz obecnie ujrzyś tam jeszcze, w ognistych baltazarowych głoskach, na każdym kroku przerażający napis: niewola — knut — i nienawiść!

A kto tam zaszedł, pożegnał się na zawsze z nadzieją, jak Dante u bramy piekielnej.

Tam cięży przekleństwo niewoli — tam kwitnie braterstwo jednego knuta; tam życie człowieka można nazwać migiem; a spodenie rozchodzi się jak dżuma po zawojowanych plemionach wschodu, nie posiadających niestety dość siły moralnej, aby się oprzeć najazdowi.

Na tym smętarzu bez granic, w tej okropnej kostnicy, strędowaciały łąd i piekło sprzegły się z okrutnym samowładcą na oniemiaenie niedobitków, żywcem pogrzebanych.

Ani Spielberg, ani Botany-Bay, ni Kajenna, ni sławne więzienie celularne Cherry-Hill w Filadelfji, to jest: Austrja, Anglja, Francja i Ameryka razem wzięte, takby ich skryć i oniemiać nie potrafiły!

Należę do rzadkich pod tym względem wyjątków. Udało mi się zdruzgotać kajdany siłą własnej woli, zerwać kaganiec z ust moich — i dumny z tego jestem; a krańce Moskwy, dokąd nie zagląda dla wrażeń nawet Anglik, zapalony turysta, jako też — dzięki najmiłościwszej opiece caratu — późniejsze podróże z musu, ściganego losem, nasunęły mi niejedną z żywych ksiąg nowożytnych dziejów świata, jakich nie posiada żadna biblioteka, i w których żaden uniwersytet czytać nie nauczy, oprócz jednego profesora: pana Doświadczyńskiego.

Pomimo to, nikt mi zapewne takiej platonicznej szkoły milczenia, odbytej o głodzie i chłodzie, przy łójówce blade rzucającej błyski na zrobaczywiałe ściany koszar, pod świstem knuta, nie pozazdrości, ani zaprzeczy; ja też z mej strony podobnego nowicjatu nikomu nie życzę.

Z jakichże to niepojętych tkanek składają się częstokroć przygody małego ruchomego światka, zwanego człowiekiem? Ileż to przedmiotów, okoliczności i wrogów wpływa na dramat jego żywota, na zbezczeszczenie relikwiarza jego świętych pamiątek i przekonań?

I gdzie jest, o wielki Boże! ta bezwzględna prawda, której od wieków szukają narody? —

Zdawałoby się, że jej wyłączne siedlisko nie tutaj; że chyba mieści się ona w całym wszechświecie, którego stanowimy zaledwie kruszynę; w całej wszechharmonji, której jesteśmy pojedynczym dźwiękiem.

* * *

Lubiłem wyrywać się z cuchnących koszar i biegać na pustynię, gdzie widok uroczysty ogromnej natury kołł rozdrażnienie zrządzone niewolą. Surowa puszcza, swobodne w niej ruszanie się, zawsze to co innego, niż zapowietrzzone koszary. Życie w stepie zawsze jest życiem, acz pustelniczem; w koszarach choćby duch się oparł, ciało podobnie jak w więzieniu ulega zgniliznie.

Przyroda, jednostajnie spokojna w swojej wielkości, przelewa niekiedy ów błogi spokój do wnętrza biedaka, kładąc na rany jego duszy balsam jakiejś melancholicznej poaciechy. Zdaje się wtedy nieszczęśliwemu, że żywot jego rozlewa się w całym wszechstworzeniu.

Lubiłem, zmuszony siedzieć w koszarach, w chwilach wolnych od musztry i warty, najczęściej nocną porą, cucić się z otrętwienia, czyli raczej z namiętności nudów, za pomocą wyborowych książek, sprowadzonych potajemnie przez zdegradowanych na żołdatów kniaziów rosyjskich.

Zaprawdę, żaden suchy morał, żaden obrok czysto-
 duchowny, nie byłby mię tak zachował od brudu niewolniczego błota, ile na przykład owe cudowne szyllerowskie postacie, z którymi razem żyjąc, zaludniałem pustynię. Postacie te stały na straży przy mnie, niby aniołowie opiekun-
 czy. Im zaś więcej wyrabiał się mój smak estetyczny, tem obojętniejszem były plugawe sceny, odbywające się za plecami; gdyż ulatałem wtedy na skrzydłach porywającej muzy do krain, którym świeci dola szczęsna. Idealnej postaci Tekli Wallensztejna zawdzięczam więcej, niżbym to mógł uczynić rodzonej siostrze, gdybym ją był miał przy sobie.

Zapisuję tu ten fakt z nieśmiałością, jako objaw psychologiczny nie bez pewnej doniosłości.

Ileż to bowiem młodych ludzi czczość i próżnia ich żywota doprowadziła na wygnaniu do zupełnego zwątpienia o Bogu, o rodzaju ludzkim i o samym sobie; dla których wyraz ojczyzna stał się równoznacznym z wyrazami: spustoszenie, mogiła; którym goryczą zapłynęły piersi, a z których wielu upadłszy na duchu, chwytali się obrzydliwych środków w celu zagłuszenia mąk swoich, podobnie jak się chwyta jadu, będącego odczynnikiem innej, pożerającej trucizny?

I tak jedni topili swe bóle w trunku, drudzy w rozpaczy i szpitalu, inni w idiotyzmie lub samobójstwie. Tak dusza znękana szarpaniną wewnętrzną, toczona ścierającami się ostatecznościami, co jak upiory ją dręczą, upaść nako-
 niec musi. Trzykroć przeklęty, kto ją popchnął do tego upadku!

Widziałem, jak na owej ziemi ucisku zbierało się w szwadrony wolne niegdyś, a skarłowaciałe już Kozactwo, tudzież szczepy mongolskie, mające wyruszyć jako rezerwa na pomoc Austrii, dla pognębienia walczących za swą niepodległość Węgrów. Wtedy obraz Baszkirów o brunatnej cerze, ze spłaszczonymi nosami, zwierzęcej białości zębami, z ich dziwnie wstrętnym i przenikającym wzrokiem, dzikim instynktem zniszczenia — obraz ten, mówię, zataił rzeczywistość, a zdało mi się, że są to hordy Dżengischana, spieszące na podbicie Moskwy.

Lecz cóż to za lament słychać z przed chaty Uralca? Młody Kozak, którego jeszcze zatrzymały kobiety, zanim po-
pędzi za swym pułkiem, party żelazną rękawicą carską, sie-
dzi na koniu u wrót rodzinnego domu. Przed wrotami stoi
gromadka niewiast, w sukniach szczególnego kroju, i śpiewa
litanję pożegnania w wierszach nierymowych; a każda zwrot-
ka tego przeciągłego, żalobnego psalmu kończy się słowami:
„Czem my tobie zawiniły, batiuszka gosudar?“

Kozak siedzi nieruchomy i słucha ze spuszczoną głową.
I rumak opuścił łeb i uszy, jak gdyby przeczuwał, że
już nie wróci do tabunu swych czworonogich towarzyszy,
z którymi się wychował.

Nagle pieśń ucichła; koń i jeździec pńcili się cwałem
i znikli pośród lasu, oceniającego jak oaza wybrzeże
Uralu.

Ostatni Benjaminek kozaczy pojechał tedy na wojnę.

I znowu w stancji smętno, tęskno i pusto. Pozostały
tam tylko białogłowy, dzieci i weterani, którym w nagrodę
kilkudziesięcioletniej służby u „białego cara“ dozwolono
umierać pod ojczystą strzechą z prawem — noszenia mun-
duru!

Nadszedł wieczór. Mirjady gwiazd, na kształt siatki
szychowej, osiadły na niebie. Gdzieniedzie głuchy szelest
osamotnionej kępy krzaków, jakoteż przeraźliwe „słuszaj!“
wart moskiewskich, pobudzających się do czujności, przery-
wały martwej przyrody milczenie.

Tam po za rzeką, to już głębia Azji z koczującym lu-
dem Kirgizów, prawdziwych dzieci stepu. Szare namioty
pojawiły się u brzegu i migocą rozłożone przed niemi
ogniska, a na ich tle ruszają się fantastycznie sylwetki ludzi
i koni. Aliści przeauwa się i sznur wielbłądów, postępujących
poważnie jeden za drugim i gdzieś w zmroku ginie.

Natomiast widzisz przemykającą się czajkę po srebrzy-
stych smugach Uralu, i załatuje cię z niej tkliwy dźwięk
gitary. To opuszczona młodyca kozacza wydaje jęki na
drżących pod jej ręką strunach.

Ujmij to wszystko w ramy, a będziesz miał śliczny obraz

wschodu, w oryginalnym kolorycie, przypominający czasy patriarchalne, jakiś rozdział biblij, a tak różny od dzisiejszych pojęć i wyobrażeń naszego świata.

Nazajutrz, gdy wyszedłem na przechadzkę, już nie sły-
chać było gitary, znikła też karawana, niby senne widziadło,
i znowu nad Uralem głusza na puszczy bezbrzeżnej!

PRZYGODA Z KOZACZKĄ.



VI.

Gdy będę na posieleniu,
Pojmę córeczkę Tatara,
Może w dzikim pokoleniu
Zrodzi się Palen na cara.

Pewnej pięknej nocy, gdy księżyc tak wielki, o jakim nie mają wyobrażenia mieszkańcy zachodu, wychylił z po za szmaty chmur pełne oblicze, siedziałem na schodkach przed koszarami, przemyśliwając wedle zwyczaju nad tem, jakby uciec Moskalom. Zdawało mi się, że mam ogień w głowie, tak mię owe nieustanne mrzonki wydobywania się z kleszczy nieprzyjaciół moich utrudziły. Kiepsko ze mną — mówiłem sobie — coraz dalej to gorzej . . . przyczepili się jak jazwa do człowieka . . . O! nazwiecie mię „krugom durak“, jeżeli wam nie czmychnę!

I mierzyłem pięćset-milową przestrzeń dzielącą mię od Europy, przenosząc się myślą na ziemię wolne, szczęśliwe — gdy gefrejter, mój nauczyciel musztry, daje znać, że jakaś pani ma do mnie interes i czeka na błoniu za wałem otaczającym miasto — u wylomu.

Zdziwienie me było wielkie. Lecz wówczas przyjąłbym nawet chorobę, gdyby mię nawiedzić raczyła dla rozerwania zabójczej jednostajności nudów; a cóż dopiero istotę rodzaju żeńskiego, co czekała na błoniu!

Zwijam tedy co tchu balwana, kładę go i nakrywam płaszczem na miejscu, gdzie spać powinienem, aby oszukać

przezorność kapitana, jeśli mu przyszła chętka zjechać nie spodzianie i. rachować, jak trzodę, boży ludek śpiący na podwyższeniu z desek; a sam uzbrojony bagnetem, puszcza się na nocną awanturę. Co będzie, to będzie!

Zziąjany szybkim chodem, przybyłem bez przypadku na punkt oznaczony i — zdumiałem.

Wysokiego wzrostu, szczupła, lecz o zaokrąglonych konturach ciała, wspaniałej postaci, smugłej twarzy brunetka stała przedemną; czarny puszek zarysował jej z lekka wąsiki; spojrzenie miała dumne i nos orli — a piersi jak z marmuru. Słowem, postać typowa azjatycka, w której się przebiła zdrowie i siła pierwowzoru Ewy.

Strojną była w ponsowy z jedwabnego adamaszku „sara-fan“, gatunek tuniki długiej po kostki, kolistej, z której wychodziły szerokie z białego muszlinu rękawy od koszuli. Sarafan od szyi do dołu był spięty na rząd guzików, naszytych na złocistym galonie koronkowej roboty i miał takąż przepaskę. Od jej zawiązki spływały długie końce jaśniejące frenzlą.

Cała ta postać na pustyni, wśród drżących promieni księżycy, cała ta Prozerpina z jej djablęcą fizjonomją, a strojem podobnym do wdzięcznej draperji, jaką przyodziewają malarze błogosławione i święte niewiasty, miała coś niewymownie imponującego, coś z Tysiąca i jednej nocy powieści arabskich. I zjawiała się cudem, jak na potarcie lampy Aladyna, jak gdyby spadła z jakiegoś nieznanego planety.

I pomimo, że już nie obcy mi był widok Uralek, ujrzałem się w ambarasie, nie wiedząc, jak ją powitać. Czy jako zwyczajną Kozaczkę? czy też jak zaczarowaną księżniczkę, lub stepową rusalkę?

Ale tameczne córki przyrody nie znają się na etykietach, nie potrzebują przywitań. Są one proste, jak natura, będąca ich macierzą; dzikie i popędliwe, jak ich rumaki — śmiałe, jak sępy pustyni — a zabobonne, jak fanatyzm moskiewski . . .

Moja Prozerpina zmierzwiwszy mię sokolim wzrokiem od stóp do głowy, zwróciła się do księżycy, a skłoniwszy mu się kilkakrotnie z przeżegnaniami, westchnęła i zawołała:

«Hospodi, prosti moje sogreszenje!» Co się po polsku tłumaczy: Panie, przebacz grzech mój!

Nastąpił przestanek.

— Pajdiom, polskij dworjanczyk! — rzecze do mnie — kakoj ty nieznyj! kakoj ty bielińkij! (Pójdźmy, polski szlachetko! . . . jakiś ty delikatny! jakiś bielutki!) —

Zrozumiałem, że mam do czynienia z czystej krwi młodą rycerskiego szczepu Pugaczewa, należąca do sekty starowierców — jak one tam wszystkie — która przepraszała Boga za schadzkę z poganinem, jakkolwiek Polakiem; bo o Moskalach nie ma co i mówić, w żaden sposób nie mogą oni przyjść do reputacji na Wschodzie — zwłaszcza u swych sąsiadek.

— I cóż, gołąbku? Mąż twój pewnie wymaszerował na wojaczkę; nudziło ci się w chałupie, a nie chcąc wypłakać ślepiąt po dotkliwej stracie, szukasz przy księżycu roztrągnięcia — nieprawdaż?

— Ani mi markotno — odpowie z przekąsem — anim lez ronila po moim trzymiesięcznym tyranie, ale przeczytawszy skazkę: «Bitwa Ruskich z Kabardyńcami», gdzie rycerze tak kochać umieją, nie mogłam patrzeć na niego. O! bo to gład bez serca.

— Rozumiem! Każdy mąż, to tyran z powołania. I jakże ci duszko na imię?

— Na chrzcie dano mi imię Masza, a zowią mię zdrobniale: Maszynka.

— Otóż, moja Maszynko, opowiedz mi twoje frasunki i utrapienia; w jakim jesteś stosunku do twej rodziny? jakie masz widoki i zamysły? a obaczmy, w czym mógłbym ci być użytecznym. Upprzedzam, że wszystko wysłuchać i pojąć potrafię — zwłaszcza od ładnej kobiety.

— Ja tylko chcę, żebyś mię kochał . . . bo mnie nikt nie kocha . . . a tak żyć nie mogę — wyjąknęła, zakrywając sobie oczy.

Prędejbym się bomby spodziewał, niż tak nagłego oświadczenia.

Spojrzałem na nią i żal mi się zrobiło biednej — nie-
doła łatwo zbliża ludzi do siebie.

Owa Kozaczka, walcząca w prostocie swojej z poczuciem
obowiązku i pragnieniem budzącego się w niej serca, wycho-
wana wśród ciemnoty, zabobonów i guseł, bijąca się w piersi
z kornem czołem za schadzkę, którą za grzech uważała — a
rozmarzona jedną nędzną ramotą, gdzie przecież znalazła,
w braku innego, jakiś posiłek dla siebie — ileż to wszystko
nasuwało studjów!

Dowiedziałem się, że miała tylko przy sobie matkę, jak
większa część młodych wdów uralskich, na których uczucia
miłosne car nie wydał jeszcze ukazu; że obie mieszkały na
„futorze“ (folwarku), odległym o kilkanaście wiorst od mia-
sta; że gdy mię przywieziono na dziedziniec koszarowy,
sprzedawała tam właśnie przekupkom żołnierskim jesiotra,
i że wtedy zaraz powiedziała sobie, iż poznać się
z „nieszczęsnym“ musi, skoro się tylko sposobność ku temu
nadarzy.

Słowo „nieszczęsnij“ wymówiła z przyciskiem, uwyda-
niającym głębokie współczucie.

Tak więc obojeśmy się litowali nad sobą, chociaż nie
z jednakich przyczyn.

Wywiedziawszy się od Maszynki o wszystkich rze-
czach i niektórych innych — jak mawiał Pik z Miran-
doli — uległszy jej prośbom: żebym tak nie „dumał“, lecz
do niej coś zagadał, wpadłem w kaznodziejski zapal; wiedząc
zaś, że u ludu wyobraźnia bierze zwykle przewagę nad rozumem
i sercem, począłem jej opowiadać sposobem obrazowym
o dalekich krajach, o niebie, o gwiazdach, o cudach natury,
osobliwości i sztuki, o jakich ani kiedy się śniło dobrodu-
szej Uralce.

Postanowiłem kształcić Maszynkę; przedstawiał mi się
bowiem w perspektywie dotykany cel życia na pustyni,
a widziałem przed sobą surowy wprawdzie, nieokrzesany, lecz
też i nie zgangrenowany jeszcze błędami fałszywej cywilizacji,
a jaśniejący bogactwem przyrody materiał.

Słuchała mię pilnie, zarzucając atoli od czasu do czasu

nader charakterystycznymi pytaniami, zdradzającymi nieświadomość, przesady i uprzedzenia nieboraczki. I tak:

Czy Polacy są ochrzczonym narodem?

Czy święty Jan ewangelista ma najpierwszą rangę w szeregu świętych? i dla czego ziomkowie moi dają się mordować w obronie równości, kiedy nawet trzydzieści tysięcy błogosławionych w niebiosach nie są sobie równi?

To mi sęk zadała! I co jej tu na to odpowiedzieć? Wierzyła nieboga, że ewangeliści stoją najbliżej tronu Bóżeo, za nimi inni ich kamraci, a na ostatku dopiero błogosławieni. Wiedziała wszystko! a nawet, jak tam umeblowane na tamtym świecie; gdy mnie, omylnemu śmiertelnikowi, ani do głowy nie przyszło, aby Moskwa posiadała, oprócz wianka z miljona bagnetów, tak liczny zastęp świętych!

I jak tu powybijać te ówki z czaszki naiwnej Kozaczki?

Tymczasem pytania swoim porządkiem szły dalej, wzrastając, a mianowicie:

Czy „farmazon Hrancuz“ płaci zawsze za to, że się zbuntował, haracz carowi?

Pewne li to, iż nastąpi koniec świata, gdy się Chiny zbuntują? i czy rzeczywiście po za Chinami są zamorskie kraje, nie będące już własnością „gosudara“, gdzie się rodzą ludzie o jednym oku?

— Co u licha twój car, czy tam „gosudar“, tak się wszędzie zagospodarował! — zawołałem zniecierpliwiony.

Maszynka zmieniła nutę.

— Czy znając się — rzecze — na „kartinach“ (mapach geograficznych), mógłbyś za pomocą swych nauk rozemnać, gdzie są zakopane skarby?

— Ba! a jakże nie . . .

— Czy tym książętom ziemskim, którzy się dobrze sprawa i nie pokazują hardości przeciwko starszym, „gosudar“ rozdaje korony?

— Znowu car? . . . o! moja kochana, jak mię będziesz nudzić . . .

— Już nie będę, już nie będę! tylko nie gniewaj się miłaszka, bo widzisz . . . ja się tylko pytam. —

Ta wiara Uralki, nienawidzącej żołdatów moskiewskich, a jednak ślepo wierzącej w potęgę niewidzialną, tajemniczą, nadludzką, mocarza rezydującego gdzieś na północy w ogromnym grodzie „z kamienia“, gdzie są pałace ze „złoconymi dachy“, i gdzie wody zamiast płynąć na dół, tryskają do góry „z gardzieli posłusznych smoków“; owa zaszczipiona za pośrednictwem straszliwej tradycji wiara w „białego cara“, niezwalzonego jak fatalizm, wielkiego jak świat, wszechmocniejszego od samego Stwórcy, boleśnie na mnie oddziaływała — i już zaczynałem wątpić, czy ją oświecić zdołam, tę biedną kobietę.

Maszynka wierzyła także, że sławny herszt powstałej Kozaczyzny, Pugaczew, nie był schwytyany i śmiercią ukarany, lecz że zawsze żyje (na złość chronologii), gdyż jest posiadaczem czarnych ksiąg i ma stosunki z duchami. Przechowuje się tylko w rozpadlinie jakiejś góry i czeka, aż grzechy rozmnożą się w „matuszce“ Moskwie; aż tam w pierwszą niedzielę postu zapalą woskowe świece zmieszane z łojem w cerkwi, gdzie popi przy liturgji wyklinają pamięć Pugaczewa — będzie to bowiem stosowna chwila do zemsty.

Co za mięszanina pojęć mieszczących groźbę okropną? co za mgły w słabej, niewieściej głowinie, przy gorącej wyobraźni wschodniej!

Maszynka miała cudownej urody siostrę o długich po kostki warkoczach. Otóż ta jej siostra umarła na cholere, sprowadzoną przez urzędników moskiewskich.

— Prawda! — zawołałem — oni ją i do Polski sprowadzili . . .

— Nieboszyk mój ojciec — przerwie uradowana, że choć raz zgodziliśmy się na jedno — widział tę cholere. Nie wiem, czy ją znają i Polacy? O! bo to chytra „swolocz“.

— A jakże ona wygląda?

— Toć wygląda!

— Przecież?

Tu Maszynka wyjaśniła rzecz dokładniej:

— Jest to — rzecz — mała, wychudła figurka, która rośnie w oka mgnieniu. Ot tak . . . kosteczki . . . kosteczki . . . i znikło! Osóbkę tę ów tylko może nosić schowaną w kieszeni, kto zawarł przymierze z „szajtanem“ albo z „antychrystem“, jak to zrobili „ruscy czynownicy“. Jeden z tych ichmościów, co tutaj przywłókł się na śledztwo, przywiózł ją z sobą, to też ludzie padali jak muchy — i moja najdroższa Saszyńka . . . Racz ją zbawić, Panie! —

Na tych i tym podobnych rozmowach noc nam spelzła. Potrzeba się było rozejść, zanim ranek zaświta. W porze letniej przybywa on na Wschodzie wkrótce po północy; a już kukuryki kogucie, rozłożone na dyszkanty i basy, w poddaszach wrzawę czyniły.

— Bądź zdrowa, Maszynko!

— Do widzenia „lubieżnyj“!

I rozstaliśmy się z sobą.

Wracając chyłkiem do koszar, medytowałem: Co tu z nią zrobić? . . . Zagwożdżona łepeta, dźwigająca ciężar barbarzyństwa odwiecznego . . . przedzielona odemnie najmniej lat tysiącem! Z tem wszystkim pokaźna, gładka białogłowa, a jaka oryginalna! . . . Zawsze to coś lepszego, niż smaczne cygaro, albo kieliszek dobrego wina . . . choć i na tych zbywa tu człowiekowi . . . Tylko że ona chce koniecznie miłości — bagatela? Wreszcie, któż się to dzisiaj kocha? . . . Oszałała ona!

Lecz znowu myślę: Gdyby też ją dla siebie sfanatyzować, iżby mi dopomogła do ucieczki . . . na przykład, żeby mię wykradła . . . hej! Wszak nie zły projekt? W najgorszym razie drapnęlibyśmy razem . . . Przywiózłbym ją z sobą, do Paryża . . . w tym samym krasnym sarafanie, w którym ją poznałem. Doskonale! niech się choć djabli naśmieją, a Moskale nazłoszczą.

* * *

Mijały dnie, tygodnie, nastala przesliczna jesień — ani słychu o Maszynce! Przepadła jak błędny meteor, ni śladu po sobie nie zostawiwszy.

W każdy dzień świąteczny, gdy wyświeżone Uralki, strojne w różnobarwne sarafany, ujawszy się pod boki, płażały, niby ruchome grzędy kwieciste na „polance“, oddzielającej koszary od miasta — kręciłem się tam w nadziei zoczenia Maszynki, lecz nadaremnie; zginęła gdzieś bez wieści.

I przykro mi było . . . tyle na jej pomoc rachowałem . . . Z licznych planów ucieczki, trawiących mię bez końca, współka z Uralką, znającą wybornie okolicę, zdawała się być najpraktyczniejszym i wiodącym do celu pomysłem.

Ale cóż — kto zrobił plan, a nie ma środków do wykonania go, nic nie zrobił. Za zniknięciem Maszynki wszystkie me mrzonki o wolności runęły jak domek, który z kart stawiają dzieci.

Otrzymany zawód tak przykre na mnie zrobił wrażenie, iż obawiałem się pomieszania zmysłów na myśl ucieczki; nawyknął do „szynieli“ żołdackiej i do szponów moskiewskich było mi niepodobieństwem.

Ha! nie umiałeś się obejść należycie z Kozaczką, wadziłeś się z nią o przekłętego cara zaraz na wstępie, przypisz więc sobie winę; nie ty ją, ale ona ciebie puściła w tr . . . Skoro nie potrafiłeś korzystać z okoliczności, to i pokutuj za to!

Po tych wyrzutach czynionych samemu sobie, po tych walkach wewnętrznych chodziło teraz o to, aby rozpatrzywszy się w nowej dla się sytuacji, przebyć samemu ów step, mający jeden tylko szlak, utrzymywany na wojennej stopie przez straż graniczną, którego minąć piechotą i do tego z ostrzyżoną krótko czupryną nie można było; zboczenie zaś zagrażało zabłąkaniem się na pustyni i śmiercią głodową.

Gorzki uśmiech, głucha boleść i zamiary przerażające, szalone, wstrząsnęły gwałtownie mojem jestestwem i podkopały zdrowie; bo coraz więcej zawał do spełnienia przedsięwzięcia napotykałem.

Postanowiłem wytruć, jak szczurów, cały bataljon Mo-

skali, i gdy się za brzuchy chwytać zaczęą, powiedzieć im: Ja to sprawilem!

W rozpaczliwym wtedy duch mój znajdował się nastroju i mózg był strudzony drganiem.

Tymczasem nadeszła zima i okryła step grubym, białym całunem, po którym ucieczka jeszcze trudniejszą by się stawała.

Aliści jakiś rekrut podchodzi do mnie z poszeptem abym się udał za ścianę prawego skrzydła maneżu.

Pewnie ktoś czeka z kolegów — więc biegnę!

Lecz wśród zmroku niknącego wieczora postrzegam tam sanki z niewyraźną postacią we środku. Zbliżam się do niej, przypatruję i dwa stłumione ach! wrywają się z piersi naszych.

— Sadiś i dierziś! (Siadaj i trzymaj się!) — Krzyknie Maszynka wesoło. —

To czysty dar Boży na moją pociechę . . . jakaż niespodzianka! Nie tracąc czasu, wskakuję do sanek. Maszynka świsnęła, konie zadrzały, parsknęły i uniosły nas cwałem.

Nie przypuszczałem, abym taką miał z niej dzielną amazonkę!

— Już myślałam, że cię więcej nie obaczę — rzecze pieszczotliwie — a tyś może i nie wspomniał nawet o twojej Maszynce.

— Co tobie się stało, „duszynko“?

— Chorowałam.

— Jakto? od tak dawnego czasu?

— Nie ze wszystkiem. Przyszedłszy nieco do siebie, wyjeżdżałam na rybołówstwo . . . aleś mi ciągle stał przed oczyma . . . to też i jestem!

— Dziękuję ci, serce! Powiedz, czy pojechałabyś ze mną do Polski? . . . tylko szczerze.

— Hm! . . . do Polski . . . a cóż? . . . gdybyś mię bardzo kochał . . .

— A do Francji?

— Za nic w świecie.

— Dla czegoż to?

—, Bo Hrancuz nieochrzczony naród. —

Konie skręciły na „polankę“. Maszynka potoczyła wzrokiem, napinając go w niektóre punkta, jakby w celu zbadania, czy nam nie grozi jakie nieszczęście na owym placu, gdzie tylko nieprzyjaciele różnych wyznań z sobą się spotykają.

Potem wychyliła się z sanek i znowu świsnęła. Kawały śniegu zlodowaciałego pierzchnęły z pod kopyt dziarskich biegunów i sunęliśmy się szybko, niby cienie zakłete.

Już, już dopadaliśmy miasta, gdy wtem spostrzegamy, że coś czarnego zdąża po śniegu ku nam. Wpatruję się i nie mogę rozeznać przedmiotu.

— Pikieta! pikieta! — wrzasnęła Maszynka, rozpuściwszy knut po nad grzbiety końskie, a bystre rumaki, jak na skinienie różczki czarodzieja, skoczyły galopem.

W samej rzeczy, straż kozacza obaczywszy kogoś śmigającego od strony koszar, powzięła zazdrosne podejrzenie, i hejże nas ścigać z boku; biegła póki mogła, aleśmy ją wyprzedzili.

Wkraczamy do najbliższej ulicy — trzebaż atoli zdarzenia, że jedna ze szkap pośliznąwszy się na lodzie, wykręca nogę i pada na drodze!

Nie ma czasu jej podnieść; dreszcze mię przeszły z obawy co to dalej będzie?

Ale amazonka się nie zraża, lecz rzuca się z sanek ze zręcznością pantery, dobywa noża i odcina od zaprzęgu upadłego kalekę; sama zaś widząc, że pikieta tuż . . . tuż za plecami, robi znak krzyża świętego i z wysileniem pogania kasztanka jedynaka.

Tym sposobem zemknęliśmy przecież pośród ciemności w zaułkach zbudowanego w szachownicę mieściska. Napastnicy zostali daleko w tyle.

Odetchnęliśmy swobodniej.

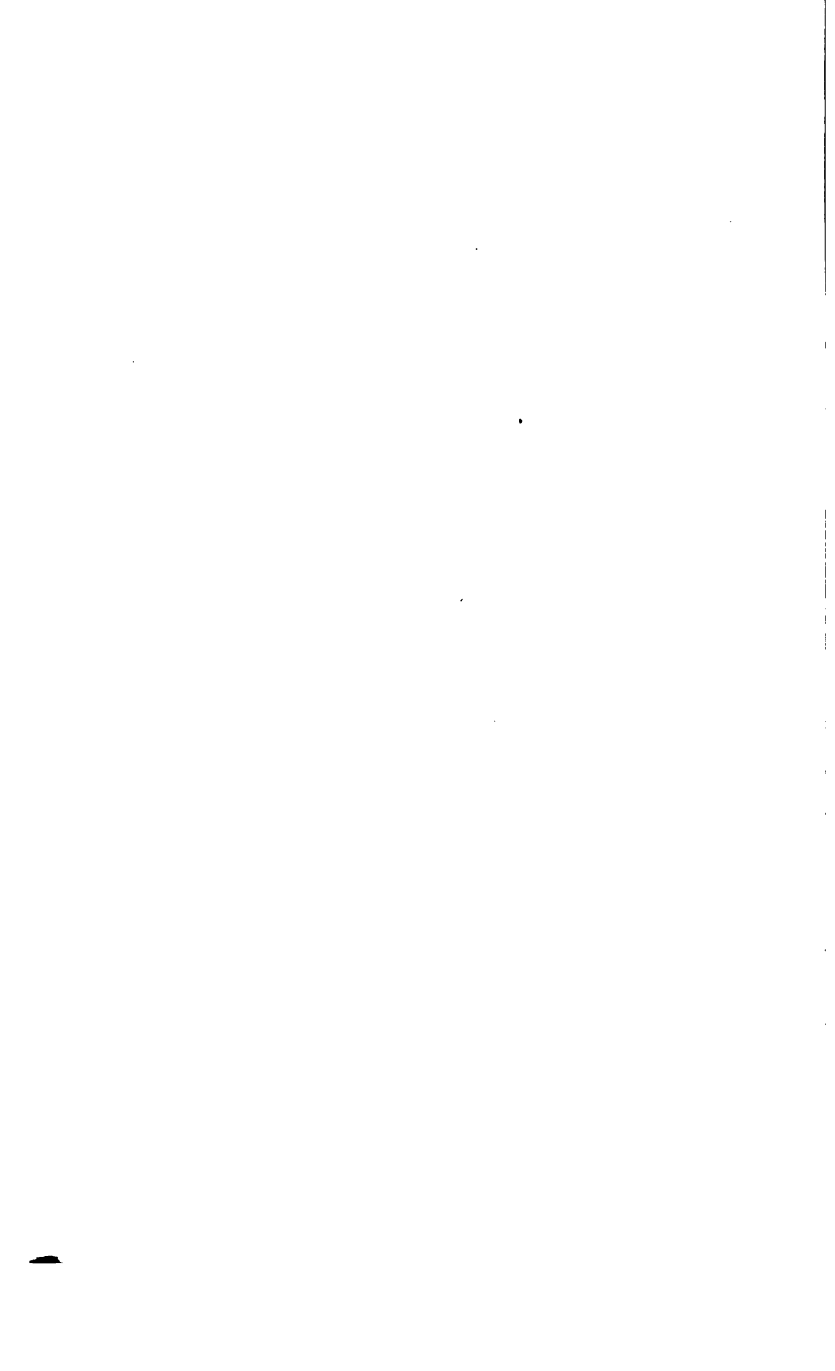
Bo też nie lada niebezpieczeństwo wisiało nad obojgiem, na wypadek pojmania przez hajdamaczyznę, a której nie mielibyśmy na razie czem się okupić.

Stać by się mogło, iż dawnym zwyczajem miejscowym, zawiązanego w worek, wrzuconoby mię do przerebli na rzece — rybom na pastwę, mej zaś współniczce pomazano głowę smołą, na hańbę wieczystą.

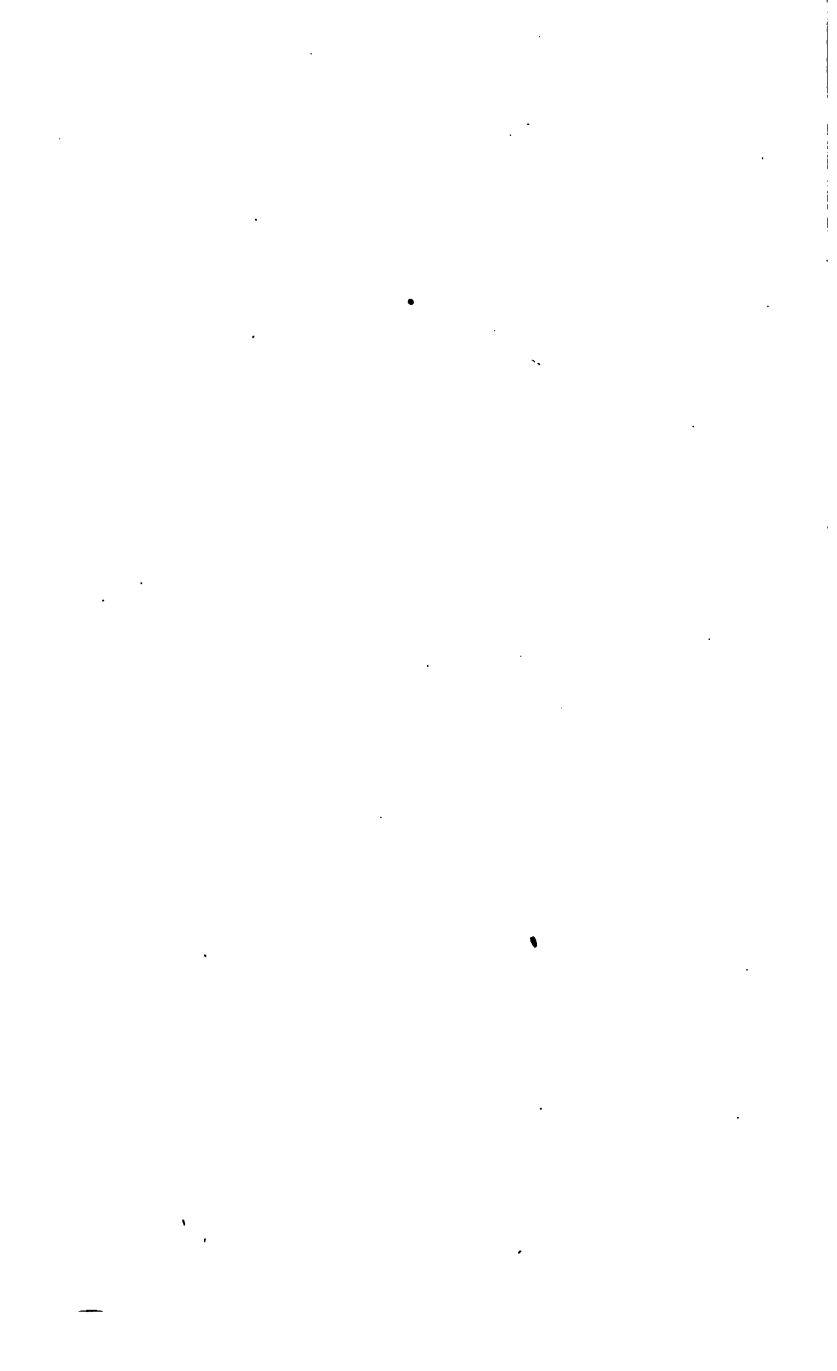
Maszynka zatrzymała się przed bramą nieznanego mi schludnego domku, gdzie do okiennicy zapukała prędko trzy razy — potem nastąpiły dwa powolne, miarowe stuknięcia.

Na taki znak dopiero otworzono nam — dwie wysmukłe młodyce ukazały się w progu — jedna z nich wzięła lejce od koleżanki, druga wprowadziła nas do izby.

Począłem się rozglądać.



**CHATA MOŁODYCY I HURAGAN NA
PUSTYNI.**



VII.

Step gdy zawyje świstem huraganów,
Biała oazom — śmierć się w koło szerzy —
Zasypie niwy potokiem tumanów,
W zniszczeniu szął swój uśmierzy.

Izba na pierwszy rzut oka przedstawiała wnętrze świeżo zrobionej szkatułki: podłoga w niej bowiem, sufit i ściany były jednakowe, gładkie, wyheblowane i tak czyste, że rysowały się na nich słoje drzewa, z którego dom zbudowano.

Takież stały ławki przy ścianach, tudzież prostej roboty stół, z za którego wyglądał szereg siedzących Kozaczek, każda w różnej barwie. Można tam było widzieć i biały jedwabny sarafan ze złotymi galonami, i czarny ze srebrnymi, i niebieski — ale kolor czerwony przeważał.

Twarzyczki tych dam były pulchne i ręce delikatne, nie przywykłe do pracy. Ryby bowiem i kawior z Uralu — po którym mi dotąd smak w gębie pozostał, a którym mężowie owych pań handel z całym światem prowadzą — wystarczają na ich łatwe utrzymanie, a nawet i na zbytki, jak n. p. na ciężkie materje, sprowadzane z sąsiedniej Buchary, któremi swe wdzięki przystrajają. Pozbawione jedwabiu, uważałyby się za najniezszczęśliwsze istoty.

Pokazuje się, że kobiety na całej kuli ziemskiej są do siebie podobne: nic nie jest dla nich potrzebniejszego nad to, co zbyteczne.

Na stole leżały małe organki, a w rozstawione czasie nasypano orzechów. Kozaczki bowiem lubią łupać je i przygrywać razem; słowem, lubią się bawić, pohulać sobie, gdyż natura ich nie cierpi czczości.

Skłoniłem im się na wstępie, ale śnać nie zrozumiały mojej grzeczności. Nie znaliśmy wzajemnie naszej etykiety I nic dziwnego: co kraj, to obyczaj!

Bo i otóż Maszynka podstąpiła do ściany, zawieszanej mnóstwem różnej wielkości w srebrnych ramach obrazów przed którymi gorzały cienkie woskowe świece.

Maszynka kłania się owym czczonym wizerunkom i żegna kilkakrotnie, ale tak szybko, jak gdyby muchy z siebie odganiała. Stoję za nią i patrzę, nie wiedząc, co mam począć? Nie uznałem za stosowne, wreszcie nie umiałem tak się żegnać jak ona.

Zauważyłem tylko, że święci byli poubierani w szaty z wytłaczanej srebrnej blachy, a ręce i twarze mieli oliwkowe. I rzekłem sobie: Na drzewie umęczon boski nasz Prawodawca! A to sreberko, to może przetopione ze świeczników zrabowanych u nas dworów i świątyń, lub z polskich złotych porozbijanych poczt po gościńcach!

Maszynka po skończeniu, dopiero swojego obrzędu pozdrowiła grono rodaczek i kazała mi usiąść przy ogólnym stole, a sama zajęła przy mnie miejsce. Wniosłem ztąd, że miała w chacie wielkie wzięcie i powagę. Są osobistości, które z natury swojej panują nad innymi. Do tych należała Masza.

— Czy nie jesteś przypadkiem trubocznik (fajczarz)? zagadnie ni z tego ni z owego błękitny sarafan.

Moja wierna towarzyszka trąciła mię nogą.

— Nikak niets! — odpowiedziałem.

I dobrzem zrobił, żem się wyparł tytoniu, gdyż Uralki zowią go czartowską trawą i gotowe uciec z izby, gdybym im był oznajmił, że lubię czasami puszczać sobie dym z komina moich usteczek. Zbliżają się one pod tym względem podobieństwem do Amerykanek z Filadelfji.

Wtem przyniesiono na stół ogromny miedziany samowar

i rozdano z chińskiej porcelany filiżaneczki, cienkie jak papier, a kształtem podobne do kubków.

Zwyczaj nakazywał, abym w tej okoliczności posłał z mej strony po wodziunię, co też uczynić nie zaniedbałem. Kozaczki bowiem nie gardzą truneczkiem.

Tymczasem gawędka szła wesoło, przerywana śmiechem; samowar zaczął mruczeć po swojemu, obiecując nam herbatę, a chata przybrała postać niedzielną.

Bo trzeba wiedzieć, że we wszech Moskwie każdy, bogaty czy biedny, muzyk czy dworzanin, pop czy oficer, ma pewien rodzaj szacunku, więcej jak szacunku, dla swego samowaru. To jedno uczucie łączy tam wrogie sobie warstwy społeczeństwa. Dziedzic sprzedałby był za samowar swego poddanego, ten zaś oddałby wszystkich dziedziców za owe ulubione naczynie, rozweselające go w jego ubóstwie.

W Rosji samowar jest to klejnot domowy. Błyszczą on w oknie u każdego niemal włościanina. Chcąc tam wywołać między chłopstwem i mieszczaństwem rewolucję, dosyć jest zakazać im używania samowarów.

Przy samowarze zawiązują się zwykle bliższe znajomości; jejmość gospodyni domu ma sposobność popisania się ze swą zręcznością, ze swemi zaokrąglonemi zalotnie ruchy, i swą uprzejmością dla gościa; przy samowarze odbywają się swaty, prowadzą interesy handlowe, i t. d.

Bądź co bądź, zrażonemu do zapowietrzonych koszar, miło mi na ten raz było pośród kumoszek kozacych, przy owym syczącym samowarze. Wszystko mię u nich zajmowało, nie wyłączając nawet koguta, stąpającego poważnie w żółtych ostrogach po pokoju — wszystko to bowiem miało coś familijnego w sobie, a od czego surowe reguły żywota na żołdacki sposób odzwyczały mię były.

Popijając herbatkę z Maszynką, czułem się taki swobodny! — Samotnikowi przyjemnie jest mieć choćby kawałek kobiety przy sobie, choćby usłyszeć szelest jej sukienki. Pokazuje się, że natura ludzka ma swoje niewzruszone prawa, niechaj co chcą mówią starzy kawalerowie! Rozumie się, że ja nie mam nic z nimi wspólnego. A kysz! a kysz!

Od Maszynki nauczyłem się pić „czaj“ tak jak ona, w tak zwaną przekąskę, jak go pijają pospolicie wszystkie stany w Moskwie, z wyjątkiem artystokracji, to jest: trzymając w zębach kawałek cukru, przepuszczając przezeń do gardła niesłodzoną herbatę ze spodka od filiżanki, opartego dnem na trzech palcach.

— Czy u was tam w Polsce jedzą gołębie? — zagadnie mnie znowu niesforny sarafan, jak gdyby coś cierpiał do mnie.

O małym się nie zakrzusił, wyplułem cukier i:

— Nikak niets! — wyjąknąłem, będąc uprzedzony, że starowiercy poczytują gołębie za duchów świętych, których zjadać nie wolno.

Potem trąciliśmy kieliszkami, i podochocone Kozaczki zaśpiewały chórem swoją ulubioną pieśń narodową:

„Za Urałom, za riekoi,
Kozaki hulajut
I żywut bohato,
I żywut bohato!“

Przy pożegnaniu zaś zanuciły krotofilną zwrotkę fantazji moskiewskiej:

„Jechaw czytyk w łódeczkie w generalskim czynie.
Wypijem my wodoczki po etoj przyczynie!“
(Jechał czytyk w łódeczce, jeneralskiej miny,
Napijemy się wódki z tej ważnej przyczyny!)

I znowu trąciły kieliszkami.

Już byłem na ulicy, zdążając do koszar, aby się nie dostać do kozy za spóźnione nadciągnięcie po przebicie cap-strzyku, a jeszcze zalatywały mię wiersze z akompaniamentem organków:

„Czumadan, czumadan,
Komu хочzu, serdec dam!
Hi, hi, hi! — ha, ha, ha!...“

Śnać się mołodyce ulułały.

Zapomniałem dodać, iż przed rozpoczęciem skromnej bachanalji, nie zaniedbały one pogasić świeczek przed bożyszczami i pozasłaniać im oczów.

* * *

Od tego czasu Maszynka częściej przyjeżdżała do mnie; lecz schodziliśmy się w mieście, aby nie dać drugi raz okazji do pogoni podejrzliwej policji kozackiej, która szukała zawsze sposobności, żeby mózż bójki staczać z bezbronnymi żołdatami, stojącymi u nich garnizonem.

Jak wielka zaś panuje między niewiastami uralskiemi solidarność, chroniąca je od surowości ich męzczyzn, i jaka jest między niemi wzajemna tolerancja, dowodzą to najlepiej wybiegi Maszynki, która nigdy nie zawiozła mnie dwa razy do jednego i tegoż samego domu, lecz zawsze zajeżdżała do innego, przez ostrożność, aby jej nie wysledzono.

Wszystkie więc gościnne i usłużne gosposie, u których spędzaliśmy wieczory, znały się jak lyse konie między sobą, i prawdopodobnie jednakowych były obyczajów, tak cechujących uralską rzeszczopolitę.

Niektóre prosiły mię, aby je poznać z Polakami.

Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie! Nocne wycieczki tego rodzaju wcześniej czy później mogły mię narazić na ogromną odpowiedzialność, kto wie, czy i nie na zgubę? . .

Raz nawet, gdy się w najlepsze z Kozaczkami zagadałem, buntując je przeciw Moskwie, poczęto walić do okiennicy. Struchlały nieboraczki. Atoli jedna z nich śmielszej natury, nie tracąc przytomności, każe mi włożyć do swego łóżka.

Ponieważ zdawało się, że nie ma innego środka ocalenia, gramolę się zatem na kupę pierzyn i poduszek, usłanych pod

rozpiętym z muszlinu pawilonem, i tonę w nich, przysunąwszy się do ściany. Odważna zaś młodyca siada na brzegu łoża, daje szcztka uspijonemu chłopięciu w kołysce, zawieszanej na linie u sufitu pod pawilonem; przebudzone pacholę aczyna wrzeszczeć przeraźliwie, gdy matka mu przyśpiewuje lu, lu, lu, la, la, la! i tak urządziwszy scenę, poleca otworzyć wrota nieproszonym gościom.

Zuchwała i hoża Masza, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, porywa za topór i wybiega na spotkanie rozbójników, gdy ją tymczasem wydobywam kindżał z zanadru i gotuję się do obrony.

Lecz za chwilę amazonka moja powraca, zanosząc się od śmiechu. Rozbójnikami bowiem były maski karnawałowe, chcące pokazywać figle za pieniądze. Kobiety w popłochu zapomniały o swoich „świątkach“.

Nie wiedziałem, że i Kozacy mają karnawał; czułem tylko że nie po rycersku jakoś wyglądam w obec wnuczek męznego Pugaczewa, wylaząc z pod ich piernata, gdy minęło niebezpieczeństwo. Nie mogłem sobie darować, żem usłuchał niewieściej rady; koczyło mię to bardzo; i dla tego tym razem wyniosłem się z chaty wcześniej niż zazwyczaj, w dosyć kwaśnym humorze.

Obiecałem był Maszynce, że następny raz pojedę do niej na wieś. Widząc bowiem, że z czasem tak się do mnie przywiązała, iż skinieniu niemal była posłuszną, przenikając myśli moje, postanowiłem ostatecznie do ucieczki ją przygotować i zaraz me zamiary wprowadzić w wykonanie.

Pocziwa Maszynka widziała we mnie wyrocznie dla siebie. Cieszyłem się tem bardzo — nie z próżności, broń Boże! — ale podobnie jak się cieszy ogrodnik, który doprowadził do pełnego rozwoju kwiat przez siebie pielęgnowany.

I odtąd nawiedzałem częściej towarzyszków broni, rozstawałem się z nimi z rzewnem słowem, w przekonaniu, że gdy im zniknę bezpowrotnie, zrozumieją wtedy sposób, jakim ich żegnałem. Zwierzenie się im z zamiaru uważałem nie tylko za niepotrzebne, ale i za szkodliwe, nie znajdując blisko

siebie nikogo, ktoby miał dość cywilnej odwagi do spełnienia ryzykownego przedsięwzięcia.

I mówiłem sobie: sanna doskonała, stępałki Maszynki jak trzy gończe charty; przytem kozuch wyśmienity, naciśnięta barania czapka na czoło, owiązana szalem ogolona broda, sanki napełnione spiżarnią i dzielna amazonka przy mym boku — a snadno przesuniemy się przez pustynię, zanim Moskale zwąchają, że nas im brakuje.

Na oznaczony dzień moja dobrodziejka przyjechała po mnie. Wprawdzie tej doby miałem kolej pójścia na wartę, lecz udało mi się nająć żołnierza za siebie i tym podstępem rozpuścić na dwadzieścia cztery godzin pęta mej niewoli.

Schadzkę naznaczyliśmy byli sobie daleko za miastem u zwykłej mety mych wiosennych przechadzek: na historycznym mostku zawieszonym nad parowem.

Wskoczywszy do sanek, obejrzałem się z żalem na Uralsk. Ukazał mi się samotny, opuszczony, jak pień na pustyni snem ujętej, przyrodzianej śnieżną, miękką kotarą. Jednem rzutem oka objąć go mogłem.

Znikł już z przedemnie, roztopiły się już na kanwie powietrznej jego bizantyjskie kopuły cerkiewne; ja się jeszcze nań oglądałem, na ową starą siedzibę. O tyle jest prawda, że dziwnych człowiek doznaje uczuć, gdy opuszcza miejsca, gdzie spędził długie, jakkolwiek szare pasmo dni swoich.

Oglądałem się, mówię, na ów czyściec mego żywota, w którym tylu a tylu jeszcze pozostało braci; gdzie młodzież nasza marnuje najpiękniejsze swe lata, starzejąc się przed czasem; gdzie więdnie, jak przesadzone z pod słońca do krainy lodowatej rośliny. A są to po większej części ludzie, których wiek rokował najchlubniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywateli.

I boleśó mną miotała na myśl, że pozostawiam ich na ziemi ucisku, i zgrzytałem zębami na mą bezsilność.

Maszynka siedząc z lejcami w dłoni na poręczu sanek,

szanowała moje milczenie, jak gdyby rozumiała, z kąd ono pochodzi.

Potem chcąc mię rozerwać, opowiadała zajmującą historję o mostku, punkcie schadzki naszej, a słowa jej ujarzmiły uwagę moją.

Rzecz się tak miała:

„W 1837 roku zawitał był do Uralska Aleksander II., będący podówczas wielkim księciem, następcą tronu i wielkim hetmanem kozackim. Wszystko miał wielkie!

„Synowie stepu, potomkowie Pugaczewa, wysłali do niego deputację, jako do najmiłościwszego opiekuna, z żądaniem naprawienia krzywd wyrządzonych im różnemi czasy tudzież powrócenia odwiecznych przywilejów, które wszechwładny rząd, raz głaszcząc ich w porze wojennej, drugi raz przemocą podczas pokoju, powoli im wydzierał.

„Ataman, piastujący godność naczelnego dowódcy Uralców, lecz przydany im z ramienia moskiewskiego, nie dopuścił posłów do podnóżka carewicza.

„Otóż panowie posłowie, nie namyślający się długo, zaczęli się pod mostkiem, czychając na Aleksandra w dzień jego wyjazdu.

„A gdy powóz carewicza nadjechał, gromada brodatych starsuszków wyskoczyła z pod mostu z sążnistem podaniem do jego wysoczystwa.

„Jego wysoczystwo tak się przeraził tą niespodzianką, jaką mu wypłatali w najlepszej wierze Kozacy, iż krew pociekła mu gębą i nosem. Ochłonawszy atoli z przestachu, przyjął podanie i obiecał im wszystko, o co prosili i nie prosili.

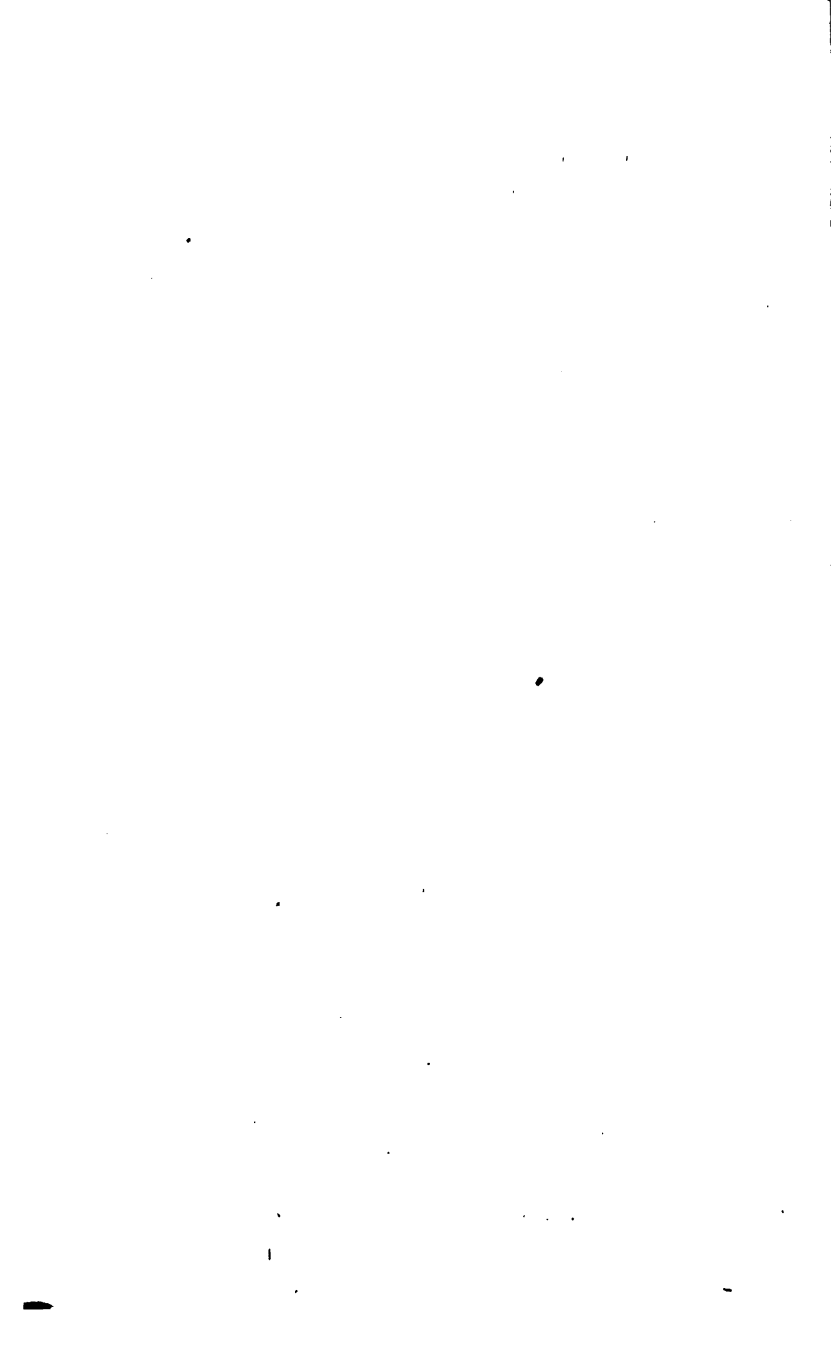
„Ale obiecanka ta dała im się wkrótce we znaki, gorzej od kości w gardle.

„Rozpoczęły się pałkowania, gonitwy, łapanie; był to sądny dzień dla Uralców: padło wielu niewinnych, kilka pułków rozesłano w odległe krańce Syberji, miasto zostało opustoszone za obrazę majestatu najmiłościwszego Aleksandra Mikołajewicza . . .“

— Spójrzyj-no na niebo! — zawoła nagle, przerywając swą opowieść Masza. — A czy słyszysz ten wicher z dala? . . . Zła to wróżba . . . lecz nie bój się nic, mi-łaszka! —

— Orłom dieti! sokoliki wy moi! — krzyknęła na rączą trójkę, a ta poskoczyła jak oparzona.

Uciekaliśmy przed nadciągającym huraganem.



**U MOŁODYCY WŁOS DŁUGI, ROZUM KRÓTKI,
ALE SERCE TĘGIE.**



VIII.

Chmury z drogi, wiatry z drogi,
Ja pędzę, ja nie znam trwogi.

Leć więc trójko udalaj! parskaj rozdętymi nozdrzy!
suń z wichrami na wyścigi! coraz dalej, coraz chyżej . . .
u Maszynki stań!

Bo już śnieżne fale toczą się za nami, piętrzą się bałwany, ryczy mokra nawałnica piekielnej zawiei.

Zamroczył się widnokrąg, rozhulał huragan i dmucha po kirgizkim stepie.

To dusiciel! co w skwarne lato był z słońcem w przyjaźni, kąpał się w żarach i bryzgał wrzącym piaskiem na mongolską karawanę.

A Mongoły spiekłe miotały bluźnierstwa przeciw Bogu, co go zesłał; lecz próżne wycia, marne wrzaski, huragan posuwał się dalej.

To dusiciel! co w zimie pokrywa białym całunem ludzi i wielbłądów, stada owiec i koni, i wszystko co napotka.

A biada temu, kogo zaskoczy na drodze: umrzeć wtedy musi z całym swym dobytkiem; bo paszcza ziemi, na której huragan zwykł wyprawiać harce i gonitwy, tylko trupami żyje!

Z owym to rozdętym śmierci gońcem pędziliśmy w zawody. Maszynka chciała go wyprzedzić, lecz chociaż nie należał do najgorszych wicherzycieli, dognał nas przecie.

Nie było ratunku w walce z fatalizmem — wypadło się poddać.

Bohaterka zatrzymuje tedy spienione konie, kopiące się przez śniegi, bo nie ma już nigdzie śladu drogi; w koło step, straszny ocean zniszczenia, mroźna zasypa tnie w oczy, wiatr gwiżdże i burza huczy!

— *Hospodi pomiluj!* — zawołała młodyca, dobyła wołoka i nuż mię owijać co prędzej, mało na siebie zważając. Miała wprawdzie futro na ramionach, lecz cóż to znaczy w obec huraganu? Jedynie wołok oprzeć mu się może, a nie mogłem jej zmusić, żeby i o sobie nie zapomniała. Cała rzecz, że zbawienny wołok nie był dość szerokim, aby wystarczył dla nas obojga.

Biedna kobieta usłuchała wreszcie głosu mego i otuliśmy się jak mogli. Nie dostrzegłem atoli, iż nogi jej były narażone na przeziębienie ze zbytnej troskliwości ku mnie.

Tymczasem burza ciągle huczała, aż w końcu zarzuciła na nas koldrę białą puszystą.

Ogrzewaliśmy się tchnieniem piersi naszych; nie wystarczyłoby to atoli, i przenieśliśmy się oboje chcąc nie chcąc do krainy duchów, gdyby huragan nie był się na szczęście wprędce udobruchał.

Zaszumiał on z całą wściekłością raz ostatni na pożegnanie i gdzieś sobie jak szalony poleciał, zostawiwszy nas żywych.

Widnokrąg się wypogodził. Widać tylko było w oddaleniu na horyzoncie łunę, podobną do olbrzymiej grupy czerwonych skał, osiadłych na ziemi.

Wyleźliśmy z pod wołoka i poczęli się rozpatrywać w szczególnej sytuacji.

Ze wzajemnej narady wynikło, iż trzeba zostawić uwięzłe szkapy, a samym bądź co bądź brnąć z powrotem do Uralska, który znacznie bliżej nam się być wydawał od folwarku Maszy.

Kopaliśmy się zatem przez śnieżnice i zawieje, odpoczywali co kilka kroków i znowu przekopywali, oblani potem z utrudzenia, ostatnich sił dobywając. Gdyby nas napadł był drugi raz niesforny wichrzyciel w ciągu pieszej podróży, śmierć pewna, niezawodna!

Patrzac na kroczącą i zapadającą się co chwila Maszynkę,

a pomimo to wyciągającą rękę w chęci dania mi pomocy, gdy się chwiałem ze znużenia, dziwny proces uczuć odbył się w mej duszy.

I zdało mi się, że ta kobieta, którą przygody tak zbliżyły do mnie, jest zapoznaną, godną lepszego losu, a przynajmniej zawdzięczenia z mej strony. I znalazłem ją piękniejszą niż zwykle. O tyle jest prawdą, że siła uczucia wyradza się w człowieku, do którego jest zwrócone drugie, podobnie uczucie.

Promieniejące dobrocią i poświęceniem oblicze Maszynki nabierało nieznanego mi dotąd wdzięku i jaśniało jakąś aureolą. Boć przecie pochodzeniem swem należała ona do wrogię mi szczepu, a zdobyła mój szacunek i serce mocą swej ofiary!

Potoczyłem wzrokiem do koła. Nigdzie oko nie znalazło dla się odpoczynku: wszędzie nago, równo i białe; przerażająca cisza w naturze! I ciągle się zdaje, iż się jest na tem samym miejscu.

Lecz otóż zabłysło słońce; łamanie się światła o rozpostarty obrus połyskujący djamentami, po którym z trudem stąpamy, zaćmiewa nam źrenice. Wtem opodal ukazują się jakieś oszańcowane zamczyska, kopce, minarety, w olbrzymich rozmiarach, ginące gdzieś w obłokach. Rozśmiała się młodycyca, będąc już obeznaną z owym majakiem stepowym, i zapytała naiwnie, czybym ją bardzo kochał, gdyby taki świat cudów zdołała stworzyć dla mnie?

Zbliżamy się ciągle do owego fantasmagorycznego grodu, lecz on usuwa się przed nami, w miarę jak postępujemy.

Z jakiegoż to kraju sfotografowało słońce ów ciekawy obraz na pustyni? Nie wiadomo. Ile secin mil rozdziela to odzwierciedlenie od rzeczywistego przedmiotu? Któż to wiedzieć może!

Naturaliści przypisują ten fenomen optyczny wyziewom pary. O podobnych zjawiskach zarówno na pustyniach jak i na morzu wiele już napisano teorii. A chociaż owe przypuszczenia nie zupełnie zgadzają się z sobą, i choć ktoś mi powiadał, że ciężko uczeni doktrynerzy zazwyczaj najmniej wiedzą, chciałbym atoli im wierzyć, gdyby nie ta okoliczność,

że wśródmojej pielgrzymki z Maszynką nic na stepie nie parowało.

Ulatniały się raczej w powietrzu krystalizacje, pyłki podobne do okruszyn brylantowych, pojawiające się nad poziomem w tęczy kolorach z powodu gry światła, które jednak opadały na ziemię.

Już się miało ku zachodowi; już Muezyn wzywał wierną Mahometowi ludność tatarską na wieczorną modlitwę; już jego tęskny, przeciągły i płaczliwy okrzyk muzułmański: „Hillalli hałłała!“ — rozlegał się głośnie echem, a słońce zapadające na spoczynek rzucało krwawe błyski, pokrywające step różanym tiulem — gdy zziębnięci, zmęczeni całodziennym pochodem, dowlekliśmy się przecie do bramy miasta.

Maszynka miała się tam udać w celu wyszukania najemników, którzyby poszli z łopatami dla odgrzebania jej ekwipażu — ja zaś do koszar.

Ale ponieważ to zwyczajnie bywa, że nie obejdzie się dramat bez ustępów komicznych, spotkał nas wypadek następujący:

Rozstając się z sobą, słyszymy znieacka dzwonek, ktoś pędzi sankami i zbliża się szybko ku nam; nareszcie z naróżnej ulicy wylata dziarska trójka, uprzężona w dartego orła, to jest: środkowy koń w hołobli z podniesioną wprost głową, a dwa pozostałe z zakrzywionymi, jeden na prawo, drugi na lewo łbami. Lecz co gorsza, w sankach siedzi major, Michajłow IV., dowódzca mego bataljonu, w jasnym płaszczu z ponsowym kołnierzem — wzrok mnie nie myli — a nie ma gdzie się podzić — bo już nas widzi — nadjeżdża i grozi nam palcem.

Gdyż trzeba wiedzieć, że major wołokita od dawnego już czasu zerkał za Maszynką, chociaż godna jego połowica o tem się dowiedziała i potężnie go za to gromiła.

Fałszywe więc położenie — lecz nie pozostawało, jak poddać się okolicznościom. Zdejmuję zatem furazerkę, wyciągam się jak struna i staję frontem przed naczelnikiem, zupełnie tak, jak regulamin mikołajowski przepisał zachować się żołnierzowi przy spotkaniu z oficerem.

Masza tymczasem zdążyła wpaść, na moje mignięcie, do znajomego domu.

— Ty z kąd wracasz bratiec? coś porabiał w stepie? — wraźnie satrapa, zatrzymawszy konie.

Atoli znając jego tchórzowską naturę w obchodzeniu się z zesłanymi Polakami, nie bałem go się wcale. Wiedziałem iż lęka się on, jak ognia, każdego z nami zajścia, aby nie postawić się w konieczności składania o tem raportu do Petersburga i przeprowadzania śledztwa, na którym sam źle często wychodził.

— Biegałem — rzekłem z zimną krwią — ot tak sobie, dla nabrania wrażeń . . . panie majorze.

— Panie majorze? panie majorze! dam ja ci tu pana majora . . . Czy nie wiesz, że mam nadany od cesarza tytuł wysoko błagorodja? . . . A włóczyć się za dziewczkami potrafisz? Paszoł won! otprawiajśia na odwachtu . . . dla nabrania wrażeń. —

Nie było na ten raz sposobu wykręcenia się od kozy. Poszedłem tedy jak niepyszny aresztować się na odwach, spodziewając się, że drażliwy naczelnik niebawem tam za mną pospieszy.

I tak się też stało.

Jego wysoko błagorodje za pół godziny wpadł jak kula, wymyślał, krzyczał, hałasował; a ponieważ wartę trzymała właśnie ta rota, do której należałem, łatwo przypomniał sobie, iż obowiązkiem moim było stać razem z nią na posterunku, zamiast spacerować.

Wydalo się więc, iż nająłem za się wartownika, a skończyło na tem, że major kazał go natychmiast zmienić z placówki, jak również i podoficera, i obydwom porządnie wygarbować skórę, mnie zaś na cały tydzień zamknąć na chleb i wodę.

Michajłow IV. chciał się przy okazji zabawić w dyplomację, bo o Maszynie ani mru mru! Kara dotknęła mię niby z prawa, za przewinienie służbowe. Lecz spojrzalem na niego, uśmiechnąwszy się lekko z ironją, i oczy nasze spotkały się z sobą: moje powiedziały mu, że w całej tej historii krasna młodyca, zazdrość, obrażona miłość własna,

a nie subordynacja wojskowa odgrywa główną rolę; jego zaś potwierdziły to wszystko, i nie mogąc wytrzymać otwartości mego spojrzenia, spuścili na dół powiekę.

Był to tryumf żołdaka nad pysznym sztabowym oficerem.

Śnać tryumf ten korcił go wielce, i nie mógł go strawić, gdyż nazajutrz jeszcze nie zapomniał o mnie i kazał przyzwać na musztrę.

Nabiwszy przedewszystkiem po pysku gefrejtera za to, że mię nic nie nauczył, polecił przynieść bęben, odebrać mi z rąk karabin, wybijać marsza, a mnie stąpać miarowym, przedłużonym krokiem, do taktu na jego wysoko błagorodja komendę.

I ciągle pomrukiwał:

— A uczoney człowiek . . . a umie gadać po francusku . . . a umie tańcować . . . a do maszerowania ani węł Czort z tobój! —

Odsiedziałem nakoniec tygodniowy areoszt, mając różne z majorem i arystokracją wojskową małego miasteczka przepawy. Wyklinałem ich w duszy, ale cóż to pomogło? I w kozie się nudzić, i na ćwiczenia wojenne uczęszczać i słuchać bębna musiałem — jakby za pokutę.

Musiałem wedle zwyczaju przywdziewać pstrokaty mój uniform, isć do maneżu, wykręcać się tam na pięcie na wszystkie strony, jak kazano; maszerować gdyby automat chodzący; robić tempa bronią, zgodnie z drugimi; dźwigać na grzbiecie cielecy tornister z pakunkiem; a nawet wytrzeszcząc oczy, gdy zawołano: Patrz weselej!

Lecz każdy na mojem miejscu pod brzemieniem przemocy toż samo by uczynił, nie wyłączając i Napoleona, gdyby go Moskale pojмали i na swą uciechę w ten sposób się bawili.

Ale nie straszne było dla mnie więzienie; obici podoficer, gefrejter i najemnik żołdat, nie powzięli też zawiści ku mnie, jak sobie major tego życzył, gdyż tytułem plag niewinnie odebranych pozyskali prawo do mojego worka i dostali na wódkę; tylko markotno mi było bez Maszynki, tem więcej, iż się dowiedziałem, że w skutek przeziębienia ponowiła się u niej febra, tak niebezpieczna na Wschodzie.

Martwiłem się tem bardzo, wyrzucałem sobie, że to z mojej przyczyny; cierpiałem podwójnie: raz z powodu choroby pocziwej, cichej i pełnej poświęcenia mojej przyjaciółki; powtóre, że w niwecz obrócone zostało spełnienie moich najdroższych zamiarów. Nie udało się!

Trzeba było na nowo o ucieczce przemyśleć.

Aliści nad me oczekiwanie i kiedy się tego najmniej spodziewałem, nastąpiła reorganizacja korpusu, w skutek której naznaczono mię do innego, stojącego o czterysta wiorst od Uralska bataljonu, w fortecy Orenburgu.

Później się dopiero dowiedziałem, że przenosiny te nastąpiły za staraniem mojej familji, którą o to listownie prosiłem był przed kilkoma miesiącami, gdy pobyt w Uralsku z powodu władzy brutalskiej nieznośnym mi się stawał.

Maszynka, jakkolwiek nie wyzdrowiała jeszcze, gdy jej dano znać o tranzlokacji, zjechała natychmiast do miasta i zaprosiła mię na wieczór do swych koleżanek, przywiózłszy mi perski dywanik na pamiątkę.

Gdy ją ujrzałem, była wątłą i strwożoną; ale na oznajmienie, że zmiana miejsca może się przyczynić do mojego szczęścia, oblicze jej przybrało wyraz spokoju i uroczystej rezygnacji.

Trudno atoli kobiecie zapanować rozumem nad sercem swoim. Skoro jej towarzyszki zaśpiewały piosenkę, coś podobnego do owej:

Nie będę, nie będę żołnierzów kochała,
Bo żołniersz pojedzie, ja będę płakała —

łzy potoczyły się po licu Maszynki strumieniem. Może i w moich oczach dojrzałaby ona kroplę rosy przy pożegnaniu, gdyby nie obawa bycia posądzonym, że jestem rodzaju żeńskiego.

Odtąd jej nie widziałem i nic nie wiem o losie biedaczki.

A dziś przedstawiają mi się dwie postacie kobiece:

Jedna z nich strojna, pokaźna; dumnie stąpa posuwistym krokiem, w wydętej sukni z oszywką, z falbanek i ząbków; z firankami na tyle i kuperkiem z purpurowych wstążek; z pakietem fałszywych włosów; w kapelusiku, zakrywającym czoło i bielidłem na licu; gorset ją ściska i jest wcięta w pasie.

Poluje ona na męża.

Nie płacze nigdy, bo to oczom szkodzi; nie kocha, gdyż to nie w modzie; zresztą każde wzruszenie przynosi wdziękom uszczerbek; pomimo to lubi siebie, siebie z najczystszym zapalem.

Do tego zna rachunki przewybornie, rzekłbyś, że cała zamieniła się w cyfrę. Przytem płasa, brząka i śpiewa, a czasami nawet zwierza się cioci, że się musiała podobać temu lub owemu, bo tak a tak była ubraną — i że za nią wdychał, chociaż on niewdzięcznik tylko poziewał!

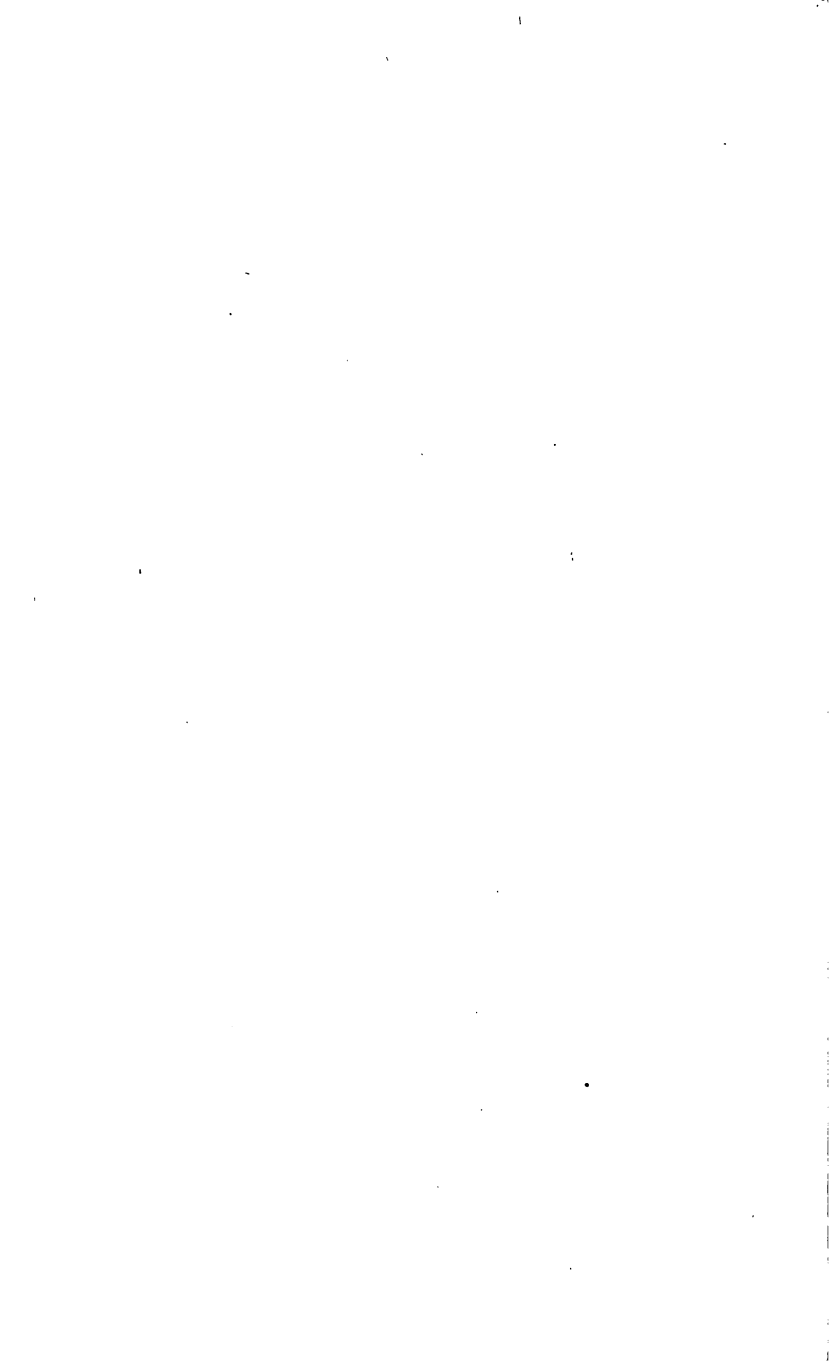
Drugą jest brązowa postać czarnobrewej, potulnej, z sercem przezroczysem Maszy, miłującej jak Pan Bóg przykazał.

Któraż więc z tych dwóch niewiast bardziej wraża się do duszy?

Są różne — jak to mówią — gusta i guściki.

Co do mnie, prznosiłem zawsze wieśniaczkę, co kocha, nad królową, co nie kocha.

W ŚWIAT SZEROKI.



IX.

Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje!
Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje —
U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne.

Na śmierć Mikołajowi zadzwoniono.

Otruł się siłacz, pokonany przez swych wrogów z Zachodu. Z Panem Bogiem do wieczności! jeden u nas despotą mniej, jedna nadzieja więcej! . . .

Nikt się nie frasował zgonem mocarza, z wyjątkiem kilku zauszników i pochlebców, którzy winni byli swoje kariery nieboszczykowi, a lękali się utracić takowe pod berłem Aleksandra. Urzędową żałobę przywdział dwór dla — przyzwoitości.

I Moskwa zmieniła pana.

Podobnie się dzieje ze wszystkimi książątkami w „świętej Moskwie“, jak ją tam nazywają.

Gdy się car rodzi, żeni lub umiera, ciemny naród zwykł oczekiwać jakiegoś najmiłościvszego manifestu, który nadchodzi — bańka wewnątrz pusta — dla zamydlenia oczów wiernopoddanych. Pocziwy lud wyobraża sobie zawsze w panującym dobrotliwego opiekuna, zamiast wystawiać go sobie z rogami, jako Jowisza piorunującego. Tak on przywykł do swej biedy, iż jakakolwiek ulga wydaje mu się być darem z nieba.

Czegóż bowiem można się spodziewać, aby dał w Moskwie dobrowolnie którykolwiek z monarchów, jeżeli nie blichtru?

Toż przez każde rzetelne ustępstwo na korzyść narodu, osłabiałby samowładztwo swoje, oparte na rządzie bez kontroli, na władzy nieograniczonej, do utrzymania której, za jakąby nie było cenę, każdy z samodzielników ustawicznie czyni wysilenia! Każdy z nich pragnie być na ziemi czczonym więcej od Stwórcy samego i chce, aby wolę jego szanowano bardziej, niż prawo boże; chce, aby mu na wzór cesarzów rzymskich za życia wznoszono ołtarze.

Widzimy to wszystko w oplakanych skutkach.

I co też powiedzą kiedyś historycy i przyszłe wolne pokolenia o naszej dzisiejszego wieku wiernopoddaności, o naszym służebnictwie i poniżającej pokorze, która jest psu zasługą, człowiekowi grzechem? . . .

Oczekiwany manifest przywieziono nakoniec z Petersburga. Tyle miłosierdzia na raz! . . . aż mię głowa zabolala.

Jedna z tych łask opiewać raczyła, żeby mię posłano w celu dania sposobności do otrzymania stopnia, pod Sewastopol bić się z Francuzami, Anglikami i Turkami.

I zkąd ja do tego przychodzę? — pomyślałem, skoro mi oznajmiono ową szcudrobliwą łaskę. Zaiste, nie kocham tak cara, ażebym dla jego widzimisię nadstawiał szyję pod jatagan muzułmański, lub stawał do walki z tymi, co wypisali cywilizacji godło na sztandarze swoim, pomiędzy którymi byli i Polacy.

Postanowiłem więc, bądź co bądź, wyrzekłszy się wszelkich względów koronowanego pana, na chybi trafi ostatecznie umykać.

Opatrzność poszczęściła mi nakoniec tym razem w zamiarach; bo gdy w ciągu pochodu do Krymu czmychnąłem Moskalom, nie oparłem się aż zagranicą państwa rosyjskiego.

I stałem się ni z tego, ni z owego turystą, choć nie z powołania, ale z potrzeby. Przebiegałem szybko Europę do krain dalekich wprawdzie, ale wolnych, ale szczęśliwych.*)

*) Obacz: «Przechadzki po Ameryce, przez J. Gordona, obywatela Stanów Zjednoczonych. Berlin, 1866.»

I odetchnąłem swobodnie wśród skał alpejskich, wśród rokosznych Apeninów i uśmiechających się jezior w Szwajcarii i Włoszech.

I podumałem w zwaliskach zamków feudalnych baronów o znikomościach doczesnych i o nędzy ludzkiej. Zwiedzałem zębate baszty, żłobione kapitale, zapadłe krużganki i wieżyce, gdzie głodem morzono i głodową śmiercią umierać kazano.

Przypatrywałem się szczątkom tortur, używanych od roku 1300 do 1809, w krajach niby chrześcijańskich; tudzież posągom rozmaitych królów, zdobywców, satrapów i dworzan. Za życia otaczali ich niewolnicy, co im dopomagali do poruszania się — tym dostojnym mężom — czatujący w pokorze na ich skinienia, najdrobniejsze objawy żądy tajemnej. Ileż trzeba było rąk wyciągniętych i karków schylonych, też i krwi do odświeżenia ich płaszczy purpurowych i namaszczenia na wielkość tych okrutnych postaci!

Wojna — stan naturalny cywilizacji niezupełnej, której barbarzyńskie rezultata widzimy w zniszczeniu wiekuiętej pracy na dobrobyt i w tysiącach zrujnowanych rodzin w najniższych warstwach społeczeństwa — ustępuje już przecie w swoim właściwym znaczeniu pod potęgą nauki.

Nie męstwo, nie udatność i zęczość wirgiljuszowej epopei bohaterów, są głównymi czynnikami nowożytnych zapasów, ale niszczące wynalazki rusznikarzy i chemików.

Maszyny piekielne zmieniły system bitew lądowych i morskich. Iglicówki, chassépoty i kartaczoownice czyli snopy morderczych lufek, zastąpiły oszczepy, halabardy, dziryty i miecze. Przyjdzie do tego, że gdy groty śmiertelne XIX. stulecia udoskonalone zostaną tak dalece, iż bratobójcze szwadrony nie zdołają ostać się pod ich ciosami, wypowiedzą wtedy posłuszeństwo i skończy się na świecie wojaczka.

Napoleonidy, Hohenzolery i tym podobni wielcy ludzie z całą ich uzbrojoną od stóp do głowy czeladką, z całą żyłką korsykańską, krzyżacką, czy tam jaką? . . . (bo to rzeczy nader wątpliwe), chcąc nie chcąc będą musieli żyć, jeśli nie w zgodzie, to przynajmniej w pokoju.

Lecz ponieważ porównać ich można do ostrzów nożyc, które w zetknięciu się w niczem sobie nie szkodzą, choć krają

wszystko, co między nimi staje, nastęcza się pytanie, co by robili i jakie by było znaczenie owych ambitnych z woli Boga i ołtarza ichnościów, gdyby przestali się klócić w widokach dynastycznych o swą potęgę, kosztem pocziwych krótkowidzów?

Czemu ci śmiałkowie nie biją się sami, jak w starożytności Horacjusze z Kuracjuszami, a Goljat z Dawidem? . . .

* * *

„Breslau! Breslau!“ wrzasnął chrapowatym głosem konduktor — „Breslau!“ powtórzył drugi piskliwie o kilka kroków, a sznur wagonów zatrzymał się pod dachem na dworcu kolei żelaznej.

I otóż skoczyłem jak z procy do Wrocławia. Wszystkie przygody pozostały za mną!

Otworzono drzwiczki, wybiegłem aby co rychlej przed natłokiem odebrać manatki podróżne, wsiałem do najbliższej jednokonki i krzyknąłem na woźnicę: „Zum goldenen Löwen!“

Dorożka potoczyła się po szerokich ulicach w nowym stylu zbudowanej stolicy śląskiej i stanęła przed wspaniałym hotelem, utrzymywanym przez wdowę Burakowską.

Odźwierny w dzwonek uderzył na ukazanie się wędrowca; kilku kelnerów w spencerkach, opięto i kuso wyskoczyło z bramy na me spotkanie: jeden z nich zabrał parasol i laskę, drugi torbę i paletot — i tak z okazałością, bo to Niemców nic nie kosztuje, zaprowadzono mnie do przeznaczonego pokoju, przezywając co chwila „grafem“.

Spojrzałem w lustro, żeby się przekonać, czy rzeczywiście tak djabelnie imponującą dla Niemców mam minę . . .

Spoczawszy trochę z utrudzenia, posiliwszy się nieco, wyszedłem na miasto, aby rzucić okiem na gród handlowy i obaczyć się ze znajomymi.

Zatrzymałem się na placu przed Fryderykiem siedzącym na spiżowym koniu. Bo chociaż nie był to przyjaciel, ale

także jeden z mych starych znajomych: odwiedzałem go bowiem w roku 1847.

I nie byłbym się nigdy spodziewał, że szkoła najezdника szląskiego, męza w trójgraniastym kapeluszu, z upudrowanym harcapem, wyda kiedyś tak zapalonych średniowiecznych rycerzy, jak Bismarków et consortes.

Wszak to Szląsk jest jedną z najdawniejszych prowincji dawnej Polski. Kiedy jeszcze Rzeczpospolita była szczupłą Piastów zagrodą, już Szląsk stanowił z nią całość, zespolony z rdzeniem wielkopolskim jednakowym językiem, jednako wemi obyczajami i zwyczajami, podaniami, słowem jedną narodowością.

Tymczasem szczególny prąd dziejów naszych, który od pierwszych chwil wystąpienia Polski na widownię świata unosił ją ku Wschodowi, sprawił, że ta stara dziedzina królestwa Bolesławów — ten na wskroś polski Szląsk — zerwał najwcześniej macierzyste związki i przeszedł w posiadanie obcych, najprzód Czechów, a później wraz z Czechami Niemców.

Synowie wygnanego księcia krakowskiego, Władysława II., urodzeni z Niemki i skutkiem wychowania przesiąkli germanizmem, poczęli od pierwszego wstąpienia na ziemię szląską szerzyć tam obczyznę.

Szląsk zamienił się w potężną kolonję niemiecką, której stolicą był Wrocław.

Po pustkowiach pozostałych po łupieży tatarskiej, rozgospodarowywali się tam coraz szerzej koloniści, zalewając swoim napływem kraj cały.

Wynarodowieni, a waśniący się nieustannie pomiędzy sobą Piastowie szląscy, nie stawiali zapory tej powodzi germańskiej, lecz owszem na oścież otwierali jej wrota.

Nakoniec w chwili najkrytyczniejszej, w chwili, kiedy Polska rozerwana wewnątrz zburzeniami i osłabiona najazdami sąsiadów, poczęła się dźwigać z upadku dzielną prawicą Łokietka, wyrzekła się w drugiej połowie dwunastego wieku rzesza książąt wszelkiego współnictwa ze swym ojczystym krajem, z koroną przodków swoich Piastów, i poddała się królowi czeskiemu.

Odtąd już Szląsk nigdy do pierwotnego związku z Polską nie powrócił.

Tak poczciwe Szlązaki w skutek intryg książęcych i umizgów niemieckich szczyli, zaginęli prawie jak Lutycy, Obotryci, lub nadelbiańscy Słowianie, jak się do uprzątnienia i nas z tego świata tu i owdzie serdecznie już zabierano, chcąc nam wyrzucić własność i duszę Polaka.

Do dziś dnia ludek szląski pracuje jak mrówki od lat siedmuset, a ubogi jak one — a przez ten ciąg czasu nie wydał, ani dla siebie, ani dla świata, nic celniejszego, prócz ponosząc tego Amosa Komeniusza, co to ten znany Komeniusz wynalazł. Taka to praca marna! taka literatura ludu — gałęzi od pnia odłamanej!

Ale otóż i księgarnia w ulicy, z napisem na szybie: „Tu gadają po Polsku!!!“ Widać, że głośno gadają, prawdziwie po polsku; szkoda że nie deklamują, bo za napisem umieścili aż trzy wykrzykniki. Wchodzę zatem bez obawy.

— Czy nie raczyłby pan objaśnić mię — rzekłem do siedzącego za kantorem mężczyzny — gdziebym tutaj we Wrocławiu mógł odszukać moich dawnych sprzymierzeńców: członków towarzystwa demokratycznego? —

Księgarz dziwne zrobił wejście, jakby nie dowierzał uszom swoim.

— O kogo to, o kogo pan pyta? — zagadnie, niosąc w palcach do czerwonego nosa szczyptę tabaczki.

— Pytam o hrabiego Reichenbacha, o doktora Burcharda i jego znaną małżonkę, o redaktora Zemrau, słowem, o osoby, które w roku 1846 ułatwiły ucieczkę Krakowianom z twierdz pruskich Kosel i Neisse.

— Przepraszam . . . ale z którego to pan świata do nas przybywa?

— Z dalekiego, mój łaskawco, z dalekiego . . . gorzej jak z księżycy . . . bo aż z Syberji.

— O! o! o! . . . wolne żarty . . . czyż to można wrócić z Syberji? . . .

— Tak, tak . . . ma pan najlepszy dowód na mnie . . . ale co do mej prośby? . . .

— Jabym panu radził, tytułem życzliwego człowieka nie odzywać się w mieście o tych swoich znajomych . . . czy tam sprzymierzeńcach! Czasy się zmieniły, mój dobrodziej! Całe to pańskie towarzystwo demokratyczne, jak je nazywasz, które istotnie skupiło się tu niegdyś pod firmą „przyjaciół światła“, po wypadkach 1848 roku przez rząd rozpedzone zostało — i z całej partji utrzymał się tu jednak Zemrau, który z literata przeszedł na handlarza tytoniu i cygar. —

Tam do kata! pomyślałem. Po takich wiadomościach nie ma co długo popasać w Szląsku pruskim, nie ma tu punktu oparcia dla mnie, trzeba się wynosić . . . Od lat tylu ileż to zmian zajść musiało wszędzie za granicą . . . trudno zapewne będzie spotkać się z jaką znajomą twarzą!

Przed odjazdem pobiegłem jeszcze, aby zwiedzić ów słynny ratusz wrocławski, zbudowany w czasie, kiedy miasto należąc do potężnego związku Hanzy, wzniosło się i wzbogaciło za pomocą handlu i przemysłu.

Poważny, wspaniały ratusz w gotyckim stylu, o kilku szpiczastych wieżycach, wymowny pomnik zamożności mieszczan wrocławskich, nosi na sobie wybitne piętno zabytków architektury XIV. wieku, w którego początkach założone zostały jego fundamenta.

Jak wszystkie prawie gmachy owych czasów, nie wyszedł on od razu skończony, w dzisiejszej swojej postaci, z ręki pierwszego budowniczego swojego, lecz każde pokolenie przez ciąg dwóch stuleci dodawało coś do upiększenia i uzupełnienia pierwotnej budowy. Dla tego ma on mnóstwo przystawek.

Przez wspaniały portyk, ozdobiony czesko-szląskiem godłem, wchodzi się do obszernej, sklepionej sieni, przeryniającej cały budynek na przestrzał. Po prawej i po lewej stronie prowadzą stąd drzwi do sal i komnat, pomiędzy którymi „sala radna“ na szczególną zasługuje uwagę, wraz ze starodawnym a ogromnym swoim kaflanym piecem z figurami.

Inne pokoje gmachu poprzerabiane zostały, stosownie do potrzeb tegoczesnych, na kancelarje urzędu miejskiego. Ale ciekawy i skrzętny archeolog znajdzie i tam niejedną

szczegól wzbudzający ciekawość: jakiś herb dawny, jakieś odrzwia snycerskiej roboty, stary zegar, zakopcony portret, lub inny tym podobny antyk, odbijający rażąco od nowych sprzętów okolenia swojego.

Lecz przede wszystkim niechaj zwiedzający nie rozstaje się z ratuszem wrocławskim, dopóki nie zajrzy w jego piwnicę. Jest w niej urządzona piwiarnia, inaczej mówiąc knajpa, zawsze pełna gości, która rozpościera swoje podziemne chodniki pod większą częścią rynku.

Tradycja opiewa, jakoby we wzmiankowanej piwnicy tak było niegdyś wyborne piwo zwane „świdnickie“, iż jeden z książąt Piastów szląskich do tego stopnia w niem zasmakował, iż gdy zamianowany biskupem, dowiedział się w drodze do swej nowej rezydencji, iż tam świdnickiego piwa nie dostanie, powrócił niezwłocznie do Wrocławia, woląc się zrzec infuły, niż przyjemności używania tego truneczku. Czyby to zrobił który z dzisiejszych prałatów? . . .

Znowu podążyłem na kolej, dano znak, kocioł świsnął parowego marsza — liczne siola ustępują z drogi. Dopiero krzyż przy gościńcu — już czarowna okolica — stary kościółek modrzewiowy. Dopiero lasek, już dolina — tam pasterki tańczą, tu baranki się pasą — ja zaś pędzę w świat szeroki na okulbaczonym lucyperze, zionącym ogniem, z zadartym do góry fryzowanym ogonem dymu.

Coby nam nie nucili harfianem słowem poeci, stroniący od wyziewu pary, od zasmolonych maszyn i kół, ściśle obliczonych w swych ruchach — świat przemysłowy ma przecież barwę poetyczną; stanie się malowniczym później.

Żyjemy zaiste dopiero w poranku pod względem maszyn. Jak każdy wynalazek nowy, maszyna jest jeszcze w zarodzie; kształty jej są potworne, które z postępem uszlachetnione zostaną: widzimy jej szkielet, powłoka zrodzi się z czasem. Zanim bóg Olimpu wyszedł z pod dłuta Fidjasza, spoczywał w jego snycerni w postaci nieociosanego pniaka.

Któż wie, czy lokomotywa, ten pomnik XIX. wieku, nie okaże się kiedyś piękniejszą od rydwanów rzymskich, a wsparta na wielkiej idei Iliada przemysłu nie znajdzie dla się drugiego Homera? . . .

Jakoż, ilekroć razy widzimy maszynę w biegu, doznajemy mimowolnie wzruszenia. Odlana z martwej materji, ma ona wszelakoż tyle podobieństwa do człowieka. Podobnie jak on posiada płuca, któremi dyszy; spożywa gazy, ruch ją ożywia, ma muszkuły stalowe, a hałaśliwe jej tchnienie ula-
tuje gorące przez krtan metalową.

Jej życie sztuczne, milczące, a czynne, ma coś dziwnie niepokojącego. Pracuje na nas dzień i noc bez spoczynku, bez zapłaty, bez narzekania: i byle tylko rzucić jej należną porcję drzewa na pożarcie, bieży, ciągnąc nas z ruchomościami za sobą.

„Dresden!“ Cóż to za przemiana, dzięki lokomotywie! . . . Niedawno jeszcze w szponach moskiewskich . . . teraz w ustroniu spokoju, w Saksonji!

Nie mogłem się wstrzymać, aby przejeżdżając przez Drezno, nie odwiedzić trzech orędowniczek lat moich młodzieńczych, trzech madon, zamieszkałych w rzeźbionych murach Zwingeru, a mianowicie niemieckiej Holbeina, ludowej Corregia i arystokratki Rafaela.

Pobiegłem najprzód do arystokratki sykstyńskiej, bo mi się najbardziej podobała, i wszedłem po cichu, z uszanowaniem, do jej salonika.

Ma ona bowiem w galerji osobny salonik, gdzie przyjmuje gości u siebie, zwłaszcza polskich pielgrzymów.

Usiadłem tedy na kanapce — byliśmy sam na sam.

Zawsze jednakowa, młoda i śliczna Madona — serce jej nigdy się nie starzeje i zawsze rozlewa błogi spokój w duszy tego, kto na nią popatrzy!

A właśnie spokoju tak mi potrzeba było, pociechy, spoczynku, bo już zbyt długie na tym padole przeżyłem był wieki — a zbywało mi na nadziei, jakiej potrzebuje sternik zmierzający do portu na rozbitej barce.

Bo i gdzież w rzeczy samej ta przystań dla mnie? . . . Zapewne tam . . . wysoko, gdzie mirjady światel jaśnieje. Wszak wygnaniec wszędzie na ziemi jest sam! Kto raz swój kraj opuści, najczęściej już doń nie ma po co wracać.

Taki był natłok mych melancholiczno-religijnych dumań u stóp dziewicy.

Wzrok miałem wlepiony w rozpostarte płótno, na którym Rafael wydał ideał najwyższego piękna, ideał boskości, niepokalaną matkę, która gorycz boleści poznała — królowę nieba, królowę niewiast — taką, jaka się objawiła jego geniuszowi.

Madona w orszaku aniołów, śpiewających pieśń wesela wiekuistej miłości, zstępuje z czystych niebios na świat porażony w chmurach. Wiatr unosi jej zasłonę i leciuchne szaty. Na rękę trzyma dziecię, którego spojrzenia lubo przychodnia witają — a szafirowe oczy niebianki pałają nadprzyrodzoną potęgą i mieszczą tyle myśli i tyle uroku, że ten, kto raz w nie spojrzał, całą w nich utopił duszę.

Druga madona — arcytwór nieszczęśliwego Corregia, co nie uznany, zwątpił o swoim talencie — nosi na jasnością oblanem licu cechę rajskiej słodyczy i łagodności, pośród malowniczej grupy Magów, przyprowadzonych przez cudowną gwiazdę ze Wschodu.

Trzecia zaś, w złotej koronie Holbeinowska blondyna, z rozpuszczonemi włosy, ze swoją powagą, dość dobrą tuszą i rumianemi jagody, jest więcej filozofką, niż artystką; wzbudza cześć, podziw, ale nie pociąga.

TEŠKNOTA.



X.

Czy wy wiecie, o narody!
Którym świeci dola złota,
Ile w jednym słowie takim
Wre mąk? — Trzeba być Polakiem,
Aby znać, czem jest tęsknota.

Pomimo karmu dla wiedzy, pomimo cudów natury i osobliwości, jakie się napotyka w najludniejszej w Europie, romantycznej nad Elbą krainie, smutki postępują tam za wędrowcem, tak dalece czuje on się być samotnym wśród tysiąca istot, podobnych ciałem do niego.

Błądny wygnaniec przesuwa się wśród tej obczyzny, jak cień pokutnika, który zerwał ze światem, a dręczony tęsknotą, wydobył się jak Alcest z królestwa umarłych i przybył jeszcze raz milczący, osłonięty, pomiędzy ludzi.

Wszystko na około niego oddycha szczęściem; słyszy radosną wrzawę przyjaciół, na ich czołach jaśnieje spokój i wesele, związki rodzinne i sercowe kojarzą tych, na których patrzy; jego tylko nikt nie rozumie; nikt nie nazwie swoim synem, swoim bratem; on tylko jest bezdomnym i opuszczonym.

I przyszłość jego niepewna, nic o niej wyrzec nie potrafi, i myśli jego i życzenia zbłąkane — odkąd pozbawiono go najdroższego prawa człowieka: oddychania powietrzem rodzinnem!

Tęsknota! — to ocean wrący mękami — to wyraz, który na żaden język przetłumaczyć się nie da.

Jeżeli Syberjaki, katorżnicy, posieleńcy i żołdaci są narażeni na moralną śmierć dla braku duchowego żywiołu — to też i wychodźcy, co uszli rąk zawistnego cara, wolni na pózór, wymierają z tęsknoty.

Są to dwie odmienne dole jednego i tegoż samego nieszczęścia rozkrzyżowanej Polski.

Nie wie co czyni ten, kto urąga tak ogromnemu nieszczęściu — kto bluźni przeciw dotkniętym tęsknotą za krajem!

Rozstawszy się z Madonami, poszedłem odprawiać medytacje na wyniesiony nad rzeką taras bryłowski.

Pulchniutkie Niemki już to z robótkami w rękach, już spożywające ciasteczka, siedziały na ławach. Pomieściłem się między nimi, a nie znając ich mowy, patrzyłem w milczeniu na Elbę, płynącą spokojnie ku swemu przeznaczeniu, jak błogi żywot człowieka.

Przybywające parochody zabierały jednych, a wysadzały na brzeg drugich podróżnych. Zalatywał ztamtąd gwar, który ucichał w miarę jak się oddalały, aż nareszcie roztopił się w ogólnym zgiełku miejskim.

Tymczasem tarcza słoneczna chowa się z daleka po za szczyty skał Szwajcjarji saskiej. Jedna z nich, pierworodna córka potopu, uwydatniona niby pomnik na kanwie złocistej; a woda przybiera barwę fioletową z żółtymi smugi.

Ale tło płomieniste zachodzącego słońca blednieje. I rozpoczyna się koncert, złożony z żab i owadów ukrytych w zaroślach — nareszcie gwiazdy zaczynają przeglądać się ze drzeniem w stalowym wód zwierciadle.

Gdy obejrzałem się na stronę, sąsiadek, co robiły pończochy, już nie było — śnać się obawiały kataru nieboraczki; lecz natomiast światełko zabłysło w wieży katolickiego kościoła, rysującej się fantastycznie na ciemnych niebiosach.

To światełko dotąd mi w głowie.

Przypomina mi ono zawsze mieszkanie astrologa w Nôtre-Dame paryzkim.

Szczęśliwy człowiek — rzekłem — co chociaż na wieży ma dla siebie kącik i światło na rozkazy, a może i psa, wiernego przyjaciele przy swym boku!

Potem rozgorączkowana myśl pierzchła, uleciała ptaszęciami pióry gdzieś nad poziomy, w światy odległe, w jakieś nieznane przestrzenie, na których księżyc i gwiazdy gasły.

Pędziła nad czarnymi przepaściami, nad wąwozy i góry lodowate. Ztamtańd przeskoczyła morze i tarzała się w gorącym piasku Sahary, wspinała na obeliski smętarza Egipojan; nareszcie wzbila się w obłoki pomiędzy błyskawice i krzyżujące się pioruny.

I nagle chmury żeglują pod mojemu stopy! . . .

Ale otóż myśl zawraca w inną stronę i bujam z nią hyżym i lekkim cugiem nad rozhukanym Atlantykiem. Dziwolągi i ptaki białe chwytają pluskające się ryby na spienionych falach i ze zdobyczą fruną.

Raptem popchnięty nad wodospad Niagary, przypatruję się ciemnym stropom skał; a one spoglądają na się u wybrzeży, jak szczerbate widma w straszliwym milczeniu. Wodnisty bałwan szklisto-zielonkowego koloru pada pomiędzy niemi z siłą i łoskotem, a łąd drży w posadzie. Zawierucha śniegowa zmieszana ze szmaragdami pokrywa bezdenną otchłań, niby fałdująca się draperja z muślinu.

Tam dalej, dziewicze lasy Ameryki, gdzie jeszcze nie powstała noga człowieka i niszcząca dłoń władzy swej nie wywarła! Wtajemniczam się w dzieje i prawa przyrody.

Czuję się być w szale jakiegoś niewymownego uszczęśliwienia, z powodu mojej bezwzględnej swobody.

W okopconych niegdyś ścianach było mi ciasno i duszno, jak w mogile. Teraz nic mię nie krępuje: ani przedmioty ni ludzie z ich nędznemi prawami, przesądami, obłudą i złośliwością — ani rządy, ni służalce.

Jestem sam! wyłącznie dziecię Boga, i ustronie do mnie należy dla szczęścia mojego.

Precz mi z ziemskimi żaki, stworzonymi do wolności, a dającymi głowy pod kolczastą obróżę! Precz Faryzeusze uchodzący za świętych! precz frymarze i cynicy! kamienujący bliźnich, których nie możecie przykroić do ramek swoich.

Dalej na drugą półkulę wyzwolonego z więzów niewoli świata . . .

Bądź zdrow, stary grzybie, pokryty skorupą pleśni, w której rusza się żarłoczne robactwo!

I nie wiem, kiedy pośród chaosu tych i tym podobnych mrzonek zstąpiłem z olbrzymich kamiennych schodów tarasu — nie wiem jak przebyłem środkową dzielnicę grodu i dostałem się na Prager-Strasse — to tylko pamiętam, że śmiechy i szczebiotanie polskiej mowy naszpikowanej francuzczyzną wywiodło mię z zamyslenia, jak owego lunatyka, co się ze snu ocknie i powraca do świata rzeczywistego, gdy na niego zawołają pd imieniu.

Zwróciłem się tedy ku ogródkowi za żelaznemi sztachetami, zkąd dochodziła wrzawa.

Roskoszną Polki, strojne w balówne suknie, stały w nieładzie na balkonie, używając wytchnięcia po tańcach; a czubaty we fraczku fircyk z rękami w pantalonach bawił je tuzinkowemi konceptami, co to się sprzedają jak figi po groszu.

Przystanąłem w cieniu na chodniku i długo się tej szanownej grupie rodaków, rezydujących za granicą, przypatrywałem.

Komedja odgrywana z gimnastyką przez młodego faceta, a zwracająca uwagę przechodniów, wyraźnie zachwycała piękne damy. Nie szczególne też powziąłem wyobrażenie o owych paniach, których natura tak dalece nie cierpi czczości, iż otaczają się podobnemi indywiduami, i których życie całe jest jednym ciągłym balem na obczyźnie — za polskie pieniądze — resztki zubożonej ojcowizny, przechodzącej w posiadanie żydów.

Podobne obrazki przedstawiały mi się i później, po powrocie z Ameryki — i zawsze je w Dreźnie bezpłatnie widywać można — jest to bowiem bazar, gdzie matki zwożą swój drogocenny towar ze wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej polskiej, aby go spieniężyć jak najprędzej.

Saksonja ma ten przywilej, że w Lipsku odbywa się co-rocennie jarmark w lecie na książki i inne produkta; w Dreźnie zaś zimą wyłącznie na panny rasy sławiańskiej.

Kawalerowie Sarmaci, co szkół nie skończyli, ani ich osób szkoły ukończyły, przywykli jeździć na wszystkie kuligi,

jarmarki, odpusty i zabawy, a których żywot był ciąglem przygotowaniem się do stanu małżeńskiego, zjeżdżają nakoniec i do Drezna, bo tam na nich czeka ostateczna kotwica przyszłej szczęśliwości.

Taki „épouseur“ wchodzi w salony; matrony popierają go w zamiarach, bo jakże nie pomóż kawalerowi dobrego tonu, biedniakowi, należącemu do ich kółka?

Utrefiony adonis przedstawia się wreszcie chwackiej dziewczynie, co wzdycha do życia praktycznego, i póty oboje grają w ciuci babkę, dopóki jedno drugiego nie złapie.

Rodzice nie wątpią o wysokim rozumie i charakterze zięcia. A narzeczona! ba! — wdzięków widzialnych i niewidzialnych co nie miara, a cnót jeszcze więcej!

Zaś o majątku wcale się nie gada, bo to nie skromnie. Pan młody nie źle się prezentuje — rozumie się, że ma dobra — w Galicji. A ona! — co za wystawa — jakie w domu przyjęcie — panna służąca, pokojówka i dwie młodsze fartuszkowe — a co za srebra i brylanty — papa płacił wczoraj kuponami rachunek krawiecki — tam ogromne są kapitały w gotówce, lub na banku angielskim, nie podpada wątpliwości!

Następują ślubne gody.

Zdarza się, że nowożeńcy po ślubie przechadzają się w szpalerach Grosgartenu z jakąś bardzo kwaśną miną, nie do pozazdroszczenia — ale po cóż jeździli na swaty aż pomiędzy Szwabów? po co bawili się w zagadki i szarady? Jedno drugiemu nie powinno więc mieć nic do wyrzucenia, jakieby tam interesa nie były... Stało się, mościa panno!.. Schowaj do kieszeni co wiesz i co dostaniesz, mój miły panie! . . . Oto sens moralny wzajemnej loterii.

Takie oszukiwanie się zakulisowe na cudzoziemskiej targowicy możnaby policzyć do zasłużonych kar bożych. Widziałem bowiem w części arystokratycznej miasta w Dreźnie cienie wijących się skocznych kręgów i sylwetki nadobnych biesiadników na szybach kryształowych; słyszałem jak trzeszczała posadzka w najętych przez naszych turystów salach, z zadziwieniem Niemców kiwających głowami, z drwiącą

miną na placach — gdy jednocześnie kroczyła o głodzie trotoarem garstka ziomek niedobitków, ściganych przez mściwych Bergów i wieszateli Murawiewów.

W sakwach owych męczenników była krwią zbroczona garść ziemi ojczystej, aby nią zimna dłoń cudza przysypała im spiekle od łez żrenice.

Zaledwie dozwolono im dotknąć stopą dziedziny Sasów, gdzie w przeludnieniu psy zaprzężone do wozu ciągną ciężary, bo koni nie ma czem żywić; gdzie za mało miejsca na kartofle, cóż dopiero na ludzi!

A jednak brzmiała wesoło huczna muzyka i gorzały rześniste światła w pałacach hulaszczycich szlachciców naszych — rycerstwa dawno nie rycerskiego.

Czemużecie raczej nie pozatykali okien waszych materacami?! . . .

Zaprawdę, gdzie serca nie ma, gdzie nie ma Polki, tam nie ma i Polski! — tam Finis Poloniae! gorzej niż pod Maciejowicami.

Jesteście urodziwi, bogaci, tytułowani, zręczni, jesteście wszystkim czem chcecie — lecz nie nazywajcie się Polakami, ani Chrześcianami, bo tymi nie jesteście! Tymi nie mogą mianować się osobistości, które straciły najgłówniejszą ze świętych spuścizn narodowych: braterstwo! Bóg zagładzi ich pokolenia, bo tak napisano w prawie odwiecznem i poucza nas tego historia. Nim to jednak nastąpi, ileż one wyrządzą szkód z krzywdą cierpiącej ludzkości! . . .

W dalszym ciągu podróży przez Saksonję zatrzymałem się wyjątkowo przed klasztorem pośród łańcucha lesistych pagórków, gdzie flet pasterski, ryk rządnej krowki i grzechotka na jej szyi urozmaicały żywą sielankę. Tam i owdzie piętrzyły się masy opoki, w której przyroda potworzyła mnóstwo malowniczych jaskiń.

Zbliżywszy się do furty, pociągnąłem za taśmę od dzwonka, a gdy się jedna z podwoi rozwarła, wstąpiłem do sklepionego korytarza i zapytałem stojącego braciszka w kapturze:

— Czy wielbny ojciec Polak, któremu tu poznał przed kilku laty, jest jeszcze w tym klasztorze?

— Ksiądz Gaudenty? . . . Przeniósł się już na mieszka-

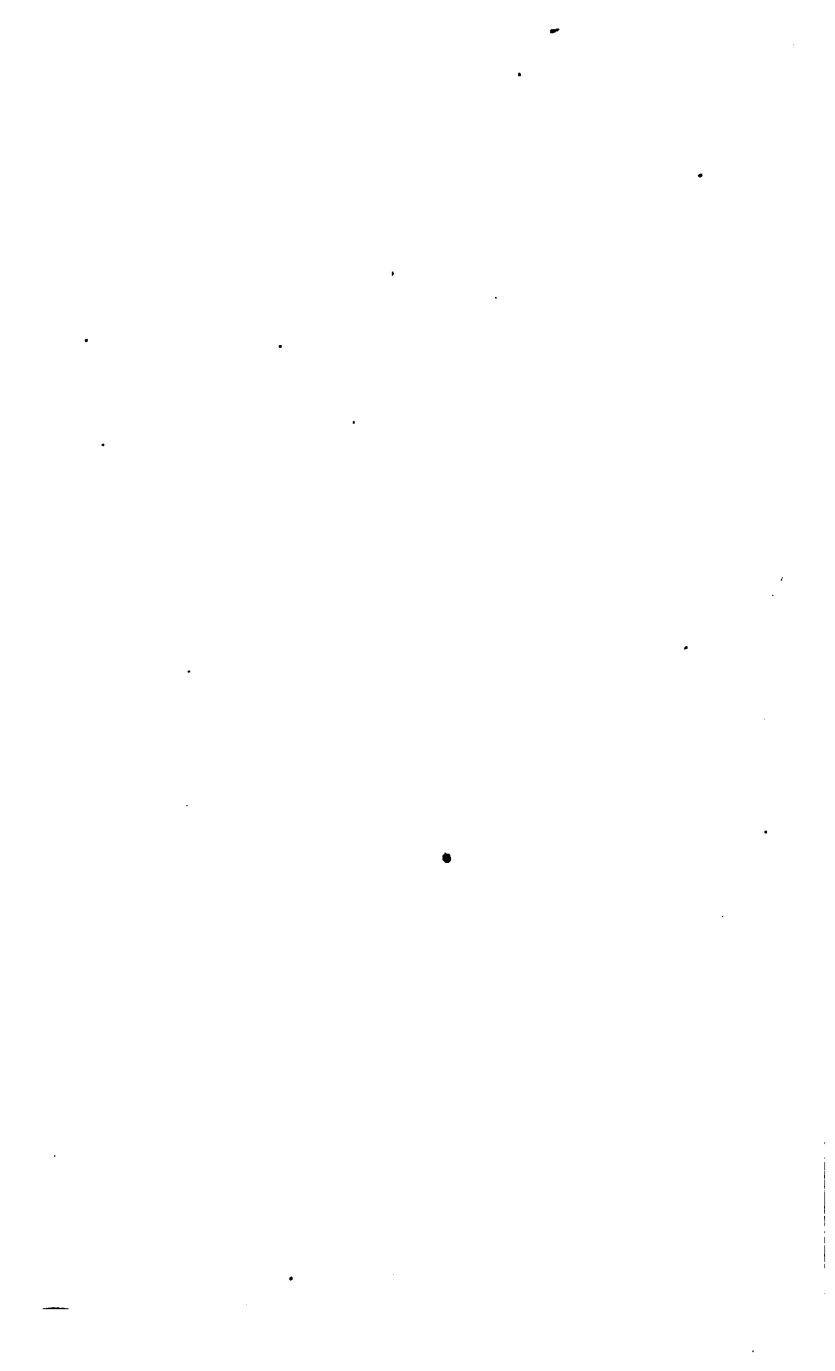
nie do niebios . . . a wszyscyśmy go tutaj tak kochali! —
odpowie spokojnie mnich z oczyma wzniesionemi.

Żal mi się zrobiło pocziwego staruszka. Należał on —
o ile sobie przypominam — do reguły Ignacego Lojoli, a
losy rzuciły go pomiędzy zakonników niemieckich. Gdy mię
pierwszy raz ujrzał i dowiedział się, żem emigrant: Rewolu-
cjonści! — zawołał z goryczą — nic dobrego! Zapominacie
o Bogu, a gubicie Polskę! —

A po tem przywitaniu zaprowadził na śniadanie do re-
fektarza i posadził obok przeora, bardzo sympatyzującego dla
sprawy narodowości naszej, tudzież dającego mi oznaki
szczególniejszego poważania.

Czuję dotąd gorącą łzę pożegnalną małego ze srebrnym
włosem ziomka, i słyszę słowa błogosławieństwa, z któremi
mię niegdyś wyprowadził za szare mury swojego schronienia.

Czyż ten krótki rys nie zawiera obszernych dziejów du-
chowiestwa polskiego? . . .



**GROBOWIEC PONIATOWSKIEGO.
ZAKŁAD BROCKHAUSA W LIPSKU.**



XI.

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,
Przybliź się i rozważaj ten napis głęboko.

Skoro nas losy do Lipska zagnały, pójdźmy rozważać napis, bo tak nakazuje stara pieśń narodowa. Trzeba jej być posłusznym!

Pójdźmy tedy odwiedzić pole bitwy i rzućmy gałązkę cyprysu tam, gdzie zginął ulubieniec wiarusów naszych, Ponia-
niatowski.

Na krańcu cienistego ogrodu radzcy Gerharda, szumi wązka, mętna, o stromych, gliniastych brzegach Elster. Tam leży kamień, a na kamieniu wyryto z jednej strony po łacinie, z drugiej po polsku napis następujący:

„Tu w nurtach Elstery, Józef książę Ponia-
niatowski, naczelny wódz wojska polskiego, mar-
szałek państwa francuskiego, trzema śmiertelnymi
dotknięty razami, okrywając ustęp wielkiego woj-
ska francuskiego i ostatni uchodząc z pobojuwiska,
życia sławie i ojczyźnie poświęconego dokonał,
w dniu 19. października 1813.

„Tę skromną pamiątkę, łzami swemi skropioną,
Polak współrodakowi, żołnierz wodzowi poświęcił.“

W środku ogrodu stoi grobowiec, z którego zwłoki wojownika przeniesiono do Krakowa. •

Gdy odwiedzałem to miejsce raz ostatni w 1866 roku, znalazłem je niestety w najgorszym stanie, w stanie zupełnego opuszczenia. Mówili mi nadto Niemcy, iż udawali się do przejeżdżających magnatów polskich z propozycją o zakupienie gruntu pod rzezonemi pamiątkami, gdyż ogród przeszedł w ręce nowego nabywcy, odgrządzającego się, że wyrzuci takowe, jeżeli nikt nie załatwi tego interesu.

Nie wiem, co się dalej stało. Wątpić atoli muszę w pomyslny skutek, nie mając najmniejszej wiary w dobrze zrozumiany patriotyzm dzisiejszych kapitalistów, którzy na gruzach rozświetowanego kraju powiedzieli sobie: „Après nous le deluge!“

Głucha boleść przejmując mimowolnie serce na widok panującego zaniedbania, które, jakby cecha bieżącej epoki tranzycji, na każdym niemal u nas pomniku piętno swe wyciska.

Coraz bardziej zacierają się świetne zabytki dawnej potęgi naszej; te zaś, co nie zaryte zostały twardym zębem czasu, których wróg obalić nie zdołał — upadły, podkopane przez naszą własną obojętność.

To smutno!

Przypuściwszy, że zubożony naród zajęty jest myślą budowy przyszłości na zgliszczach i rumowiskach; to czyż w duszach przepelnionych miłością i poświęceniem dla ojczyzny, szmer wydobywający się z smętarza przodków nie powinien znaleźć posłuchania? . . .

Toż z poniewierką spuścizny po ojcach, szła i poniewierka synów . . . panowie!

Wątpliwy zaiste plon z pyłu potłuczonych kurhanów, ze skiby rozsypanej mogiły rodzicielskiej, z zagonu zaoranej granitowej historii naszej, jedyne świadka potoku ubiegłych dziejów.

Dopóki matka Polka będzie w możności ukazywać zaczynającemu myśleć chłopięciu zbroice przeszłości narodowej i uroczyście opowiadać przy nich życiorysy poległych w walce za wolność bohaterów, dopóty nie przestanie lękać się wróg,

aby jakiś głaz odrywający się z nienacka od baszty groźnego zamczyska, lub zrabowanego kościoła, nie roztrzaskał mu głowy.

Kto tego nie czuje, kto tego nie rozumie lub nie chce rozumieć, kogo opuścił duch praocjów, ten niech usiedzie na ich mogile — której zgnilizna zdrowszą jest od jego wegetacji — niechaj weźmie koronkę i klepiąc pacierze, wzywa miłosierdzia królów, a spogląda pokornie na pohańbione skarby ognisk rodzinnych — na własne upodlenie.

Może za łachmany duchowej nędzy rzucą mu błyszczące szychowe szaty — może na wyciągniętą dłoń żebraka spadnie palący pieniądz jałmużny — a może zabije go klątwa lub powietrze grobów, za to że skalał je stopą plugawą.

Każdy, kto miłuje kraj szczerze, ten wie, że jest tylko jedno całkowite życie i nieśmiertelność — że pół nieśmiertelności i pół życia nie ma! . . .

Lecz wróćmy do naszej podróży.

Opuściwszy ogród Gerharda, wałęsałem się bez celu po ulicach Lipska. Zwiedzałem kramy, oglądałem towary wystawione w oknach magazynów, z wyrobów nabierając wyobrażenia o kraju i jego mieszkańcach.

Na placu dotykającym do hotelu Polskiego zajęły moją uwagę bryki kupieckie, nakryte podejrzanego koloru płótnem. Uwijali się koło nich pejsaci żydkowie w łapserdakach: co aż tutaj zajechali z Berdyczewa — byle handel szedł!

Obok stały dwie szykowne damy, zajęte rozmową po niemiecku.

Zagawroniłem się troszkę, patrząc na ową grupę, mającą pewną malowniczość w kontrastach, gdy wtem powóz najeżdża na mnie. Oglądam się, odskakuję i trzebaż wypadku! nadeptuję na nogę jednej z tych pań wytwornych, aż biedaczka krzyknęła:

— Aj waj! —

A ja pomyślałem: nie pokonasz sztuką natury, siostrzyczko od Jordanu!

Przepraszam ją i pędzę dalej.

Nie ma większej przyjemności nad pierwszą przechadzkę w krainie lub części miasta nieznaney, nad błędzenie bez

wyraźnego celu w obcym grodzie. Każde bowiem miasto ma swoją cechę, swój nawet zgiełk odrębny, charakterystyczny, jemu samemu właściwy.

Nie wiem, jak znalazłem się przed giełdą, w której roili się, niby ómy, spekulanci i lichwiarze lipscy.

W ogóle Lipsk wydał mi się jak ogromny kantor do ułatwiania interesów pieniężnych. Widok jego jest dosyć pośpny. Zdaje się, że chłód egoizmu wieje z każdego domu.

Miasto samo przez się nie przedstawia nic nader godnego widzenia, zwłaszcza dla tego, komu znane są stolice cudzoziemskie. Zżółkłe tam mury, ruch, knajpy z kufkami piwa, tego nektaru niemieckiego, tudzież parowe kielbaski, czem tuczą się obywatele potężnej Germanji.

Ratusz na środku rynku odznacza się wprawdzie starożytnością, lecz ani gmach pocztowy z listonoszami w kanarkowych mundurach, ani słynne konserwatorium muzyczne, ni promenady, ni żaden z rzadkich tu pomników nie zachwycał mię wcale.

Gdy nabiegłem się do woli w różne linje i zygzaki, głód mi dokuczać począł. Trudno w dzisiejszym wieku karmić się ambrozją — wpadam zatem bez namysłu do jakiejś garnkuchni, dokąd mię zwabił dosyć przyzwoity zapach sosu i pyszny, choć nie estetyczny, pośladek cielęciny odartej ze skóry, wyglądający z lufcika.

Podskakuje na wstępie fertyczna Mädchen w aksamitnym kaftaniku z szeleczkami i coś mi trajkocze srebrnym głosiakiem nad uszyna.

— Ich verstehe nicht Deutsch — odpowiadam, pogłaskawszy ją pod bródkę.

— Was wollen Sie, mein Herr?

— Geben si mir ein Schtick Oxen-Sohn!

— Was? . . . Oxen-Kind? . . . Kalbfleisch?

— No . . . ja, ja! richtig, meine liebe Freiland — i resztę dokończyłem na migi, pokazując jej wielkiego wołu i małe cielątko, a z tego cielątka ukrajany kawałek.

Po takiej dopiero rozmowie z przebiegłą Niemkinią, ja wia się porcja pieczystego, ale z nią zjawiają się także

jakieś zakazane figury z faworytami, które przyszły z drugiego pokoju oglądać biednego tułacza, za to, że się nie nauczył ich języka. I cóż w tem zdrożnego?

Złym na Szwabów, co mi spokojnie zjeść nie dadzą; przetrącam tedy co tchu, popijam „Lager-Bier“, płacę „Silber-groszami“ i wynoszę się mym kosztem.

Ztamtąd zachodzę do kawiarni Paryzkiej, jedynej w Leipzigu urządzonej z komfortem. Narkotyk mokki po jedzeniu ma zawsze coś mile upajającego! Humor mi się polepszył, i chciałem sobie pogawędzić z ładną panną fartuszkową za bufetem — lecz cóż, kiedy te draby Niemcy i tutaj zaczęli mię oglądać!

Przygody te przypominają mi pewnego brata emigranta, który nie umiejąc po francusku, a chcąc sobie w Strasburgu sprawić daszek do czapki, rzekł do kupcowej z pełną ufnością:

— Madame, donnez-moi un circonflexe! —

Lipsk pod względem ochędóstwa i przepychu nie może pójść w porównanie z Dreznem. Tylko w czasie jesiennego jarmarku zamienia się on w olbrzymią targowicę, napełnioną budami, tragarzami i wózkami, pomiędzy którymi cisną się przechodnie, i gdzie kupczyki pakują towary i zgarniają monetę.

Ciekawy to jarmark! Tam Grek w białej tunice rozprawa z Turkiem w zawoju — Prusaczysko z Francuzem — Polak z Kacapem — jak na maskaradzie. Tu na wyniesieniu z tarcie hałasuje cała rodzina skoczków, zwołujących na wspólne widowisko! pies im bębni na tamburynie, a kucyk wybija takt kopytem i strzyże uszkami. Tam angielskie yes! — francuskie oui, oui! — owdzie Herr Gott! — a nawet komplement czysto moskiewski: „Kak ja tebia lubliu, sukiny ty syn!“ słyseć się daje.

Rzekłbyś, że to walny sejm ludów, które z postępek cywilizacji porozumiały się przecieź i zbratały ogniem miłości i zgody.

Gdzie tam! Wszystko to ugania się za groszem — to

tylko żółty kruszec łączy ich dzisiaj, a jutro znowu za łby się pobiorą.

Nagle ujrzałem się koło kramów tandeciarzy.

Znowu Jerozolima! równouprawnieni echt-obywatele, panowie faktorzy! To Pociejów warszawski, kto go sobie przypomina . . .

Domy przylepione jeden do drugiego piętrzą się wysoko, w oknach suszą cerowane pończochy i widać gdzieniegdzie z za szybki gęstowłose żydóweczki. Chichoczą i zakąsują makagigi, a twarze rekomendują je, że ta jest Ryfka Lejzur, a tamta na wydaniu Roche Szmul, chociaż jakby dzieci jednej matki — zresztą udatne, jak inne kobiety.

Cały ten okrąg składa jakby jedną bożnicę, której brakuje tylko wspólnego dachu. Do koła wiszą przechodzone i nowe różnej barwy suknie i futerka, buty i rupiecie tandeciarskie — pode drzwiami sklepów stoją skrzynie z zardzewiałem żelaztwem, uławkami mosiądzu, i t. p. — a wszędzie szwar, szwar! haru, haru! — przytem odór czosnku i cebuli.

Uciekam ztamtąd, mijam różne zaułki i ulice w tej siedzibie pokolenia Merkurego, aż na jednej z kamienic schludnych, bez żadnej w oknach wystawy, uderza mię napis nad bramą: „F. A. Brockhaus.“

Wchodzę w podwórze.

Pod skromną firmą jednego z najbardziej renomowanych księgarzy na kuli ziemskiej, ujrzy tam wędrowiec rozległy gmach, którego rozmiarów nie można dojrzeć z frontu. Gmach ten składa się z kilku kwadratowych dziedzińców, otoczonych piętrowymi oficynami. Z jego cegieł możnaby zbudować osobne małe miasteczko.

Na dziedzińcu leżą paki, mające odbyć przejażdżkę do różnych części świata.

Oficyny są zajęte drukarniami, introligatornią, składami książek, z których jedne spoczywają w stosach arkuszy, na kształt filarów czworogranych z białego marmuru, drugie gotowe do drogi ukazują się z szaf, niby rozumy oprawne w angielskie płótno, z pozłotą na wierzchu.

W głównym korpusie mieszczą się biura wydziałów zakładu, dającego zatrudnienie około pięciuset rozmaitym robotnikom.

Zakład istnieje od r. 1805; utrzymuje niektórych współpracowników, jak profesorów, encyklopedystów, na stałej pensji; wydaje kolekcje dzieł wyborowych, we wszystkich niemal europejskich językach, nie wyłączając i rosyjskiego.

Rodzinę Brockhausów można nazwać arystokracją pracy.

Wydawnictwo „Biblioteki pisarzy polskich“ rozpoczęte w 1860 r. obejmuje już przeszło sześćdziesiąt tomów. Jest to, bez przesady, monument nowoczesnej literatury naszej w najozdobniejszym wydaniu.

„Biblioteka“ ma na celu przechować te z cenniejszych plodów piśmiennictwa naszego, któreby przez rządy despotyczne podciągniętemi pod artykuł prawa czyli bezprawia, zakazanemi i zniszczonemi być mogły.

Plan takowy podał Brockhausowi zajmujący się przy nim wydziałem słowiańskim pomocnik p. E. Ł. Kasprowicz, Krakowianin, i wprowadził go bezpośrednio w wykonanie. Wielka to zaprawdę z jego strony zasługa!

Zwiedzając ów pouczający zakład, patrząc na obrót kół i walców drukarskiej prasy, zdumiewać się przychodzi nad procesem komunikacji myśli ludzkiej.

Myśl zamknięta w ciele pierwowzoru człowieka, słaba, nie pewna siebie samej, poczęła się pierwiastkowo objawiać niewyraźnym dźwiękiem, jako wyraz ograniczonego umysłu, zanim parta potrzebą łączności z myślą bliźniego, zamieniła się w żywe słowo.

Lecz głos nie wystarczał do jej rozpowszechnienia w miarę zawiązywania się towarzystwa, w miarę jak mówca znajdował coraz więcej słuchaczy, filozof uczniów, a kapłan wiernych swej nauce.

Wtedy myśl lekka, eteryczna, zdobywa sobie obszerniejszy zakres działania, osiadając w widomych znakach na liściach papyrusu, skąd przenosi się na mieszkanie do skrętków pergaminowych.

A tak słowo wyzwolone z ust, przeistoczone w pismo,

przechodzi z miejsca na miejsce, z rąk do rąk, odbija się tysięcznym echem najprzód o tabliczki woskowe pod stylem pierwotnych pismaków, a potem o pargaminy pod piórem Benedyktynów.

Cierpliwy papyrus przyjął tedy najpierwsze zwierzenia się człowieka, pomysły jego mózgu i tajemnice serca — stał się nawet atomem reakcyjnym, wiernym oddziaływaczem na społeczeństwo, tak, jak gdyby sam żył i zdawał sobie rachunek ze swego szczytnego przeznaczenia.

Aż tu zjawia się Guttenberg!

Śmiały ów cyklop roztapia ołów i każe mu krzawić oświatę hartem po tym planecie.

Wiedza — dzięki pokornym czcicielom — staje się karmem powszednim.

Książka jest to bogaty relikwiarz wszechwiedzy rodu ludzkiego. Porzuciła ona już kryjówki zakonów i pałaców, a przeciska się w różnych formatach do dworców mieszczańskich, do chat wieśniaczych, do komórki dziennego wyrobnika, do warsztatów i na poddasza; widać jej karty w rękach dorożkarzy i posługaczy brukowych.

I wszędzie, jak Opatrzność, sieje oświatę.

A zdusić jej nie można!

Literatura, ta rozmowa myśli, jest tak subtelną, iż umie przemykać się niespostrzeżenie w razie niebezpieczeństwa.

Nie od dziś postrzegamy u nas ten fenomen żywotności ducha. Od lat kilkudziesięciu zabiera głos coraz inny ziemi polskiej zakątek.

W czasach ogólnego prawie oniemiaenia, warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk staje się ogniskiem myśli. Od niego zapala pochodnię Wilno, Krzemieniec — i współubiegają się z sobą na korzyść światła przez lat blisko trzydzieści.

Zdławione obuchem przemocy, gasną!

A natomiast ożywia się Poznań, Kraków i Lwów, aby zajaśnieć w ciemnościach.

Lipsk zaś przypatruje im się tylko i czeka na uboczu, jakoby warownia z rezerwą książkową.

Przyszło bowiem do tego, że już obecnie nie akademie, ani stowarzyszenia uczonych, nie klasztory, ani biblioteki możnowładców naszych — lecz wydawcy i księgarze, tacy Brockhausi i Żupańscy, utrzymują niezależne życie piśmiennictwa, dając mu schronienie.



**ROMANSIK Z DEWOTKĄ.
SPOTKANIE Z NIHILISTAMI.**



XII.

Stanął kogut na śmietniku
I zawołał: k u k u r y k u !
Jak się kury rozgadały,
Kukaryku powtarzały.

Już nie pomnę miejsca, dnia, ani godziny — wspomnienia wielkich zdarzeń rozpościerają się na wiekiistości żywota — dosyć, że działo się to, czyli raczej miało początek na którejś ze stacji między Lipskiem a Frankfurtem nad Menem.

Nudzając się samotnością pośród obcych wojażerów, zoczyłem tam był jejmościankę, która mię bardzo zainteresowała.

I ona siedziała sobie samotnie, jak milczący posążek, na złożonem futrze, ale dziwna rzecz! że drugie leciuchnie futerko z pęclicami miała na sobie, choć dzień był wprawdzie nieco chłodnawy, lecz wcale nie mroźny.

Ha! może jedzie z daleka, z pod strefy lodowatej, z Petersburga lub Sztokolmu, i dla tego się wyfutrzyła. Zresztą, któż to zgłębi gusta kobiece? . . .

Tak rozumując, nie spuszczałem wzroku z pasażerki, a gdy w dzwon uderzono, poszedłem za nią do wagonu i usiadłszy naprzeciw, zająrzałem jej w oczy — miała ciemne, przenikające, z gęstemi powieki, które się samorodnie fryzowały.

Oprócz tego zgrabny był owal jej twarzy i dowcip igrał na koralowych ustach. Z pod kapelusza spadało w nieładzie kilka splotów tęgiego ciemno-blond futerka. Przytem kibić miała proporcjonalną, nie tłustą, nie chudą, cerę jednostajną, poruszające się nozdrza i zadarty nosek, przez który rad byłem dojrzeć, co się w główce święci.

Trzeba dodać i na rękach dołeczki.

Tyle czytałem w życiu rozmaitych powieści, tyle widziałem dramatów i komedji, gdzie intrygi miłosne postępowały szybko, jak na welocypedzie, gdy mężczyźni umieli się należycie wziąć do dzieła, gdy potrafili tak urządzić sytuację, że niewiasty nie miały powodu rumienić się za nich, iż nie szczególnego, skoro zdjęła mię ochota . . . być grzecznym dla nieznajomej.

Kupić, nie kupić, potargować nie zawadzi!

Tylko dwóch Anglików, sąsiadów, mi bruzdziło. Ich oczy blade-niebieskie, zimne, nieublagane, zuchwałe, utkwione w nas jak dwa sztylety, śledzące najmniejszego ruchu, gniewały mię i niepokoiły.

Niecnoty osmielili się nawet przypinać mi łałki, a moją damę garniować. I tak:

Rudowłosy. Nie szpetna.

Chuderlawy (z powagą). Yes, sir!

Rudowłosy. Apetyczna.

Chuderlawy (tonem powątpiewania). Yes.

Rudowłosy. Upredził nas.

Chuderlawy. Ooo! yes!

Rudowłosy. Patrzaj na jego ślepie . . . lubuje się jej warkoczami, bo sam łysy.

Chuderlawy. Ale djabelki ślizgają mu się po łysinie.

Rudowłosy. Ha, ha! . . . he, he! . . . oh, oh! . . . hu, hu! . . . ufl! . . . Yes!

Chuderlawy. Jak się ruszy, to się posuń na jego miejsce.

Rudowłosy (z zapytaniem). Yes?

Chuderlawy (z potwierdzeniem). Yes!

Obydwaj (spoglądając na nieznajomą). Yes!! —

Bo dajecie popękali nudziarze z waszem yes — pomy-

ślałem — a ciemnooka uśmiechnęła się, zabawiona chorałem Anglików.

— Czy pani uwierzy — ozwałem się po francuzku, korzystając z okoliczności — że oni na nas spisek knują, ci pocieszni przedstawiciele splenowego Albionu?

— Doprawdy?

— Najniezawodniej! . . . A jakkolwiek pewien jestem, że wdzięki pani nie są narażone na niebezpieczeństwo w obec tych oryginałów z porcelanowemi oczyma, wszelakoż . . .

— Proszę dokończyć! — rzecze słabą francuzczyzną.

— Wszelakoż . . . nazwałbym się szczęśliwym, gdyby mię pani przyjęła za swego cavalier-servant podczas podróży. —

Uśmiechnęła się figlarnie, przyzwalająco; ja zaś potoczyłem wzrokiem dumnie po Anglikach, aby im dać poznać, że już łoża zajęta, i zawiązałem z córeczką Ewy bliższą gawędkę, tak, jak gdybyśmy się od dzieciństwa znali.

I pokazało się, że nieznaną była Litwinką, prześladowaną przez rząd ofiarą, zdążającą do Paryża, gdzie miała krewnych . . . możliwych obywateli; lecz po drodze winna była zatrzymać się na pewien czas w Heidelbergu.

Po kilku stacjach oddalił się rudowłosy turysta wraz z chuderlawym.

Spojrzałem na nóżki sylfidy, lecz te nie omieszkały schować się pod sukienkę (musiały być duże).

Lecz wkrótce przyszło do tego, że głośna nasza rozmowa zamieniła się w mruczka, że Litwinka dziergała drobnemi paluszkami sznureczek od mego ćwikiera, i że ożywiona, zapomniawszy o swych troskach, o nieszczęsnym Walenrodzie i przekwitłej romantycze Aldonie, mówiła mi wiele pięknych rzeczy.

Aż nareszcie ręce się nasze jakoś splątały, uściśniły z animuszem i daliśmy sobie rendez-vous w Fuldzie, gdzie razem przepędzić postanowiliśmy dniówkę, iżby użyć miłego spoczynku, nasycając się widokiem czarownej okolicy.

Uradowany, zmieniam francuzką mowę na rodzinną, aby jej tem tkliwiej podziękować . . . Lecz cóż to jest? Moją ziemianką oblała się szkarłatem i wyraz źle utajonego obua

zenia zawisł w jej źrenicach. Pocisk kuli nie byłby ją może takiej nabawił kontuzji, ile to moje odezwanie się po polsku.

— Pan Polak? — zawołała z uniesieniem — a czyż się to godziło . . . prędzejbym się śmierci spodziewała — i t. d. i t. d.

Zrazu zdało mi się, że ta kobieta miewa zajączki. Po-oząłem się jej pilniej przyglądać, łagodnie pocieszać, ani przypuszczając, że ponieważ miałem nieszczęście urodzić się Polakiem, a nie Francuzem, to mogło mię zdyskredytować w jej przekonaniu.

Ofiarowałem jej moją kartę wizytową.

Spojrzała na nią z niechcenia i włożyła do torbeczki — ale nic to wszystko nie pomogło.

— Bo tego . . . bo tego — wyjąknęła — idź pan sobie! . . . wodzić kogoś na pokuszenie . . .

— Z przeproszeniem . . . lecz to tylko szatani wiedzą na pokuszenie.

— W imię Ojca i Syna! Czyś pan katolik? . . .

— Hm! . . . Poddaję się istocie niewidzialnej, kierującej mirjadami światów, i czczę ją. Zarówno we wszechświecie jako i w duszy mojej poznaję nieskończoność, chociaż mogę ją tylko czuć, ale nigdy zgłębić, będąc sam pyłkiem w przestworze bez granic.

— Coby też rzekli OO. Zmartwychwstańcy, wielbny ksiądz Jełowicki, moja familja, gdyby się dowiedzieli . . .

— Ależ daję pani słowo uczciwości, że nie należę do rzędu fanfaronów, którzy gadają. —

Nic nie odpowiedziała — lecz przybrała minę mniszki, świętobliwej i niepokalanej cioci. I stała się poważną, jak artykuł „Unji“.

Zrozumiałem wszystko. W jednej chwili straciłem najzupełniej łaski, owoc długich zabiegów i pracy. Odtąd Litwinka spoglądała na mnie jak na obrzydliwego potwora.

O! ptaszyno, która pragniesz za tanie pieniądze na skrzydłach archanielskich pofrunąć do nieba — puchu marny! co chcesz być kanonizowanym za życia, a mnie zrobić gapą — zacznę ja z tobą z innej beczki — poczekaj!

Takie lekceważenie . . . taka w oczy zniewaga! . . .

Lecz mścić się nie ma na kim . . . wartoby jej dać atoli małą nauczkę.

Tymczasem maszyna zatrzymała się na żelaznych szynach; nowi cudzoziemcy przybyli.

Ochłonawszy nieco, zagadałem się z nimi, a zwracając się ku nim, trąciłem przypadkiem Litwinkę.

— Panie G*** — zawołała — wypraszam sobie, żebyś przestał . . . Zechciej zachować swoje nogi dla siebie . . . ! Czyż nie można opowiadać bez tych gwałtownych gestykulacji?

Ukąsiłem się w język, a ona przymrużyła oczy.

— To nie nogi, ale kolana winny — rzekłem z przymuszonym ukłonem. — W każdym razie nie lękaj się pani. Choćby nas tylko było dwoje na świecie, i wtedy nawet nie dałbym pani powodu do obawy z mej strony. —

Lecz po chwili namysłu zauważyłem, że trzeba zmienić taktykę, i dodałem:

— Z tem wszystkiem śmiem przypomnieć o umówionej dniówce . . . zbliżamy się do Fuldy.

— O! nie z tego . . . zmieniłam zamiar i jadę wprost do Heidelberga.

— Towarzyszę pani.

— Czy tak? To ja przejdę do innego wagonu.

— Cokolwiek bądź, zawsze zdybiemy się w rozkoszonym Heidelbergu.

— Bardzo wątpię! Oświadczam panu, że spędzę tam cały czas na łonie rodziny — jestem mężatką!

— A ja czuję się w obowiązku oświadczać łaskawej mężatce, że wytrwałość poczytuję za najpierwszą cnotę mężczyzn i że nie dopuszczę, aby mię posądzono o niestałość. Pani może jeszcze nie zna skutków silnej woli . . . zapewne jeszcze nie padała na kolana, posłuszna skinieniu mężczyzny. —

Litwinka zmierzyła mię pogardliwie.

— Znajdę panią — mówiłem dalej — choćby mi przyszło, jak Orfeuszowi, pójść za nią do piekieł.

— Jakto? i pan byś się ośmielił . . .

— Ręczę honorem!

— O! to niegodziwie . . . nie znając stosunków, chcieć skompromitować, zgubić bezbronną kobietę. O! to nie po chrześcijańsku.

— Zostaje droga ocalenia.

— Jaka? powiedz pan!

— Przyrzeczona dniówka w Fuldzie, arcykatolickiem mieście. Nic mię nie upoważnia do zwolnienia jej od danego słowa.

— Miłosierdzia! . . .

— Właśnie miłosierdzie w tym razie godne by było pogardy ze strony ładnej białogłowy . . . nie chcę się na nią wystawiać.

— Straszny człowieku! Gwałtem mię więc na grzech naprowadzasz.

— To się jejmość wypowiada i Pan Bóg odpuści.

— O! tak, ale ja sobie nie odpuszczę.

— I to się stanie darem ducha świętego. Wreszcie damy w Fuldzie na mszę.

Litwinka spojrzała do góry i westchnęła, jak gdyby wzywając zemsty niebios na upartego jawnoгрzesznika; potem spuściła głowę i zdawała się być pogrążoną w myślach; nareszcie ocknęła się nagle i pomału a dobitnie przemówiła:

— Przysięgam mi więc, że po wyjeździe z Fuldy nigdy się o mnie dowiadywać nie będziesz, a w razie spotkania nie znamy się zupełnie!

— Obiecuję zachować na przyszłość względem stosunku naszego, incognito maskowego balu, najuroczyściej obiecuję! —

Kociół ryknął i parę wyrzucać zaczął — pociąg się zatrzymał.

Wysiedliśmy.

Służąca, która wyszła z wagonu trzeciej klasy, zakrawająca na coś z waszecia, zbliżyła się do nas, ale Litwinka kazała jej pozostać w dworcu. Sami zaś udaliśmy się ku miastu.

— Czy słyszy pan? Właśnie dzwonią na nieszpory . . . zacznijmy od Boga . . . pójdźmy najprzód do kościoła . . .

muszę tam zamówić na jutro nabożeństwo żałobne . . . za duszę Ignacego . . .

Podąłem jej rękę z uszanowaniem.

W pobliżu Fuldy, w najpiękniejszym miejscu, na malowniczej górze, panującej nad całym krajobrazem, wznosi się klasztor OO. Bernardynów, otoczony stacjami Kalwarji. Ku niemu zwróciliśmy kroki.

Wstąpiwszy do nawy kościelnej, moja towarzyszka została się ze mną, aby na chwilę pójść do zakrystji.

Patrząc za odchodzącą, podziwiałem w niej łatwość, z jaką, nie pytając się nikogo, umiała odrazu odszukać zakrystję, w której nigdy przedtem nie była.

Jest więc teraz u Bernardynów — rzekłem sobie — może znajdzie między nimi chociaż jednego Francuza.

I zrobiwszy na lewo w tył, powróciłem sam na kolej, a doczekawszy się następnego pociągu, puściłem się w dalszą drogę.

Mea culpa! Ależ która z pań czuje się być wolną od grzechu, nadobnego grzeszku (co by to z nim można się przecisnąć do królestwa niebieskiego), niech rzuci na mnie kamieniem.

* * *

Otóż i znowu Moskale! . . . Spadłem, jak to mówią, z deszczu pod rynnę. Dwie panie prowadzą w najlepsze gawędkę śpiewno-słowiańską mową z przyciskiem na ostatnich sylabach. Siedzący w kąciku wagonu, otulony w ciemnozielony płaszcz z bobrowym kołnierzem, mężczyzna używa podróżnej drzymki — twarz i brodę ma podobną do wizerunku Jezusa Nazareńskiego, pomimo to i z miny i z odzieży zakrawa także na Moskala.

Snać gadatliwe damy ani się domyślają, że podsłuchane być mogą, gdyż zaczynają sobie przypominać awanturki z błogich czasów żywota, z którychby się zapewne nie łatwo zwierzyły przed kimś obcym.

— Poczytuję sobie za powinność oznajmiać paniom, że rozumiem ich język — rzekłem, skłoniwszy się nieznajomym.

— Ach! ach! . . . co? co? . . . zemiak? — szczebio- atły pomigaszane, a potem się serdecznie rozśmiały.

Śmiech naturalnie przebudził drzemiącego jegomości, który rzeczywiście należał do ich grona, i wkrótce rozmowa stała się ogólną.

Trudno uniknąć, aby przy spotkaniu się takich dwóch indywidualności, jakimi są Moskale i Polacy, pogadanka nie zwróciła się na politykę. Szanowne towarzystwo dowiedziawszy się o moim charakterze uciekiniera, o czym z tryumfem je zawiadomiłem, zdawało się ubolewać nad losem moim, co mię korciło.

W końcu dziwić się poczęto, że Polacy dla szczęścia własnego nie chcą się zbratać z Rosją.

Było to uderzenie w najdrażliwszą stronę mej jaźni. Wyszedłem z cierpliwości.

— Jakto? — zawołałem z pewnym rodzajem źle ukrytego oburzenia. — Po tylu ofiarach rusztowania, wśród zala- tujących jęków z podziemnych lochów Sybiru, wśród łez sierot pozostałych po zamordowanych rodzicach, strasznej nędzy najzacniejszych ludzi pozbawionych kęsa chleba — gdy w ojczyźnie mojej szeroko zapleniliście śmierć i spustoszenie, krwią zalali niwy i zasypali je zgliszczami spalonych miast i wiosek, mamyż w pokorze ducha lizać ręce kata naszego? Zdobywca tatarski wznosił ponoć gdzieś około Bagdadu pira- midę ze stu tysięcy głów trupich, ale nie stawiał na cześć swoją pomnika z ukazów zabójczych, nie targał się zu- chwale na zerwanie struny w lutni życia narodów, z których każda wydaje właściwy sobie dźwięk w wielkim koncercie bożym.

— Przezacni ludzie! — ozwie się cichym głosem Rosja- nin, jak gdyby mówił sam do siebie — Polska powinna szczyścić się wami, jakkolwiek bohaterstwo wasze warte jest lepszej sprawy.

— A czyż nie jest świętą ta, dla której walczymy?

— W twoich oczach, panie, i to w sposób, w jaki ją pojmuje wielu Polaków. Ale . . .

— Możesz że być jakie ale? . . .

— Daruj pan! . . . Posiadasz gorącą duszę współbraci twoich; byłoby więc szaleństwem usiłować zachwiać cię w przekonaniu głęboko zakorzenionem w poczciwem sercu. Lecz jeśli mi wolno wyznać zdanie moje, to winowajcą tu jest owa samolubna wielmoża wasza, przesiąknięta zasadami spróchniałej cywilizacji łacinników Rzymu; owa wielmoża, co stała się przyczyną ruiny waszego nieszczęśliwego kraju, gdy go rozdzieliła w dzierżawę pomiędzy siebie. Ona to osiadła go jak zatruwający polip i obalamuca od dzieciństwa pojęcia wasze. —

Poruszywszy się konwulsyjnie, chciałem odpowiedzieć.

— Oszczędź sobie fatygi, panie mój! — przedłużał Moskal. — Wiem z góry, co byś mi mógł zarzucić. Oby te słów kilka, które ośmieliłem się tu wymówić, zwróciły kiedyś uwagę twoją; obyś zechciał nad nimi się zastanowić, skoro pora przyjdzie ku temu! Gdyż niezawodnie nadejdzie ów czas, w którym dzisiejsze przekonania twe ulegną zmianie. —

W wyrazach nieznanego malowało się dużo prostoty i powagi. Utkwiły one w mojej pamięci; a pomimo obawy dotykania tak delikatnego przedmiotu, ujęty ciekawością poznania niebezpiecznej broni wroga, poprosiłem go, aby mówił dalej, i to z całą otwartością, oświadczając, że wszystko cierpliwie wysłuchać i zrozumieć zdołam.

— Wspomniałeś pan — rzecze tedy — o strunie na lutni życia narodów. Piękne zaiste porównanie! Lecz czyż mi zaprzeczysz, iż dźwięk Polski szlacheckiej nie przebrzmiał bezpowrotnie?

Wielmoża wasza odegrała już na karcie dziejów nader świetną rolę, już to w obronie chrześcijaństwa, już przywilejów własnych — a że nie postąpiła z duchem czasu, zmarlała i jest teraz tylko zasklepioną w sobie, jak ślimak w skorupie kasty, więcej szkodliwą niż pożyteczną narodowi waszemu.

Bo w rzeczy samej: i cóż wasi jezuicy patrycjusze republikanie szlacheccy, wzdychający wiecznie do pańszczyzny, zrobili dla sprawy ojczyznej?

Cóż się u was zmieniło od czasów Targowicy?

Czyż nie tych samych co i wprzód nazwisk rodziny stoją u was u steru? Wszak skóry ich tylko, jak na węzłach, uległy przemianie; zasada zaś w gruncie pozostała taż sama. Różnią oni was tylko z pobratymczymi szczepami, a w spółce z pokoleniem germańskim, trzymają naród w ciemnocie, głosząc ciągle jego uszy harfianem słowem: „Niewinna ofiaro! jakże ci do twarzy w aureoli męczeństwa“ — bo z tem wygodnie dla kilkunastu przodkujących pod herbowaną tarczą indywidualów.

Dzięki im, nie macie ludu, a surducikowi wasi nie zdobędą się na siłę mogącą się oprzeć stu tysięcy bagnatom. Śpiewami zaś do Matki Boskiej mogą wyśpiewać królestwo niebieskie, ale nie ojczyznę. Polska jest wielką jako idea, a małą jako rzecz. Zjednoczona tylko i w sojuszu z nami mogłaby uzyskać znaczenia.

— Moralnego znaczenia... w obec szubienicy — dodałem.

— Gdybyście nie powzięli byli zachcianek zagnania nas aż do Tartarii, wykluczenia z rzędu państw europejskich, a okazali nam dziesiątą część tej przychylności, jaką sejmy wasze okazują Niemcom, z poniżeniem szlacheckiego szczepu słowiańskiego, Polska z pomocą naszą zamieniłaby się w Eldorado.

— Czemuż raczej nie pomyślicie o zamienieniu wprzód w Eldorado waszej „matuszki“ Moskwy? Wszak bliższa kuszula ciała!

— Właśnie pracujemy nad tem. Czyż pan nie wiesz, że nihilizm niweczy już u nas wszelkie fundamenta samodzielnawja i że przelał się w prąd życia publicznego? Czyż nie przypatrywałeś się naszym komunom włościańskim?

Was demoralizowano z góry. My oddziaływamy z dołu. Utwierdzamy zasadę samorządu w pierwotnym środku którym jest gmina.

Organizm nasz narodowy da się porównać do roślinnego: zebrania gminne wyobrażają komórki, z których rozchodzą się pożywne soki na włókna, dokąd nie obejmują całego pnia.

Gmina więc będzie u nas podstawą organizmu społecznego, podobnie jak komórka, która jest początkiem i

istotą budowy roślinnej. Słowem, wszystko robimy, wszystko poświęcamy dla obszczało błaha (dobra powszechnego.) —

— Z tem wszystkiem leży w zasadzie waszej, nie zwracać bynajmniej uwagi na to, co nazywacie przesądami odwiecznymi, zastarzałymi i zakorzenionymi instytucjami feudałów; nie zgłębiacie historii, tej wielkiej księgi doświadczenia; nie rozumiecie żadnej tolerancji dla nikogo, kto się nie zgadza z waszemi pojęciami; powaga zwyczaju i czasu nie ma u was znaczenia — słowem, wolność wasza jest absolutyzmem dążącym do zniszczenia obecnego porządku aż do podwaliny społecznej. Nie prawdaż?

— O! tak, tak! — rzecze spokojnie Moskal — poramy się w gruzach, czyścimy i równamy plac do nowej budowy „obszczało błaha“.

— A gdzie materiały ku temu?

— W przyszłych pokoleniach. My nie unosimy się egoistyczną polityką. Dla nas postęp dziejowy nie ma ograniczenia. My walimy omszałe mury; niechaj następcy nasi wznoszą nowe, stosownie do swych potrzeb. Być może, iż nasz socjalizm zamieni się z czasem w demokrację.

— Lecz wasz falanster na bruku petersburgskim, wasz furjeryzm i w ogóle teorje, o których się dosyć w swoim czasie od waszych rodaków na wygnaniu nasłuchałem, są to oklepane już, a nie praktyczne doktryny, stare utopje, które tylko papier cierpliwy na wszystko znosić na sobie może. Z dawien dawna już wróble o nich gadały na dachu. Jest to wieczne powtarzanie jednego i tegoż samego kukuryku.

Ale żart żartem! Wszak car, który uważa grabież za cel bytu swojego, ma jeszcze dosyć miejsca na Syberji dla pomieszczenia tam wszystkich wolnodumców. He? . . .

— Mój dobrodzieju! — ozwie się Moskal — coś mi woniajesz szlachecczyzną . . .

— Mój łaskawco! — odpowiedziałem — za nadto mi trąciszą nihilizną! —

I oddalając się z wagonu wspaniałym krokiem, zostawiłem Azjatę zmieszanego moją wyższością.

1. The first part of the document discusses the importance of maintaining accurate records of all transactions and activities. It emphasizes that this is essential for ensuring transparency and accountability in the organization's operations.

2. The second part of the document outlines the various methods and techniques used to collect and analyze data. It highlights the need for a systematic approach to data collection and the importance of using reliable and valid measurement tools.

3. The third part of the document focuses on the analysis and interpretation of the collected data. It discusses the various statistical and analytical techniques used to identify patterns, trends, and relationships within the data.

4. The fourth part of the document discusses the implications of the findings and the need for further research. It emphasizes that the results of the study should be used to inform decision-making and to guide the development of policies and programs.

5. The fifth part of the document provides a summary of the key findings and conclusions of the study. It highlights the main points of the research and the implications for practice.

6. The sixth part of the document discusses the limitations of the study and the need for further research. It identifies the strengths and weaknesses of the study and suggests areas for future investigation.

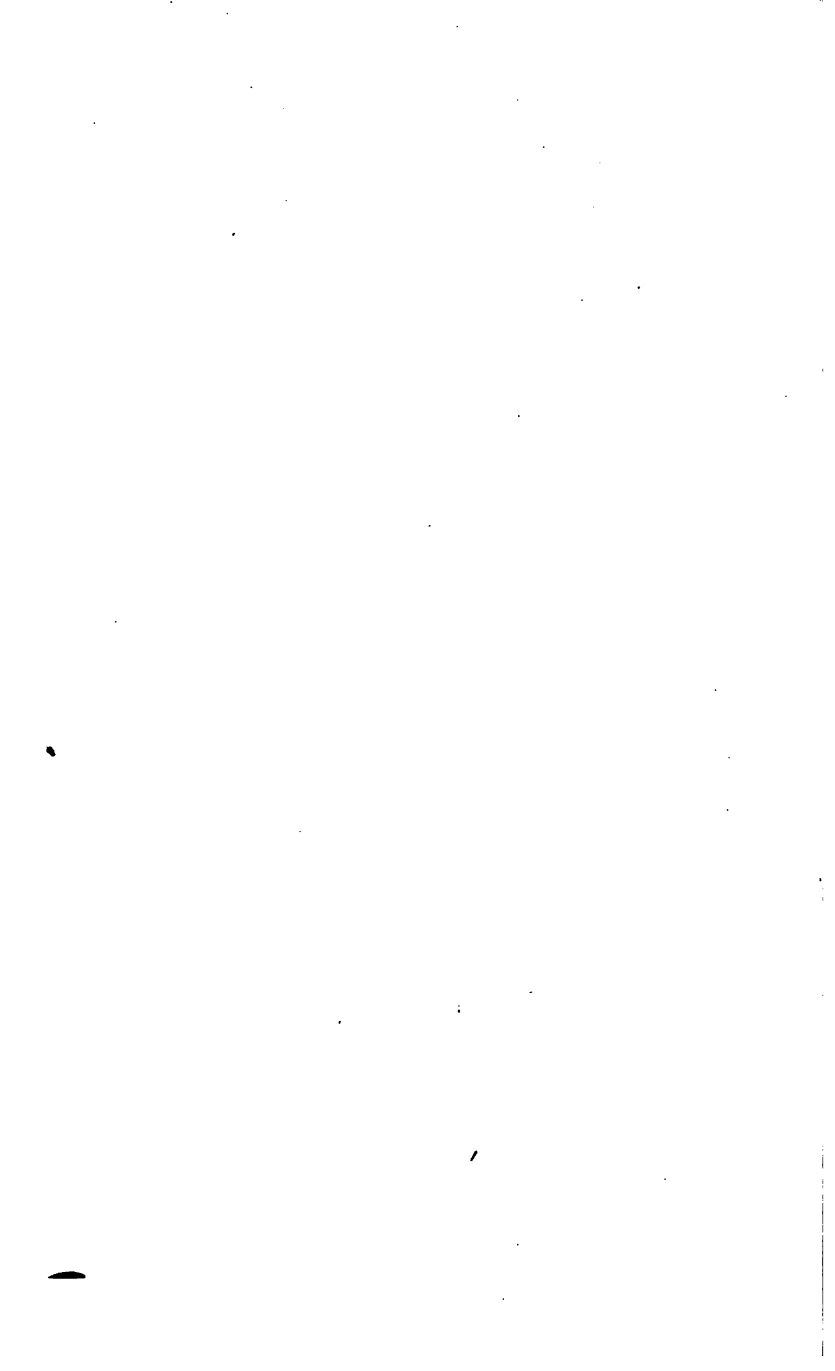
7. The seventh part of the document provides a list of references and sources used in the study. It includes books, articles, and other relevant literature on the topic.

8. The eighth part of the document provides a list of appendices and supplementary materials. It includes data tables, figures, and other relevant information that supports the findings of the study.

9. The ninth part of the document provides a list of acknowledgments and thanks. It expresses appreciation to the individuals and organizations that provided support and assistance during the course of the study.

10. The tenth part of the document provides a list of contact information for the author and other relevant parties. It includes email addresses, phone numbers, and other contact details.

W HEIDELBERGU.



XIII.

Łyknął,
Krzyknął,
Wywrócił oczyma,
I już go nie ma!

Cóż to znowu za romantyczna dolina pomiędzy górami? Wśród doliny płynie Neckara. Z jej wybrzeża białe domki jak łabędzie przeglądają się w wód zwierciadle — to Heidelberg!

Na górach rozpina się wdzięcznie winna latorośl; u ich stóp słaniają się obłoczki, a na wierzchu wyglądają z winnic majestatyczne zwaliska słynnego zamku, łudzącego oko ogromem, porozrywanymi murami, na których rosną drzewa i powoje.

Czarowny krajobraz! Brakuje mu tylko ramek.

Zwróciłem ku niemu kroki, stając co chwila i oglądając się do koła; potem szedłem niezmiernie długą, jedyną ulicą starożytnego miasta, ciągnącą się w podłuż rzeki, a napotkawszy gromadkę studentów w ponsowych czapeczkach, ci wskali mi grzecznie najkrótszą do zwalisk drogę.

Nie ujrzałem nigdzie żadnego żołnierza, żadnego policjanta; Heidelberg w sobie miły i schludny, zdał mi się być przybytkiem spokoju, cichej pracy i łatwego bytu. Mnóstwo cudzoziemców, szczególnie emancypowanych Moskali, tudzież Anglików i starych emerytów zjeżdża tam na mieszkanie z całego świata.

Przebywszy na koniec ulicę, gotując się do wniebowstąpienia, spostrzegam pod górą na placówce osielków strojnych w czerwone czapaki z damskimi siodełkami. Stojący przy nich przewodnik usiłuje jednego okiełznać, pakując mu gwałtem do pyska uzdeczkę. Drugi tymczasem, już okulbaczony, z zadartym do góry łbem, ryczy przeraźliwie.

Dwie chude Angielki przypatrują się z uśmiechem tej scenie sielankowej.

Dalej na ustroniu kilku studentów w niebieskich kaszkiecikach fechtuje się na rapiry.

Wznoszę się na wyżynę.

Jakiż to zachwycający widok! Dworki i wioski rozrzucone na widnokręgu, het! daleko . . . Nademną błękitne niebiosy, a w niebiosach czarnego ptastwa stado zatacza pierścienie żałobne. Drzewa i krzaki okoliczne szumią jak harfa eolska — szumią, przestają, nareszcie całkiem ucichły.

Ale otóż i wkroczyłem na pierwszy dziedziniec zamkowy. Na wstępie obaczyłem na cyplu o wyszczerbionych ścianach rudery, jakiegoś człowieka . . . istny duch z tradycyjnej baśni!

Zaledwie zacząłem się rozpatrywać w otaczających murach, starając się wydobyć jakiś pokarm dla wiedzy z tej kamiennej historii, spoczywającej pod kotarą z odwiecznych mchów i bluszczów uwitą, zjawiła się cyceronka, urodziwa dziewczyna z pękiem kluczków u pasa i latarką w ręku.

Jednocześnie nadjechały też na osielkach i obie córki Albionu. I nuż razem chodzić po zakrętach zamczyska, ciemnych galerjach, podziemnych korytarzach, słuchając długich wywodów cyceronki!

Byłem jak na niemieckim kazaniu, nie rozumiejąc co mówiła. Zaobserwowałem tylko, że ów Djogenes kobiecy miał wiele poetycznego usposobienia.

Jakże tam Niemcy dbają o zachowanie ruin! Przytem czystość oraz porządek i kamienie w różnych miejscach świeżo pościągane żelaznemi klanrami, świadczą, jak im idzie o trwałość pamiątek przeszłości.

Pod tym względem za wzór do naśladowania służyć oni nam mogą.

Nareszcie panna cyceronka coś zagadała o dwudziestu krajcarach, zakręcając ogromnym kluczem w pokrytych rdzą drzwiach, obitych blachą, a wiodących do lochu rudery. Domyśliłem się, że przymówiła się ona do osobnej zapłaty za pokazanie ciekawości ukrytej pod sklepieniem.

Weszliśmy tam nakoniec.

Proszę sobie wyobrazić ustawioną na środku piwnicy beczkę na ligarach, olbrzymią beczkę, ozdobioną rzeźbą, z podłogą na wierzchu, otoczoną barjerami. Po schodkach tam wniść można i wygodnie tańczyć w cztery pary kadryla!

Stuknąłem do dna beczki, zadźwięczała głośno jak każde naczynie próżne, nie przymierzając jak i głowa pusta. Podobną, tylko znacznie mniejszą kufę widziałem w podziemiu ratusza w Bremen, z tą różnicą, że ta ostatnia jest napełniona winem reńskim, klarującym się w niej od lat stu pięćdziesięciu. I gdyby Niemcy nie mieli nagannego zwyczaju dolewania bremeńskiej beczki młodym cienkuszem, w miarę jak upiją wytrawnego nektaru, byłoby to winko doprawdy wyśmienite.

Rozstając się ze zwaliskami, spojrziałem po raz ostatni na zapadłą do głębi fosy basztę, gdzie za czasów feudalnych gnębione, zaprzepaszczone ofiary cierpiały głód i katusze — jako też na beczkę, z której się jednocześnie raczyli truneczkiem możni hercogowie Heidelberga.

I mimowolnie nasunęła mi się myśl o znikomościach doczesnych, o owem nicestwie, z którego napróżno potężni władcy wydobyć by się usiłowali.

Wszak ze słynnej beczki niejednen z panów hercogów zacierpnął czasę wesela, wznosił roztruchan za pomyślność swego oręza, zerknął na lenników pancerne hufce oczyma — a jak dewiza powiada: „I już go nie ma!“

* *

*

Nadszedł wieczór, gdym wstąpił do oświeconego hotelu „Księcia Karola“, czy jak mu tam, na pstrągi heidelbergskie, używające wielkiej reputacji z powodu swojej delikatności.

Salę jadalną zastałem przepelnioną cudzoziemcami. Ten sobie gadał i ów sobie gadał, pełno było gwaru różnorodnymi językami — prawdziwa wieża Babel. Pomimo to zgromadzenie miało cechę weselną. Ktoby nie znał był jeografji, mógł się jej nauczyć, przysłuchując się rozmowom podróżników. Mieściło się też między nimi kilku oryginałów, podobnych do karykatur, jakie dzieci dla zabawki przylepiają na parawanach.

Gospodarz, uprzejmy człowiek, z papinkowatą fizjonomją, który komenderował kelnerami, sam wedle zwyczaju niemieckiego najuniżeńszy służka przybywających gości, wskazał mi siedzenie przy ogólnym stole. Wdałem się z nim w gawędkę; piastował on urząd miejscowego sędziego, to jednak nie przeszkadzało, żeby w obec swych gości nie wystąpił był we fraku, choć nie bardzo pasującym do jego brzuszka, w białym krawacie i z serwetą pod pachą.

Znał on dobrze wiele rodzin polskich, których nawet nazwiska przyuczył się znośnie wymawiać. A wszyscy w jego przekonaniu byli hrabiami, a najmniej baronami!

— Ależ i w tej chwili masz tutaj pan Polaków — dodał, pokazując na osobny stolik pod oknem.

— Zapewne samych hrabiów, jeżeli nie książąt? . . .

— O! najniezawodniej! — rzecze.

Zwróciłem się w tamtą stronę, lecz towarzystwo było mi nieznanе. Atoli luby dźwięk znanej mowy zalatywał ztamtąd. Popchnięty siłą magnetyczną, przeniosłem się machinalnie do sąsiedniego stolika ziomków.

Miło to zaiste spotkać się na obczyźnie z rodakami — ciężar tęsknoty spada wtedy z serca.

W średnim wieku mężczyzna opowiadał przygodę kuzyna swego na emigracji. Historia straszna i przerażająca! Jednej z pań przysłuchujących się brylantowe łezki jaśniały w oczach. Rzecz się tak podobno miała:

Krewniak opowiadającego, ściągany losem, przybył do Londynu, nie nauczywszy się wprzód ani czterech wyrazów

po angielsku i nie mając w tej ogromnej stolicy nikogo znajomego.

Gdzieś w kawiarni czy oberży przyczepił się do niego jakiś usługowy jegomość, mianujący się także być Polakiem, wychodząc z musu, ofiarą despotyzmu, która, co gorsza, zapomniała już z braku używania mowy rodzinnej.

Nieznajomy zakrawał z postaci na żydka, poczciwego żydka, ogladzonego i przechrzczonego za granicą, a kochającego wszystko, co polskie, co swojskie.

Świeżo przybyły nasz młodzian rad, że znalazł przecie sobie kamrata, przylgnął do niego od razu i zwierzył się jako jeszcze nigdzie nie mieszka.

Gościnnie a rozczulony wiadomością żydek zaprasza go więc, niby do siebie.

Młodzieniec przyjmuje zaprosiny, idzie ze swym dobroczyńcą do jakiegoś mieszkania umeblowanego, a widząc niejako w przyjacielu tarczę od złej doli, opędza wydatki domowe, póki mu starczyło grosza.

Gdy się wyekspensował tak dalece, że mu już tylko w kieszeni pozostało płótno, wtedy towarzysz mu się wywnętrza o swoim chwilowym pod względem finansów ambarysie, i daje dobrą radę, że ponieważ wiosna się zaczyna, mógłby u znajomych sobie tandeciarzy zamienić jego przenoszone zimowe suknie na zupełnie nowe letnie i dostać coś pieniędzy w dodatku.

Rozumie się, że młodzieniec zgadza się chętnie na to, zdejmując z siebie i oddając ubranie. Izraelita je zabiera, wychodzi i więcej nie powraca — przepadł bez wieści.

Niedługo też odźwierny przynosi rachunek za komorne, a zastawszy nieszczęśliwego w szlafrocuku, składającym całą jego odzież, i nie będącego w stanie zapłacić należności, wyrzuca nieboraka na ulicę . . .

Nie wiem jak się ten smutny dramat zakończył, gdyż opowiadający przerwał nagle historję, pobiegłszy ku drzwiom, z kąd usłyszałem za sobą fru fru sukni kobiecej. Przyprowadził on jakąś wytworną damę do swojego grona — lecz głos jej tak mi był gdzieś znanym!

Ale otóż i obróciła się profilem . . . to ona! Litwinka!

znajomość z pod Fuldy! Śnać nadciągnęła od Bernardynów i stanęła w tym samym co i ja hotelu.

W miejscu futerka miała na sobie pyszną toaletę, z sążnistym ogonem.

Skoro spojrzeliśmy na siebie, obojeśmy udali jako się wcale nie znamy. Wywiązałem się należycie z danego jej słowa. A ona? Ona była mistrzynią w sztuce udawania.

Patrząc na jej śnieżne czoło, na spokój i pogodę rozlaną na licu, na łagodny uśmiech, który chyba ukradła aniołom, na powagę i godność wzbudzającą uszanowanie ku tej młodej matronie, wreszcie na hołdy jej oddawane, nie dowierzałem własnym oczom i przetarłem okulary, żeby się jej lepiej przypatrzeć — tak mi się ta scena różną być wydała od komedji w wagonie.

I opuszczając salon, mruknąłem sobie, że są doprawdy rzeczy w niebie i na ziemi, o których ani się śniło naszym filozofom.

Komu w drogę, temu czas! Nie zatrzymamy się aż u granic Francji.

Do widzenia, Germanjo! . . .

STRASBURG. — CHCIWOŚĆ TEUTONSKA.



XIV.

Nikną mężo, ludy sławne,
Grób na grobie się otwiera,
Nowe imię gasi dawne,
I sława sławę zaciera.

Nie jednokrotnie w życiu zwiedzałem Strasburg. Ale nigdy owa wysunięta naprzód forpoczta francuska nie wywarła na mnie tak miłego wrażenia, jak gdy raz pierwszy przebiegałem radosny jej dzielnice, będąc jeszcze bardzo młodym wtedy.

Sympatja ku Francji, którą niejako wyssałem z piersi macierzyńskiej; jej literatura, z którą byłem obznajomiony; swoboda i ochrona przed wrogiem, jakiej doznałem, dotknąwszy stopą gościnnego łądu po za Renem — wszystko to silnie oddziaływało na mą wyobraźnię.

Z dziecięcą naiwnością, ciekawością bez granic, a nie dającą się opisać pociechą w sercu, zwiedzałem wtedy szczególności Strasburga.

W przesłicznym położeniu to miasto liczyło około 80,000 mieszkańców — oddychało pomyślnością, bogactwem i wdziękiem.

Każdy wędrowiec mający zamiar obejrzenia ziemi francuskiej, musiał koniecznie zatrzymać się w tej pierwszej strażnicy, aby nasycić oko zgromadzonemi w niej obficie pomnikami ubiegłych czasów.

Dziś miasto to należy już niestety do przeszłości, odegrało już swoją wielką epopeję, dla tego wspomnijmy o niem nieco obszerniej:

Początek Strasburga sięga odległej starożytności. Według przeważnej liczby historyków założycielem jego był Drusus, brat Tyberjusza, na 15 lat przed narodzeniem Chrystusa.

Za czasów Cesarstwa Rzymskiego nosiło nazwę Argentoratum.

Spalone do szczytu przez Attyllę w 349. roku nowej ery, odbudowało się w lat kilkanaście i otrzymało miano Strasburga.

Należało do królestwa Lotaryngji aż do 1205 r., w którym stało się miastem cesarskiem. Od tej pory łączyło się z różnymi związkami miast niemieckich.

Do Francji należy od traktatu Ryświckiego z 1697 roku.

Wspaniała katedra z najwyższą wieżą na świecie, bo na 142 metrów wysoką, z której przypatrywałem się niegdyś cudownym nadreńskim okolicom; świątynia protestancka ś. Tomasza z grobowcem Maurycego saskiego, rzadkiem arcydziełem rzeźby z białego marmuru; brązowe posągi na placach Guttenberga i Klebera, którzy w murach tego miasta ujrzeli światło dzienne; mnóstwo gmachów publicznych o wytwornej architekturze, czyniło Strasburg ulubionem miejscem turystów.

I to miasto, ten sam Strasburg zginął teraz . . . choć w tak bohaterowski sposób!

Słyszę grzmiący głos generałów, rozlegający się na wałach pośród trąb wojennych, i widzę wzrokiem wyobraźni garstkę bohaterów w rozpaczliwej obronie przeciw chciwości teutońskiej.

Sen to, czy jawa? Żyjemyż w wiekach barbarzyńskich czy cywilizacji?

Doprawdy, rozwiązać trudno.

Uczeni dzielą historję na starożytną, średniowieczną i nową; tymczasem historja średnich wieków jeszcze się nie skończyła, bo żyjemy w samej pełni jej rozwoju, z tą różnicą, że feudalizm budował, a teraźniejsza społeczność niszczy, burzy, bombarduje wszystko, co tylko cywilizacja utworzyła dobrego.

W samej rzeczy, cóż nam nie dostaje do uzupełnienia obrazu średnich wieków?

Mamy swoich Machiawelów, swych Cesarzów, Borgiów, swych Karolów V., nawet mamy Wallensteinów, jakkolwiek w lichej edycji.

Na co się zdały stopy ksiąg zapisanych o prawach ludów i narodów, o braterstwie i swobodzie; na co się zdał krzyż i ewangelja? Czyż najwyższy postęp naszego stulecia, ostatnie streszczenie mądrości ludzkiej ma leżeć w iglicówkach i ognistych pociskach? . . .

Toż dzisiejszym zapastnikom „z bożej łaski“ — jak gdyby Bóg miał z nimi co wspólnego — niszczycielom pod znakiem krzyża ś., kilka bomb napełnionych naftą wystarczyć może na spalenie wszystkich bibliotek, jak spalili obecnie drogocenną bibliotekę strasburską, jeśli narody się nie porozumieją i nie położą raz stanowczej tamy podobnym bezprawiom.

Niech owi Wilhelmi „pobożni“ popalą archiwa wiedzy ludzkiej, niech poniszczą maszyny, wytepią młodzież, to jakież z tego skutki?

Oto ciemnota, barbarzyństwo i kilku bezdusznych katów trzymających w okowach cherlających niewolników, zrodzonych ze starych niedobitków!

Chwila to strasznej żałoby! Atoli da Bóg, że berło moralnego panowania nie przejdzie z rąk namaszczonych w krwawe podbojców dłonie, pomimo strasznych klęsk przez nich zadanych ludzkości, pomimo tysięcy zdrajców własnej ojczyzny, przedajnych generałów i plugawej demoralizacji cesaryzmu!

Posłuchajmy od naocznych świadków, co opowiadają o Strasburgu po zajęciu go przez Niemców.

Zebrałiśmy się — doniósł jeden z nich — do zwiedzenia miasta, a wrażenie, jakie ztąd wyniosłem, pozostanie mi wiecznie w pamięci.

Udaliśmy się naprzód na Place-Broglie. Wspaniałe gmachy, które tu niegdyś istniały, wszystkie prawie stały się łupem płomienia. Gmach mera całkiem postrzelany, Banque de France na pół spalony. Smutnie sterczą ruiny pięknego

teatru, którego każda loża była w ostatnich czasach przytułkiem całej nieszczęśliwej rodziny, z którego nic nie pozostało, krom nagich murów. Przerażający wandalizm!

Przed portykiem na wspaniałych schodach leżą pomięszane bez ładu kupy biletów, telegramów, listów, krwią zbroczonych, w których turyści chciwi relikwii zaciekle grzebią.

Poszliśmy dalej ulicą du Temple Neuf, prawie zupełnie zgorzałą, ku nowemu kościołowi, będącemu w ruinie. Tu zburzono bibliotekę, spalono starożytności Schöpflina, mające wysoką wartość. Na popiele pojedynczych kart można jeszcze pismo czytać; lecz z trudnością udałoby się zapewne najmielszemu kombinatorowi złożyć z tych zwęglonych ułamków jedną z tych cennych ksiąg i rękopismów, traktujących historję protestantyzmu, których strata jest nie do powetowania, bo w stracie tej ludzkość widzi próżną lukę jednej epoki dziejów swojej przeszłości.

Nagie i popękane ściany kościoła wznoszą się pustką do góry.

„Pan Bóg wszystko znowu naprawi!“ ozwał się któryś z niosących za mną podrózne rzeczy tragarzy, ogołoconych z domostwa, gdym o ich nieszczęściu z nimi rozmawiał. „Ja przestałem już wierzyć w Pana Boga“, dodał drugi.

Oto stoi przecież zachowany w pełnej swej świetności i grozie ów pomnik starożytnego genjuszu niemieckiego, dzieło mistrza Erwina. Słońce wieczorne rzuca czerwone światło na kamienne ozdoby zewnętrzne. Kilka śladów od kul znać wprawdzie; po lewej stronie olbrzymiej fasady narożnik galerji oberwany, a krzyż na szczycie zgięty.

I malatury na szkle okien znacznie ucierpiały; a gdy się wnijdzie do kościoła, uderzy zaraz każdego widok pierwszego okna obok organów, na pół zniszczonego. Główna nawet rozeta ma szczerbę.

Zegar astronomiczny zupełnie dobrze zachowany, przynajmniej na zewnątrz. Prawdziwa kompania pielgrzyska z żołnierzy, przypatrujących się temu cudownemu arcydziełu sztuki, porusza się wśród rozległego przybytku.

Tam klęczą w cichej modlitwie kobiety, okryte żałobą,

przed obrazem Matki Bożej, tudzież zmartwychwstającego Jezusa, i proszą o przyczynienie się za osobami sobie drogiemi, poległemi w ciężkiej doli.

Opuściwszy katedrę — do której w chwili bombardowania miasta schronili się byli księża, lecz na okropny trzask wpadających tam przez dach pękających granatów, w nocy w koszuli uciekać musieli — zwróciliśmy się ku placowi marszałka Klebera. Dawny bohater pierwszej republiki, rycerz z pód piramid, ma na głowie zielony wieniec z świeżego liścia i patrzy z oburzeniem na to, że koło niego uwija się pomorski bataljon.

Nie dawno stało jeszcze na stronie bogate muzeum — dziś został z niego kamień na kamieniu. Pogruchothane odłamy posągów walają się po ziemi, zmieszane z wystającemi kośćmi trupów; tu i owdzie popruszony barłóg, na którym leżało żołdactwo. Broni połamanej o mury przez opuszczających fortecę obrońców ojczyzny wszędzie można się napatrzeć, tudzież czerepów poroządzanych granatów.

Równie jak muzeum, tak i mnóstwo innych gmachów, w które Strasburg był bogaty, stało się pastwą zniszczenia.

Gdy się w obec mieszkańców z swym żalem odezwiesz, odbierzesz odpowiedź: Idź pan na Steinstrasse, tam zastaniesz dopiero spustoszenie!

Już na pół martwy ze znużenia, udałem się tam przecież późnym wieczorem. I w rzeczy samej, okropny był widok, który mi się przedstawił. Quai Schöpflin sterczy wprawdzie samemi w pół popalonemi budynkami; lecz na Steinstrasse, która stanowiła główny fort bombardowania od strony Schlichtingheim, nie widzi się nic więcej nad kupy gruzów, z których tylko gdzieniegdzie kawałek okopconej ściany wygląda, podobnie jak w Pompei, z tą różnicą, że Pompeja mniej zrujnowana.

Stali tam biedni ludzie, napróżno szukający swych mieszkań. Przy ucieczce powrzucali ruchomości do piwnic, i przyszli teraz, aby się przekonać, czy jeszcze czego z swej chudoby nie znajdują.

Lecz przystęp do tego padołu nędzy, którego odwiedzanie zagraża niebezpieczeństwem utraty życia, wzbroniony

jest przez szyldwachy; a tak pozostało tylko przybyszom zagłębiać wzrok w te miejsca, gdzie przed wojną spędzali chwile pełne spokoju i dobrobytu, a gdzie śmierć i zniszczenie dokonały swego zadania.

Do cytadeli także bardzo trudno się dostać, trzeba mieć osobne pozwolenie, a to z powodu licznych robót, jakie się tam okazały potrzebnymi. Wyszukują broń, zwożą ztamtąd działa, podpierają opadające bramy, urządzają tymczasowe pruskie odwachy, i t. p.

Cytadela cała prawie jest zburzona — nie ma tam ani jednego znośnego mieszkania. Niedawno powiewała jeszcze nad nią trójkolorowa chorągiew młodej republiki — znak tryumfu dobrej sprawy w obec sprzęży szatańskiej. Fakt dotąd nie znany w historii: święta radość wśród mordu i niedoli! Zwyciężeni byli zwycięzcami wedle prawa bożego i sprawiedliwości.

Kilka łochów i szopy z dęsek zbudowane, a pokryte ziemią i darnią — to ostatniem schronieniem walecznych obrońców, aż w końcu i w niem już pozostać nie mogli i musieli uchodzić, o czem wojska oblegające wtedy dopiero się dowiedziały, gdy zdemontowane po większej części armaty zupełnie zamilkły.

„Tak okropnego obrazu jeszcze nigdy nie widziałem!“ — dodaje naoczny świadek.

W ostatnich czasach oblężenia 60 baterji dokonało tego szatańskiego dzieła.

Faubourg de Pierres (przedmieście kamienne) całe w rumowiskach, a do bramy niepodobna się dostać, gdyż ulica prowadząca do niej jest zawalona. Nie tylko domy frontowe, ale i tylne padły ofiarą strzałów.

Kilkaset rodzin szukało przytułku pod wałami, otaczającymi kanał. Ze sprzętów domowych pourządzano baraki, których jedną ścianę stanowił wał. Kule zatem przelatowały po nad temi zaimprovizowanymi mieszkaniami.

Łatwo sobie wystawić los nieszczęśliwców, którzy się tam schronili. Wilgoć wydzielająca się z wału i brak żywności straszliwie dały im się uczuć. Kogo nie dosięgnął kartacz, padł owładnięty przez chorobę.

Dziwnego zaiste doznałem wrażenia, gdym przy powrocie do hotelu rzucił okiem na zakład przytulku i posilenia, na który zamieniono teraz jatki targowe, w bliskości placu Broglie. W długich rzędach siedziały tam niewiasty, dzieci, starcy i mężczyźni w sile wieku, wszyscy przez bombardowanie pozbawieni chleba, a żywieni już od dni kilkunastu, dwa razy na dzień, kosztem gminy; jest takich zubożonych 2600, z których wielu było bogatymi, a przynajmniej zamożnymi.

Gdzie się tylko wzrok do rumowisk zwróci, napotyka w obecnym Strasburgu nędzę nie do wypowiedzenia, skutek długiego oblężenia.

Składy niemal wszystkie pozamykane i bardzo powoli zabierają się właściciele do ich otwierania. Z zatęchłych piwnic, do których otwory dotąd są nawozem pozatykane, a dokoła tygodniami nie przedarł się prąd świeżego powietrza, wydobywają się teraz mieszkańcy na świat boży, pełen światła i ciepła.

Dzieci w kołyskach wyniesione na ulice, zaczynają wolniej oddychać i blade ich twarzyczki nabierają potrosze rumieńców.

Chore kobiety przesuwają się chwiejącym krokiem — prawie wszystkie w czarne szaty przyodziane.

Nie tylko obcy, ale i tutejsi obchodzą miasto i przyglądają się zniszczeniu, ledwie własny swój gród poznając.

Gdy się zejdzie do piwnic, zastać tam można jeszcze zupełnie urządzone siedziby, poustawiane łóżka, stoły, krzesła, oświecone słabym płomieniem lampy.

Liczbę poległych z ran i chorób podają na 3000 ludzi.

*

*

*

Ażeby dać realne pojęcie o zniszczeniu Strasburga, weźmy ku pomocy wykaz statystyczny. Kto nie dowierza słowom, musi uwierzyć nazbyt wymownym cyfrom. Są one bowiem niejako godłem naszego wieku. Zdawałoby się, że świat cały zamienił się w cyfrę.

I tak, sprawozdanie samychże Niemców — które właśnie mam przed oczyma — to jest sprawozdanie towarzystwa związanego dla niesienia pomocy zdobytemu miastu (które Niemcy za nieodwołalnie odebrane dla się uważają), w ten sposób przedstawia rzecz całą:

„Udaliśmy się zaraz po przybyciu naszym do Strasburga, do mera miasta, profesora Küssa. Odpowiedział on nam szczegółowo na niektóre pytania i odesłał do strasburskiego komitetu wsparcia, składającego się obecnie z 20 członków.

„Według urzędowego obliczenia, liczy Strasburg z obwo-dem 5150 domów, miasto samo 3598. Ogólna tychże wartość wedle ksiąg hipotecznych oszacowaną jest na 160 milionów franków, a zatem każdy dom w przecięciu nie całkiem na 40,000 franków.

„Z 3598 domów miasta, nieuszkodzone zaledwie liczyć można na sta; 448 jest zburzonych, inne mniej lub więcej uszkodzone.

„Ogromna strata towarów ztąd głównie powstała, że, szczególnie na przedmieściu de Pierres, zgromadzone były gęsto składy takowych, w stosunkowo mniej kosztownych gmachach i magazynach.

„Wspomniony komitet usiłował rozmaitemi drogami dojść przez oszacowanie do słusznego obrachowania ogólnych szkód. Rozesłał on drukowane formularze, w które każdy z poszkodowanych zapisać miał liczbę członków rodziny, sposób, w jaki i jaką poniósł szkodę. Termin zwrotu owych formularzy oznaczony był na 12. października (1870). Komitet dał nam atoli zestawienie 756 deklaracji dnia 6. października w południe nadeszłych (między którymi 290 dotyczy samych budynków).

„Deklaracje te zameldowały szkodę w budynkach na 2,264,582 fr.; w towarach i ruchomościach na 4,989,099 fr. — razem 7,253,000 fr. Przeciętna szkoda przypadająca na każdego z 756 deklarujących (przyczem zauważyć należy, że nie ma jeszcze mowy o największych szkodach (wynosi 9695 fr.

„Według innego oszacowania, podana jest szkoda wynika z całkowitego zburzenia 448 domów na 16½ miljo-

nów fr., strata w uszkodzeniach innych domów na 3—4 milionów fr.

„Inne obliczenia, zebrane przez adjunkta mera, przez rozmaitych budowniczych i kupców, daleko większe przedstawiały sumy i przenosiły o wiele 100 milionów.

„Tyle o szkodach prywatnych.

„Szkoda zrządzona przez zburzenie gmachów publicznych nadzwyczaj jest wielką — według najniższego oszacowania wynosi ona w kościołach 3—4 milionów, w szkołach 400,000 fr., muzeum 500,000 fr., teatr 800,000 fr., prefektura 500,000 fr., mosty i drogi gminne 2,000,000 fr.; wartość zbiorów sztuki, a mianowicie biblioteka, nie ma ceny i nie może być odwetowaną; przez większą część bram nie ma przechodu; zakład gazowy zniszczony.

„Pociski zabiły 258 cywilnych, raniły przeszło 1100.

„Oprócz tego żyje kilka tysięcy osób w piwnicach, kościołach, pod łukami mostów, nad wybrzeżami.

„Nędza w tej chwili zewnętrznie nie ukazuje się w takiej postaci, w jakiej się za kilka tygodni pojawi. Robotnicy bowiem w ostatnich tygodniach dość zarabiali oczyszczaniem ulic, strażami nocnymi w domach zagrożonych pożarem przez bombardowanie; cofano też z kasy oszczędności znaczne sumy, tygodniowo po 200,000 fr., co w innych latach dziać się zwykło dopiero na początku zimy.

„To pomocnicze źródło jednak już wyschło, gdyż kasa oszczędności największą część swych pieniędzy musiała oddać do kasy rządowej, która jej ma płacić 4 za 100 procentu; lecz teraz ani kapitału, ani procentu nie oddaje.

„Niedostatek Strasburga jest we wszelkich kierunkach okropny! Widzi się tylko cząstkę takowego w ulicach przepelnionych tysiącami ciekawych cudzoziemców; kto zajrzy wewnątrz domów i rodzin, pozna go i przerazi się.

„Pomoc szybka, na wielką skalę jest konieczną!“



**KŁĘSKI I POŻYTKI WOJNY.
KATEDRA STRASBURGSKA.**



XV.

Soli Deo honor et gloria.

I taki bezprzykładny w dziejach bratobójczy mord toczy się, kiedy koleje żelazne, telegrafy, wolność handlowa, sejmy przyjaciół pokoju, loże sześciomiljonowej masonerji, zdawały się zapowiadać erę solidarności ludów.

Piękna mi solidarność! prześliczne zbratanie! Rumowska oblane krwawą posoką, jęki rozczwiertowanych żywcem ofiar i pożoga na miejscu kwitnącego jeszcze wczoraj Strasburga, tudzież poszczerbiona wieżyca na kościele, co groźnie wystrzela ku niebu, jak gdyby ręka jedyne go świadka straszliwej tradycji — budzą rozczarowanie.

Zapamiętała wojna dzisiejsza zakrawa coś na szyderstwo ze świętych zasad społecznych. Namiętności i żarłoczność teutońska wzięły gorę nad ową cywilizacją, która miała zgotować człowieczeństwu raj na ziemi; a z drugiej strony obnażył się duch niezgody, najszlachetniejsze i najpodlejsze popędy zaczęły się kłębować w ogólnem wstrząśnieniu; podstęp wciskał się po za bohaterstwo, tchórzostwo po za odwagę, nienawiść za wspaniałomyślność.

Dzięki wąsatym cywilizatorom przy pałaszu, nowoczesnym synom słońca, ani wojsko Xerksesa, ani armje carów,

ani ogromna batalja pod Lipskiem, ani walka unjonistów amerykańskich z separatystami, nie wyrządziły tyle szkody, nie wydały tyle zdrajców, nie wtrąciły tyle głów do grobu, nie zużyły tyle kosztów na tępienie bliźnich, ile Bismarki et consortes.

Nader ciekawy będzie spis budżetu wojny, jaki ci panowie wykażą narodowi!

Czyż podwaliny, na których opierała się budowa społeczna drugiej połowy XIX. wieku, były z miękkiego drzewa i prędko przegniły, kiedy oto głuszy nas łom i grzmot walącego się świata, wśród zajadłej wrzawy żołnierstwa?

Jakże wydobyć się z tak okropnego i haniebnego położenia?

Jądra złego nie trzeba szukać w narodach, ale w rządach. Zmiana zupełna ludzi i systemu jest niezbędną.

Ażaliż krew dopiero przelana ma się stać cementem do zlepiania naruszonego gmachu społeczności europejskiej?

Spodziewać się tego należy.

Żadna boleść, żadna łza nie ginie napróżno. O! to nie ostatnie przy tym dział huku „zachodzące słońce“ zwątpiałego na starość Bolesławity.

Jest w starych pieśniach serbskich podanie, że gdy wznoszono mury Skandru, zabito na nich dziewicę, aby krew jej ustaliła im trwałość.

Doczekaliśmy nakoniec epoki, gdzie chwieją się trony w śmiertelnych podrygach, gdzie wola ludu zaczyna odnosić zwycięstwo nad wolą gnębieli. To dopiero początek! „Co za dziwne rządzenie Opatrzności“, na złość spróchniałej dyplomacji i tym despotom, którzy ów zwrot na swoją korzyść tłumaczyli.

A równocześnie w łonie samychże Niemiec krocie wdów i sierót płaczących, krocie egzystencji zniszczonych dla kaprysu dumnego władzcy, trawionego żądzą wjazdów tryumfalnych do cudzych grodów; mężowie cnót i zasługi przemawiający w imię sprawiedliwości, a wrzuceni do więzień; żaloba stanowiąca suknię; jęk zastępujący mowę, a treny pieśń narodową — to są właśnie najgłośniejsze bodące do przyszłej wolności!

Dawniej wojna uszlachetniała narody, było w niej coś rycerskiego i wielkiego; dziś bohaterowie a rycerze śmieją się z sentymentalności — dziś słowem wieku: siła przed prawem.

Najzupelniejsza prawda.

Ale też i to jest prawda, że dziwnem zrządzeniem losów a raczej nieuniknioną dziejową koniecznością, która najcięższe nawet klęski wyzyskuje na rzecz postępu w czasie nie mającym granic — stało się, że ci, co na ostrzach miliona bagnetów wzniesli powyższą zasadę (a raczej negację prawowitych zasad ludzkości, mającą na celu obalić wszelkie ideały: słuszność, wolność i równość), że ci tedy sami obalili przedstawiciela tejże samej negacji, pierwszego uzurpatora ostatnich lat dwudziestu i fałszerza narodowej woli.

Zaprawdę, ambicja wyuzdana, gwałt i podstęp uorganizowany, nigdy zatamować nie zdołają źródła nieśmiertelnego i zawsze wytryskującego: oświaty i wolności.

Za życia jeszcze może naszego zgasnie sława ichmościów, stojących chwilowo na świecznikach berlińskich, a zastąpi ją — przekleństwo. Doczekamy, że głos ich będzie uważany jako dźwięk fałszywego pieniądza, po który się nie schyli żaden poczciwy człowiek.

Oto, co nam już podaje dziennik, który z drugiej strony podziela razem z innymi wielko-niemiecki bismarkowski patryjotyzm w dość wysokim stopniu, a przecież nie ma odwagi zaparcia się prawdy.

„Bombardowanie Strasburga — pisze Kriegs-Post drezdeńska — niczem się nie da usprawiedliwić. Postępowanie to niegodnem jest wielkiego narodu, a karygodnem ze względów politycznych. Wprawdzie gazety pruskie tłumaczą to bombardowanie prawem odwetu za posyłanie bomb na miasto Kehl, ale tłumaczenie takie nie ma najmniejszej podstawy. Po pierwsze, że prawo odwetu w ogóle jest przeciwnem moralności; a powtóre, że Kehl dopiero w skutek bombardowania Strasburga ostrzeliwano.

„Wojska nasze podstępły pod Strasburg, aby to miasto niemieckie przytulić napowrót do łona matki, do wielkiej

Germanji — a zamiast wyciągnąć ramiona do swoich braci, udarowały ich mordem i pożogą.

„Nieubłagane są prawa wojny — ale wojna nie może, nie powinna być barbarzyńską, przynajmniej w XIX. wieku. A jakżeż wielce barbarzyńskim był sposób niszczenia Strasburga!

„Jeżeli już koniecznie ze względów strategicznych miasto na pastwę oddać wypadało, toć należało unikać wszystkich dodatków, godnych Attylli, a dodatków do czynu, samego przez się niegodnego Niemców.

„Wiadomo nam dokładnie, że gdy od pocisków zapalił się dom jaki, a mieszkańcy spieszyli do gaszenia pożaru, to żołnierze niemieccy gradem kul obsypywali broniących swego mienia, a zupełnie niewinnych.

„Znane nam także drwiny żołnierzy, którzy dla igraszki strzelali do mieszkańców Strasburga, mówiąc: Trzeba ich trochę postraszyć, po co nam psują fajerwerki!

„A pod fajerwerkami rozumiano płomienie obejmujące dachy — pod straszaniem zabijanie tych, co je ratowali.

„I teraz, po takim postępowaniu, dziwimy się jeszcze, że Strasburczycy nie lgną do nas, że zamiast miłości braterskiej z nami, noszą w sercu żal i gorycz boleści! Jakby na urągawisko wspieramy ich jałmużną — dając im pieniądze w zamian za odebrane życie ojcom rodzin, w zamian za sieroctwo dzieci i lzy wdów i matek! . . .“

*

*

*

Co za dziwny traf, że wspaniała strasburska katedra pozostała!

Gdy spojrzysz na nią, olbrzymie mury, okopcone czasem, jedyne świadki dziejów kościoła tryumfującego, o które obcierają się wieki, zdają się przemawiać.

Gdy wpatrzysz się w ów przybytek pełen piękną w szcze-

gółach i proporcji w całości, w ten ogrom, który się roz-
 pływa w swojej lekkości, poznasz w nim geniusza — poczu-
 jesz w nim Boga!

Po wysmukłych, ażurowych, piętrzących się wieżyczkach,
 myśl twoja się wznosi coraz wyżej.

Wnijdź do przybytku, ujrzysz harmonję w rozkładzie
 filarów, łuków; i jak boska muzyka Haydena lub Mozarta,
 tak tam architektura wpłynie na ciebie, bo go naród artysta
 stawiał, a stulecia uświęciły.

Zmrok w nim panuje — czasem słońce rzuci z różno-
 szybnych okien, w kolorach tęczowych promieni, obraz zmar-
 twychwstania przed oblicze cierpiącego śmiertelnika.

Taki przybytek może służyć dla każdego wyznania, byle
 wyznanie to było godne ludzkości i Boga.

Tam szczytne plody budownictwa, rzeźby, malarstwa,
 muzyki, poezji lirycznej, współubiegają się z westchnieniem
 modlącego się.

Porównywałem katedrę strasburską z cerkwiami w bizan-
 tyjskim stylu, o pięciu farbowanych jaskrawo kopułach, ob-
 sypanych gwiazdami i złożonemi baniami na szczytach,
 których napatrzyłem się był w Moskwie, tej Jerozolimie
 rosyjskiej. Nie tylko, że nie budzą one myśli poważnej, wy-
 glądając jak jasełka z piernika, ale nadto zniżają umysł do
 materji i przypominają rokoszne świątynie pogańskie — gdy
 gotyckie gmachy podnoszą ducha w nadziemskie sfery.

Tak każdy okres historii narodów zostawia niezatarte
 ślady na kamieniu architektonicznym, o który, jak mówiłem,
 w przebiegu swym obcierają się wieki.

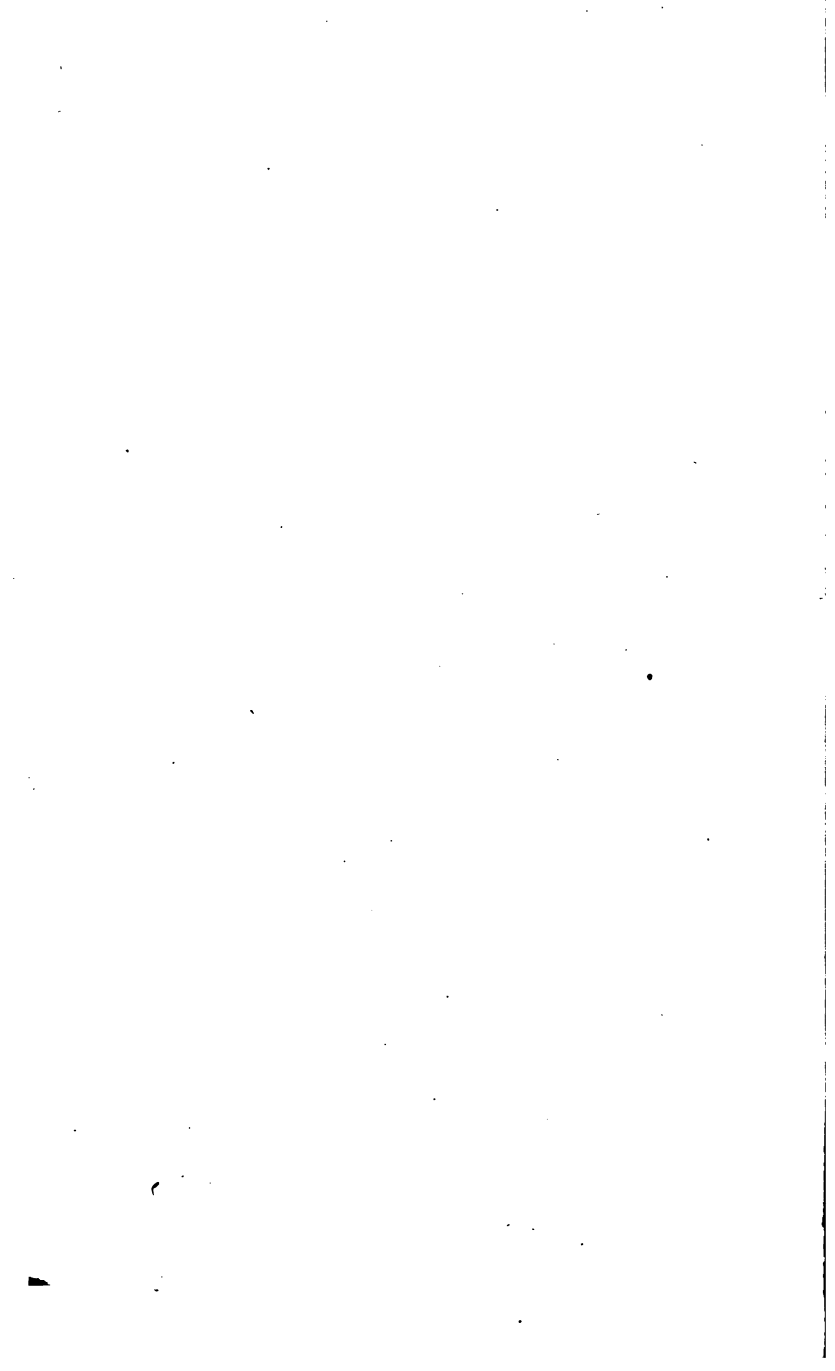
Ilekróć razy zwiedzałem katedrę strasburską, zastałem
 ją zawsze pustą — nie trafilem nigdy na nabożeństwo, które
 w tym przybytku musi się odbywać z wielką okazałością.
 Tam i owdzie tylko ukazywały się wśród nawy kłęczące po-
 stacie, które podobne były z daleka do drobnych figur bron-
 zowych. Gorzała lampa przed wielkim ołtarzem, posągi
 świętych zdawały się być wśród cieniów kościelnych z krepo-
 wemi całunami na obliczach, a z granitu wystrzygane fryzy
 w czarne koronki ubrane.

Słowem, pyszne prace rzeźbiarskie, zdobiące zewnątrz

i wewnątrz kamiennym jakoby haftem poważne mury; tudzież sute ornamenta przy osadach okien i podwoi, kosztownemi wyłożonych taflami snycerskiej roboty; a nadewszystko szpiczastym szczytem śmiało strzelająca w obłoki wysmukła wieżyca — czynią z tej katedry najpiękniejszy w świecie pomnik gotycki.

Drugi w tym rodzaju posiada tylko Kolonja.

OTÓŻ I SZWAJCARJA. — OBRÓNCY POLSKI.



XVI.

Mem łożem granity,
A pościelę chmury;
Niemi ja spowity,
Patrzę na świat z góry.
Słońce jak ognisko
Cały dzień mi płonie,
A gwiazdy tak blisko —
Tylko sięgać po nie.

Mając zamiar zostać wolnym obywatelem narodu wolnego, oddzielonego, że tak powiem, słupami Herkulesa od samowładztwa mocarzy europejskich; gdzie każdy z mieszkańców czuje się być samoistnym panem i ma to przekonanie, że swój byt i szczęście zawdzięcza tylko własnej robociznie i Opatrzności, a nie żadnym feudałom, karmiącym się jak trutnie owocem pszczół pracowitych — postanowiłem stanowczo popłynąć do Ameryki.

Żał mi atoli było porzucić tak od razu starą macierz Europę; ociągałem się więc z bezpośrednią podróżą do portu, sam sobie wynajdując rozmaite przeszkody.

I przyszła mi ochota, zanim ujrzę za Atlantykiem ową wielką, bogatą i potężną Rzeczpospolitą, opartą ramionami od morza do morza, a stojącą otworem dla każdego, jako wzór organizacji obywatelskiej — przyszła mi, mówię, ochota odwiedzić jeszcze chroniącą się u nas jak fijołek w cieniu gór alpejskich, maluczką republikę, która przecież zachowała swą niepodległość od lat pięciuset.

Wziąwszy tedy na drogę do podróżnego wora butelkę bordeaux i pasztet strasburski, tudzież ostatni numer

Siecl'a, puściłem się koleją ciągnącą się wzdłuż Renu w Alzacji, pomiędzy pasmami Wogezów i Czarnolasu.

Już to marząc o niebieskich migdałach, już wiedząc patriotyczną rozmowę z konduktorem, byłym kapitanem wojsk polskich, wspominającym z westchnieniem o lepszych czasach, ujrzeliśmy się za kilka godzin w Bazylei, nadgranicznem mieście wolnej Helwecji.

Wydawało mi się ono zimne, suche i ociężałe; doznałem rozczarowania, będąc za nadto uprzedzony o przyjemnościach Szwajcarji. Splin i nuda wisiały w powietrzu.

Panuje tam protestantyzm w całej swej sile; nie cierpi on nic, co nie jest doń podobne.

W niedzielę kramy wszędzie pozamykane, i jakiś złowrogi smutek ogarnia człowieka. Czyż Pan Bóg dnia siódmego nie wesoło był spoczął? Strzeż się dnia tego podczas nabożeństwa zażądać nawet szklanki wody, bo jej nie dostaniesz, choćby ci język usechł z pragnienia.

Zresztą Bazylea (Basel, Bâle) ma ulice i uliczki czyste, jakkolwiek jednostajne i głucho; kamienice bez ozdób wprawdzie, lecz za to opatrzone kratami. Ach! te kraty niemiłe nasuwają wspomnienia każdemu niemal Polakowi, dla którego car był najpierwszym z dozorców więziennych. Są one jednak charakterystyczną cechą szwajcarskiego grodu.

Kraty z okrągłych sztab — kraty z czworogrannych — kraty kręcone — kraty o kwadratach — kraty o prostokątach — kraty garbato wygięte — kraty liściaste jak gałęzie — kraty zębate — kraty bez zębów — zgoła wszystkie ich próbki!

W Barcelonie i Sewilli, stolicach przygód miłosnych, kraty służą ku ochronie wdzięków Hiszpanek przed natrętnikami czyhającymi na nie. Tam w skwarne dni słoneczne, gdy wszystko, co żyje, w najlepsze zasypia, łatwo dostrzedz niewidzialnej bogini rączkę, upuszczającą z za kraty karteczkę dla przystającego z miną tajemniczą przed domem przechodnia.

W Bazylei, mieście czysto kupieckiem, kraty mają przeznaczenie strzeżenia innych skarbów. W Bazylei ojcowie i mężowie mogą spać jak najspokojniej, w słodkiem przeko-

naniu, że nikt się nie targnie świętokradzko na ich chodzące piękności.

I w samej rzeczy, patrząc na tamtejsze obywatelki, stąpające ciężko, z oczyma w dół spuszczone, zdradzającemi przesadę w oznakach surowości obyczajów — na te obywatelki o młodych twarzach bez świeżości, obleczone w dziwnego kroju suknie, podobne do zwiędłych tulipanów, i nakryte szerokimi kapeluszami, wybornie naśladowającemi wywróconą salaterkę — nikt się nie pokwapi do zdobywania ich szturmem, choćby na odkrytem polu.

To nie nasze Warszawianki!

W Bazylei przebywał przez jakiś czas mistrz Towiański, zanim się usadowił w Zurichu z przybocznem kołem wyznawców swej nauki.

W tamtejszym uniwersytecie wykładał chemję p. Schönbein, wynalazca prochu strzelniczego z bawełny, mały i niepokazny Niemiec.

Bazylea była także przysposobioną ojczyzną znakomitego artysty, Holbeina młodego. Wielki talent, lecz suchy! Gdy Holbein był raz w wesołem usposobieniu, wymalował „Taniec umarłych“. Typowy zaprawdę rys Bazylejczyka!

Pomimo to lubię to miasto, przyjrawszy mu się lepiej; lubię je za wyniosłe i malownicze jego położenie; za ów Ren, który je przerzyna szmaragdową wstęgą przerabianą perłami; za jego wspaniałe widnokraę, otoczony dzikimi łańcuchami Czarnolasu; lubię je nadewszystko za jego świątynię o gotyckich łukach z czerwonego kamienia, z smętarza której cudowny rozpościera się widok na miasto u nóg twoich.

W zewnętrznej galerji tej świątyni ze staroświeckim opactwem, spoczywają pod posadzką cztery pokolenia najznakomitszych rodzin miejscowych, cztery pokolenia arystokracji demokratycznej, posiadającej swoje herby i klejnot drzewa genealogicznego.

Kto pierwszy raz ujrzy tę, wspartą na filarach, galerję pogrzebową, ten pałac umarłych, przy blasku księżycy, ten nigdy nie jest w stanie zapomnieć uroczystego wrażenia, jakie na nim wyrwie.

Radziłbym każdemu turyście zajrzeć i na dziedziniec

ratusza, o szczególniejszych kształtach budowy, gdzie zobaczy fantastyczną statwę konsula Munacjusza Plancusa, domniemanego założyciela Bazylei.

Gdyby przeniesiono tę statwę na wywyższony plac, panujący nad okolicą i wysłany murawą obok świątyni, byłoby to świetne panorama, o którym Molier z Mozartem marzyć musieli, układając trzeci akt „Don Juana“.

Atoli niechaj podróżnicy przyjmą sobie raz na zawsze za zasadę nieziedzania miejsc podobnych, gdy są skuleni od zimna, lub gdy deszcz chłoscze ich w oczy, albo gdy który z nich pokłócił się z żoną — jeżeli nie chcą być niesprawiedliwymi w zapatrywaniach się i sądach swoich.

Z Bazylei ruszyłem do Listalu i poznałem się tam z wychodźcą z 1831 roku, panem Klosem, który wydatną odegrał rolę w dziejach Szwajcarji.

Klos przybył na emigrację jako były kapitan polski, a w roku 1834, gdy chłopci kantonu Bazylei wypowiedzieli posłuszeństwo swemu feudalnemu miastu, rodak nasz nimi dowodził, uderzył na miasto i zdobył je. Wyszedł z walki ze stopniem majora, a z czasem dosłużył się pułkownika.

Od tej pory część ta północnej Szwajcarji rozdzieliła się na dwa kantony: kanton miasto i kanton wieś, którego Listal jest stolicą o jednej ulicy.

Pan Klos osiadłszy tam na stałe mieszkanie, ożenił się z majątną i bezdzietną wdową po kupcu, doznawał zasłużonego szacunku od współobywateli i prawie do końca żywota poświęcał się na usługi publiczne dla swojej drugiej ojczyzny. Zmarł w roku bieżącym (1870), pozostawiwszy sukcesorów.

W Listalu dopiero zaczyna się czuć Szwajcarję z powodu górzystej okolicy.

Zaproszony tam na wieczorek mieszczański, posłałem z oberży po golibrodę. I niechże sobie kto wystawi moje zdziwienie, gdy za kilka minut widzę wchodzącą do numeru dorosłą dziewczynę, która w milczeniu przesuwając się przez pokój, rozkłada na komodzie swoje przyrządy, nawiesiwszy zaś rzemień na haku u okna, wecuje brzytwę do oskrobania mi brody; potem podchodzi i wzięwszy mię jedną ręką za nos, nuż drugą mydlić mi policzki!

Oddać muszę słuszną pochwałę tej oryginalnej wnuczce Wilhelma Tella, że się jej palce wywiązały z zadania z lekkością, którejbym napróżno szukał u najwprawniejszych w swoje rzemiosło cyrulików.

W następnem mieście, Solurze, poznałem był także niegdyś, po obywatelu Klosie, niepospolitą w swoim rodzaju osobistość, pracującego jako urzędnik na poczcie, chrzestnego syna Kościuszki, pana Zeltnera, szczerego przyjaciela Polaków i Polski.

Gdy nasz bohater z pod Raclawic przeniósł się do wieczności, natenczas Zeltner będąc młodym, odprowadzał zwłoki swego chrzestnego ojca do Krakowa na wieczny spoczynek na Wawel. Skoro zaś zagrzmiała noc listopadowa, na odgłos trąby bojowej pospieszył do Polski, aby pokazać się jego godnym naśladowcą, i zaciągnął się pod sztandary sprawy naszej.

Zeltner w walce z Moskwą dosłużył się stopnia oficerskiego i był umieszczony w sztabie korpusu generała Rybińskiego. Po zakończeniu nieszczęśliwej wojny wkroczył razem z nim do Prus; udając się na tułactwo.

Obecnie mieszka w Ameryce, na przedmieściu Nowego-Yorku, zwanem Hoboken, oddzielonem od tego miasta rzeką Hudson. Tam staruszek utrzymuje się z lekcji języka francuskiego i muzyki.

Przed samym wybuchem powstania 1830 roku umarł mu rodzony ojciec w Solurze; nie miał wtedy czasu zajęciem się spuścizną; odłożył zatem interesa majątkowe na stronę, gdyż ideę wolności przenosił nad wszystko w świecie. Przez cały ciąg powstania służył honorowo, za darmo oddając usługi narodowi naszemu, aby skarb nie ponosił uszczerbku.

Gdy korpus wkraczający do Prus miał kasę oddać w ręce rządu pruskiego, aby te pieniądze odesłał do Warszawy, generał Rybiński czynił przedstawienie Zeltnerowi, że ponieważ przez całe trwanie powstania nie pobierał żadnego żołdu, żeby więc podał swój rachunek należytości, zanim kasa oddaną zostanie, w celu odebrania wypłaty.

Tymczasem inaczej się stało. Nim rachunek był zro-

biony, już było zapóźno — bo Prusacy się pospieszyli, a gdy korpus ziomków naszych broń składał, oni jednocześnie kasę ich z pieniędzmi zabrali.

Zeltner posiada portret Tadeusza Kościuszki, na rok przed śmiercią zrobiony, i prócz tego wiele po nim pozostałych pamiątek w bieliznie i sukniach.

POMNIK KOŚCIUSZKI W SOLURZE.

XVII.

Stawiajcie mu kolumny z granitu olbrzymie,
I na nich, na późne lata,
Zapisujcie jego imię
Dla pamięci świata.

Szwajcaria była zawsze i jest miejscem przytułku dla Polaków. Widziałem tam wielu ze starej emigracji, którzy chlubne a zasłużone zostawili po sobie wspomnienia życiem pracowitem i poczciwem.

Z drugiej strony, to ich przywiązanie do kraju przodków, do rodziny, do swoich — owa święta miłość kochanej ojczyzny, która nie pozwoliła im przyłgnąć całkowicie do obcego narodu, przeistoczyć się na cudzoziemców, niedołączonych cudzoziemców — jak to czynią wychodźcy innych ludów — lecz która sprawiła, że czy nędza ich gnioła, czy szczęścia błyszczały im zorze, tęsknili za drogą ziemią ucisku, nie przestali być w duszy Polakami — są godne podziwu i uznania.

Bo też smutny przedstawia widok Polak wynarodowiony. Doświadczenie okazało, że zmoskwicony lub zniemczony stokroć gorszym jest od rodowitego Moskala, a nie lepszym od Niemca.

Polak wynarodowiony pozbywa się zazwyczaj przymiotów i cnót wyssanych z mlekiem macierzyńskim, a brak mu dość siły do nabycia obcych i ugruntowania się w nich: najczęściej zdobywa tylko błędy i przywary cudze; łamie

język własny, albo go się zapiera, nie będąc zdolnym władać jak należy innym językiem.

Słowem, jest to jakieś nieokreślone dziwadło, ciało wyjątkowe, niewyraźne, nie dające się oznaczyć, szczęśliwe jak kamień bez zapachu, koloru i smaku; jakaś istota sierackowa, mgła, bezkształtna, stojąca w przedsionku, którą szatani Dantego się brzydzą i nie chcą puścić do piekieł, jak to czynią z samolubami.

Wynika ztąd, że trudno jest człowiekowi pozbyć się bezkarnie znamienia pyłu, z którego powstał.

Prawdziwy kosmopolita rzadkiem jest zjawiskiem.

Cześć wam mężowie, coście nie zstąpili z drogi wytkniętej przez Opatrzność! . . .

Najpierwszym z tych mężów, a których Stwórca zsyła od czasu do czasu narodowi dla wskazania mu torów bożych w dziejach ludzkości, był człowiek imienia straszego despotyzmowi: Tadeusz Kościuszko.

Pół wieku z okładem minęło, jak zakończył swą ziemską pielgrzymkę ten nieśmiertelny szermierz dwóch światów, owa wielka postać plutarchowska, a nie znalazł się u nas dotąd historyk, coby wiernie i całkowicie skreślił jej życiorys. Rehabilitacja Stanisława Augusta snąć więcej zajmuje dzisiejszych naszych panów dziejopisów!

Cokolwiek bądź, Kościuszko jaśniej i jaśniej nie przestanie, jakoby postać mityczna w narodowym Olimpie, gdyż był to człowiek wolności.

Francja i Szwajcaria posiadała od dawna biografje tego bohatera — a oto i w roku 1867, gdy dnia 15. października przypadła pięćdziesięcioletnia rocznica zgonu Kościuszki, Niemcy zdobyli się na wydanie w piśmie „Gartenlaube“, wychodzącem w Lipsku, nader serdecznych, obszernie skreślonych wspomnień pogrobowych o tym, który niezatarte pozostawił po sobie ślady w przybranej alpejskiej ojczyźnie, a którego Montalambert nazwał „ostatnim rycerzem, a pierwszym obywatelem słowiańskim w nowoczesnem pojęciu braterstwa i równości.“

Wspomnienia te powtórzyła „Strzecha“. Powtarzać by je trzeba do nieskończoności dla nauki i pożytku młodego

pokolenia, które na Kościnszkę jako na najczystsze z wodzów, na najlepszy wzór cnót obywatelskich i domowych zapatrywać się winno.

Kościuszkę zamieszkujący Fontainebleau, podczas gdy Moskale rozgospodarowali się we Francji, porzucił ciche schronienie w zamku wiernego przyjaciela swego Zeltnera, posła Rzeczypospolitej szwajcarskiej i przybył do Solury (Solothurn), kantonowego miasta Szwajcarji, założonego przez Rzymian.

A miało to miejsce dość powabu dla starca, pragnącego po burzach młodości, ciszy i wytchnieniu na łonie natury. Spokojne to i schludne miasteczko, położone wśród czarującej doliny, którą, jakby olbrzymie ramy, opasują sine góry: z jednej strony Jura ze swoim wonnym borem sosnowym i malowniczymi grzbietami, a z drugiej nękający łańcuch Alp w oddaleniu.

Wiadomość o przybyciu do Solury tak sławnego cudzoziemca sprawiła tam wielkie wrażenie. Mieszczanstwo okazało mu uszanowanie swoje wystąpieniem gwardji strzeleckiej, a rada stanu wysłała umyślną deputację do domu Zeltnera, brata posła, gdzie Kościuszkę znalazł pokrewieństwo ducha i serca, uprzejmą gościnę i miłe, pełne wykształcenia kółko rodzinne.

Sędziwy starzec, osłabiony ranami i długim cierpieniem, potrzebując pielęgnowania, a widząc się samotnym na świecie, przylgnął wnet całym sercem do tego zacnego domu i postanowił przepędzić w nim resztę żywota.

Prawy charakter gospodarza, grzeczność i cicha skrzętność gospodyni, tudzież wesołe towarzystwo dzieci, zarówno go pociągały. Nawet pokost czysto-mieszczanski i skromne stosunki tej familji przypadały do jego zwykłego sposobu życia. Nie był on bowiem nigdy miłośnikiem zewnętrznych blasków i wystawności.

Czas poświęcał czytaniu; więcej jednak, niż sobą samym zajmował się kształceniem Emilji Zeltnerówny, dwunastoletniej córki swego nowego przyjaciela. Grupa obojga przedstawiała uroczą wiosnę, pełną życia i blasku, wraz z jesienią pogodną, choć szronem pokrytą. Emilka, miłutkie to i pełne

zdolności dziewczątko, zdobyło od razu szlachetne serce starca, a ponieważ i samo z całym zapalem wrażliwej natury przylgnęło do niego, zawiązał się wkrótce bardzo tkliwy stosunek między temi dwiema, tak różniącemi się wiekiem duszami, który trwał aż do zgonu generała.*)

Dla jej miłości urządzał on dziecinne bale i mięszając się między dziatwę, podzielał z rozczulającą serdecznością jej rozrywki i zabawy. A nawet tak wielkim był wpływ nadobnej Emilki na starego dyktatora, że wkrótce stała się pośredniczką między nim a światem: odbierała zanoszone do niego prośby o wsparcie, wstawiała się za potrzebującymi pomocy, i t. p.

Wycieczki w okolice miasta przedsiębrał Kościuszko konno i bez wszelkiego towarzystwa, a nie wybierał na to nigdy gościńców głównych, lecz samotne drożyny po polach i lasach, wyszukując ubogie chaty wiosek u podnóża Jury, tudzież ustronne chałupy kamieniarzy, którym pomagał nie raz w robocie w sławnych kamieniołomach pod Solurą. Woził zawsze z sobą kilka butelek wina, co zwykł był dawać chorym na wzmocnienie.

Przez długi czas nikt się nie domyślał, kto jest ten dobroczynny starzec z słodkim wejrzeniem i wiecznie otwartą dłonią; gdyż nim biedacy wyszli z podziwienia, już opuścił ich strzechę, odwiązał swego małego konika od płotu i spieszył dalej szukać siedziby nędzy.

Koń tak był obznajomiony ze zwyczajami swojego pana, że stawał przy każdym żebraku siedzącym u drogi i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie opatrzonego nieszczęśliwego jałmużną.

Przedsiębrał także pan Tadeusz w ciągu dwuletniego swego pobytu w Solurze wędrowki naukowe dla poznania Szwajcarji. Tak w lecie 1816 roku zwiedzał klasyczne miejscowości nad jeziorem Vierwaldstakiem i sławne pole bitwy pod Morgarten. Rozpoznając na miejscu szczegóły tych walk pamiętnych, nie mógł się oprzeć bolesnym wspomnieniom

*) Ta Emilja, późniejsza hrabina Morosini, żyje dotąd podobnie w Medjolanie.

własnych przygód i ściskając z głębokiem wzruszeniem dłoń Zeltnera, szeptał:

— Ach! czemuż pod Maciejowicami nie ostrzegł i mnie taki Hühnenberg? Czemuż Poniński nie był tak zwinnym jak Reding! —

Inna późniejsza podróż miała na celu Szwajcarję francuską, a mianowicie słynny na kuli ziemskiej zakład wychowawczy pedagoga Pestalozzowego w Yverdon.

Na krótki czas przed zgonem zgotowała mu Opatrzność najmiłszą niespodziankę. Księżna Lubomirska, najdroższa niegdyś sercu jego Ludwika Sosnowska, zmuszona gwałtem zaślubić bezdusznego księcia pana, w przejeździe do Włoch odwiedziła Kościuszkę i na jego życzenie została kilka tygodni w Solurze. Jej ożywiające rozmowy, uprzejmość towarzyska i wesoły humor rozjaśniły ostatnie dni żywota naczelnika narodu polskiego.

Kościuszko bowiem był już wtedy cierpiącym, i podobnie jak owi wieszczki starożytnego świata, przeczuwał bliski swój koniec.

Przy pożegnaniu, które było bardzo tkliwe, przyrzekła mu Ludwika ponowić odwiedziny na przysłą wiosnę. Ale Kościuszko wstrząsał smutnie głową i prosił ją o jaką pamiątkę. Dawna oblubienica przysłała mu więc wkrótce potem z Lozanny pierścień z napisem: „Przyjaźń cncicie!“ Lecz gdy ta obrączka nadeszła do Solury, już skrzepła ręka, która ją nosić miała.

Zapewne w przeczuciu nadchodzącego zgonu, wykonał on w tym czasie ów wspaniały czyn, który w całej Europie wywołał jednogłośnie okrzyk uwielbienia i okazał w najpiękniejszym świetle jego wysoki charakter; mianowicie obdarzył zupełną wolnością poddanych swoich w Siechnowicach.

Dokumentem z dnia 2. kwietnia 1817 r. ogłosił wszystkich włościan wspomnianej wsi wolnymi obywatelami kraju, właścicielami gruntów, które posiadali, i uwolnił ich oraz od wszelkich danin, opłat i robót pańszczyznianych dla dworu.

Nie pierwszy to był jego akt poświęcenia się dla ludu w imię wolności. Kościuszko, będąc jeszcze w Ameryce,

przed ostatecznem jej opuszczeniem, ziemię należącą do niego sprzedać kazał na wykupienie pewnej liczby czarnych niewolników. Jakże to był pouczający przykład dla panów plantatorów i jakże powinien zachęcić niejednego z rodaków do oddania wszystkiego, byle tylko w młodszych braciach rozszerzyć pojęcie obywatelskie!

Gdyby Polska zdobyła się była na jedną chwilę zapалу i ofiary, na jedną taką chwilę, na jaką n. p. zdobyła się równocześnie Francja w wiekopomnej nocy 4. sierpnia, w której uprzywilejowani rzucili w ogień, płonący na ołtarzu miłości ojczyzny, wszystkie nabyte prawa, wszystkie tytuły i przywileje, i podnieśli cały naród do równej godności obywatelskiej, lud rozkuli z pęt, dali mu ziemię, swobodę i powiedzieli mu:

— Macie, czegoście pragnęli; a jeżeli wróg nadejdzie, brońcie tych nabytków! —

Gdyby tak było się stało, Polska byłaby odparła wszystkie na nią idące burze i trwałaby po dziś dzień!

Testament amerykański Kościuszki mało jest znany publiczności, a wszakże nader ważny to dokument do biografji tego czcigodnego męża, i byłibyśmy o nim może nic nie wiedzieli, gdyby nie dekret najwyższego sądu Stanów Zjednoczonych w sprawie spadkobierców, wytoczonej przeciw rządowi amerykańskiemu, który ujrzał się zmuszonym wydać przed kilku laty ponownego ogłoszenia rzezonego testamentu.

Brzmi on:

„Dna 15. maja 1798 r.

„Ja, Tadeusz Kościuszko, zamierzając opuścić Stany Zjednoczone, oświadczam i żądam, że w razie, gdybym w żadnym innym testamencie nie rozrządził moją posiadłością, położoną w Stanach Zjednoczonych, upoważniam mego przyjaciela, Tomasza Jeffersona, aby za całą jej wartość podług własnego wyboru murzyńskich niewolników zakupił i takowych w mojem imieniu wolnością uदारował, wykształciwszy ich poprzednio dobrze w przemyśle, rzemiośle, i t. d. — pouczywszy ich tak o nowem

ich stanowisku, ażeby się stali dobrymi sąsiadami, ojcami, matkami, mężami, żonami i obywatelami, i poleciwszy im w końcu być zawsze obrońcami wolności i ojczyzny, pożytecznymi i pracowitymi członkami ludzkości.

„Mianuję więc rzeczzonego Tomasza Jeffersona wykonawcą mej woli.

(podpisano:) T. Kościuszko.“

W jesieni 1817 roku panował w Solurze tyfus, i ofiarą tej zarazy miał paść także nasz bohater. Na dniu 1. października okazały się pierwsze oznaki słabości. Kościuszko nie zatrwożył się niemi bynajmniej, lecz ze zwykłą spokojnością poczynił natychmiast ostatnie swoje rozporządzenia. Większą część dość znacznego majątku przekazał rodzinie Zeltnerów, obdarzając mianowicie drogą Emilję swoją prawdziwie po ojcowsku. Wręczył też panu Aniet znaczną kwotę w gotówce dla rozdania ubogim wstydzającym się żebrać.

Uroczystą i wielce rozrzewniającą była chwila, gdy żegnał swego przyjaciela i jego familję. Wszyscy klęczeli u łoża ukochanego starca; każdemu udzielał błogosławieństwa, dla każdego miał słowa pociechy i miłości.

Potem starym zwyczajem kazał sobie podać swoją wysłużoną szablicę, patrzył na nią chwil kilka z bolesnem wzruszeniem i położył obok siebie; następnie westchnąwszy głęboko, rozstał się z tym światem.

Ciało jego zabalsamowano. Było ono okryte bliznami, a na głowie krzyżowały się od cięcia szramy. Przy rozbięciu zmarłego, znaleziono na jego piersiach białą chustkę od nosa, pamiątkę po pierwszej kochance jego Ludwice Sosnowskiej, która wytrzymała była przed laty katusze, zadane jej przez dumnego ojca wojewodę za jej miłość ku Kościuszce.

Pogrzeb bohatera ludowego odbył się, wedle ostatniej jego woli, bez ostentacji. Sześciu ubogich starców niosło trumnę. Z przodu szły sieroty w żałobnych szarfach, z kwiatami w ręku. Wieko od trumny było zdjęte, aby cała Solura mogła jeszcze raz przypatrzeć się rysom zmarłego przyjaciela; a po bokach postępowali młodzieńce, niosąc oręż nieboszczyka,

kapelusz, laskę jeneralską, amerykański order Cincinnata i wieńce z dębowych liści na czarnych wezłowiach.

Ckrzestny syn Kościuszki, pan Zeltner, pokazywał mi dom, gdzie bohater życie zakończył. Jest to mała, jednopiętrowa kamieniczka, w szwajcarskim stylu, położona obok poczty przy ulicy Gurzelengasse pod numerem 5, będąca własnością Kościuszki.

Ztamąd udaliśmy się za miasto na smętarz w okolicy Zuchwyl. Szmaragdowe wody rzeki Aar oddzielają ją od miasta. Na smętarzu stoi kaplica, a na przeciwnym jej krańcu skromny pomnik sławnego ziomka naszego.

Mój Boże! do którejby części świata Polak zapędzony nie został zbiegiem okoliczności, wszędzie napotyka kamienne głoski, przemawiające do niego o dziejach jego praojców.

Pomnik Kościuszki w Szwajcarii składa się z sześćciennej fasady, na której jest położony drugi sześcian kamienny nieco mniejszego rozmiaru, uwieńczony kulą.

W tym pomniku znajduje się w metalowej puszcze serce Kościuszki, którego przy przeniesieniu zwłok do Krakowa nie chciała wydać Szwajcarja, tłumacząc się, że serce wiekopomnego męża biło dla całego świata, a więc jest własnością ogółu. Towiański i jego zwolennicy ozdobili tę pamiątkę popiersiem nieboszczyka w płaskorzeźbie, odlanem z brązu, okolonem gałązkami wawrzynu.

Drugi pomnik Kościuszki widziałem w Ameryce, jako skromny znak wdzięczności uczniów szkoły wojskowej w West-Point dla jej założyciela.

Trzeci pod Krakowem. Nikomu jeszcze w Polsce nie usypano tak wysokiego kopca, jak ten, który poświęcono cieniom rycerza z pod Raclawic. Żadnemu też innemu cudzoziemcowi Amerykanie nie stawiali pomnika.

I zkadże to pochodzi, że sława rodaka rozeszła się po szerokim świecie; że jeden łąd podał ją drugiemu; kraj jeden przekazał innym, że imię jego jest zapisane nie tylko w księgach nieśmiertelności, ale żyje w pamięci? . . .

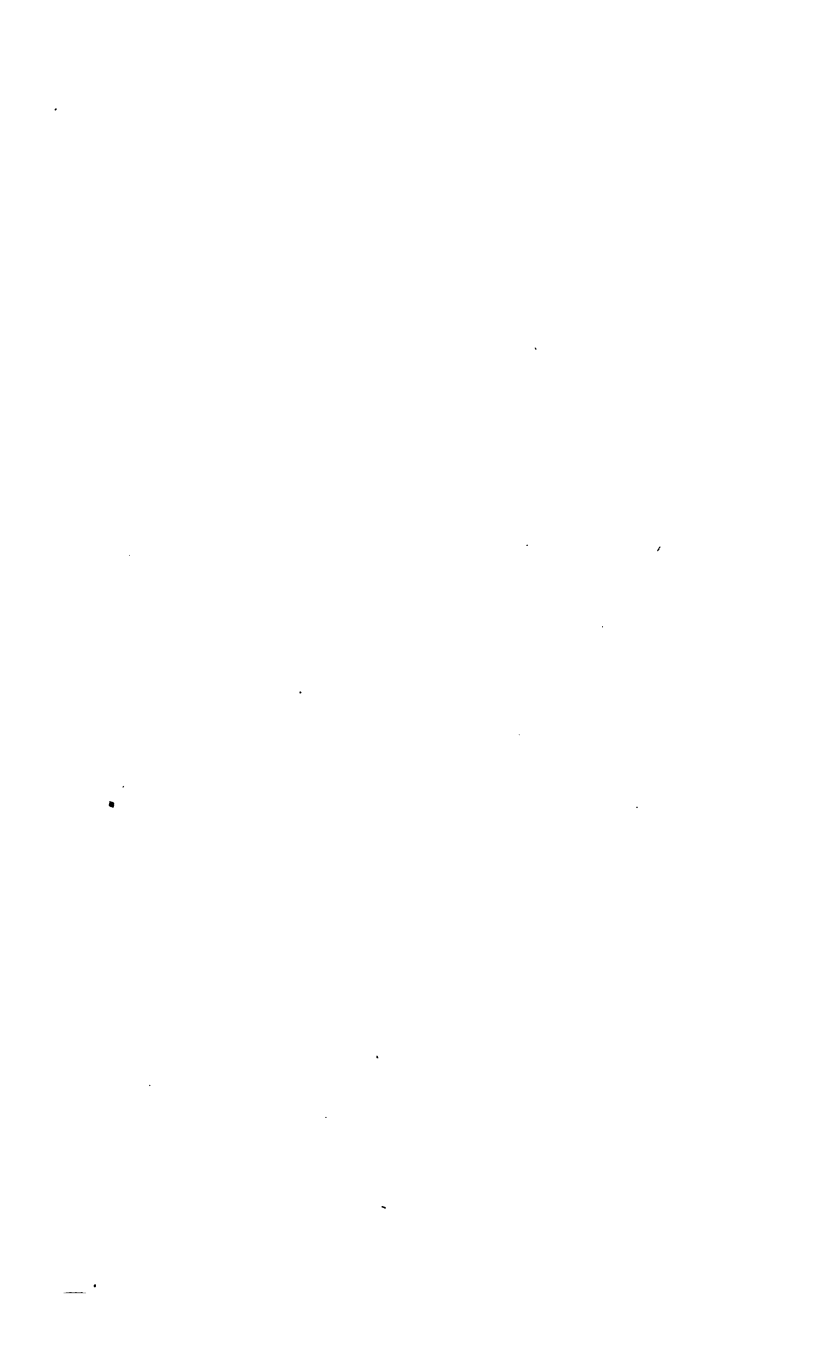
W proch się obróćą dumnie stawiane marmury i zarzewięją złotem klecone na nich pochwały, a wspomnienie o Kościuszcze nie zaśnie nigdy.

Dla czego?

A oto, że był on apostołem wolności — jak n. p. dzisiaj Garibaldi — że nie należał do żadnej kasty, lecz jedynie dobro całego narodu, całej społeczności miał na celu; słowem, że kochał brata, lecz umiłował go inaczej od Faryzeuszów.

Wieczna cześć obrońcy takiemu!

Świat cały przeminie, ale dążności jego nie przeminą — prawda pozostanie; świat przypadnie, lecz sprawiedliwość na wieki wieków istnieć będzie! . . .



**WRAŻENIA BERNU. — PUŁKOWNIK
LELEWEL.**



XVIII.

Wygnaniec wszędzie jest sam!

Kto chciałby widzieć miasto, którego nie zmęła jeszcze nowoczesna cywilizacja, lecz które pod zasłoną gór zachowało dotąd swą oryginalność w uderzającym kolorycie, niechaj po drodze nie pomija Berna.

Wygląda ono na pierwszy rzut oka jak gdyby stara dekoracja z jakiejś melodramy, optycznie ustawiona w teatrze.

Zaopatrzony listem od Zeltnera do pułkownika Lelewela (brata historyka, który aż do śmierci rezydował w Bernie) przybyłem tam pod wieczór. Jechałem małym powozem pocztowym, dziwnej konstrukcji, używanej tylko przez górali. Front tego powozu nie był z przodu, ale z boku.

— Czy to są chmury? — zapytałem woźnicę — tam . . . daleko na horyzoncie, co się tak ciągną pasem, a zdają się być miękkie i elastyczne, niby runa waty?

— To Alpy berneńskie! — odpowie. — W takiej wacie tylko się sępy i orleża gnieźdzą. —

Z nadejściem nocy zmieniała się fantasmagorja. Ujrzałem magiczny obraz porzucanych na wyżynie światełek, które jaśniały w oknach stolicy kantonu berneńskiego, podobne

do świętojańskich robaczków migocących w lesie na murawie.

A za kilkanaście minut przeprowadzał mię oberżysta z lampą w ręku przez długie korytarze dawnego klasztoru przerobionego na hotel.

Bern z przyległościami obfitował niegdyś w klasztory, nie potrzebując obawiać się czarta i wszelkich spraw jego; gdyż na każdego z obywateli przypadało po jednym mnichu i po jednej zakonnicy. Tak liczny więc zastęp poświęconych osobistości utrzymywał zdala od błogosławionego grodu ligę djabelską.

— Możeby pan — rzecze gospodarz — chciał przepędzić wieczór w naszej czytelni miejskiej? Będąc jej członkiem, mógłbym tam wprowadzić mego łaskawego gościa . . .

— Dziękuję . . . na ten raz dziękuję! Herbaty i spoczynku . . . oto wszystko czego pragnę. —

Za chwilę zjawił się garson, niosąc na dłoni ogromną tacę nakrytą serwetą, pełno naczyń z herbatą, mlekiem, śmietanką, cukrem, miodem, masłem, serem, i t. d.; a za garsonem wsunęła się posługaczka, niosąca flaszkę glinianą, tak zwaną kamionkę. Domyśliłem się jej użytku wtedy dopiero, gdy ścieląc łóżko, włożyła mi ją pod nogi. Jakoż strudzonemu podróżą przyjemnie było zasnąć ciepłutko.

Nazajutrz niezwykły gwar, podobny do wyrojenia się pszczoł z ula, przebudził mię z uspienia. Uchyliłem firanki od okna i zawołałem: ach! nie mogąc oderwać wzroku od obrazu żywego i pełnego wdzięku.

Ulica była przepelnioną wieśniakami obojej płci, w narodowych strojach. Lud, który zachował tam jeszcze tradycję po przodkach, ubiera się tak jak i jego ojcowie przed laty się ubierali. Szczególniej widok jasnowłosych, pełnych siły, nagromadzonych kobiet berneńskich, jest nader ciekawy. Przepaska aksamitna na szyi, gorset czarny srebrem haftowany, z łańcuszkowemi naramiennikami, bielutka karbowana kryza osłaniająca pierś aż pod szyję, jest wydatną cechą ich stroju. Dodać potrzeba dla uzupełnienia wyglądające z pod krótkiej, ciemnej sukni z wyłogami u dołu, nie-

bieskie wełniane pończochy, obciągające dwie potężne łydki, jak dwie konewki.

Te urodziwe niewiasty przyjeżdżają na targ co sobota do Berna, przywożąc na wózkach zaprzężonych osiełkami rozmaite wyroby swego przemysłu, tudzież płody gospodarskie.

Radziłbym turystom przypatrzeć się temu jarmacznemu mrowiskn, jako scenie, której warto dać brawo! Gdy ona zniknie, głucho w ponurem mieście.

Wtedy stąpasz pod sklepieniem domów wspartych na ciężkich arkadach, słysząc echo swoich kroków. I możesz takimi galerjami obejść całe miasto, a nie spotkasz nic nad kramarzy stojących lub siedzących na ławeczkach u swoich sklepów, jako też rzadkich przechodniów w zwyczajnych surdutach lub paletach, albo nakoniec kilku studentów, palących poważnie knaster z długich porcelanowych fajek na giętkich cybuszkach. Gdziekolwiek też Szwajcarka pędzi swoją rasową krowę do fontanny tryskającej na środku ulicy, lub dźwiga cebrzyk z wodą na głowie.

Odwiędziłem pułkownika Lelewela. Był to wojak z roku 1831. Oprócz zacności posiadał wiele światła, nabytego raczej w życiu praktycznym, niż wziętego z teorii. Na obliczu jego wyrażała się owa otwartość i pogoda, która znamienuje starych wojskowych. Zresztą był to dobry inżynier: pokazywał mi doskonały most za miastem, będący jego dziełem i kolegów współrodaków.

Nad łóżkiem pułkownika wisiały na tarczy jego epolety, poszczerbiona szabla i para pistoletów zdobytych na Moskalach; na małym zaś stoliczku w bawialnym pokoju leżała relikwia jego familijna, a zarazem narodowa, to jest zbiór dzieł w bogatej oprawie historyka Lelewela.

Staruszka, służąca pułkownika, rozumiejąca trochę po polsku, musiała podsłuchać naszą rozmowę, gdyśmy mówili o Syberji i roznieść jej treść lotem telegrafu po mieście, gdyż wychodząc razem z pułkownikiem z jego kwatery, zastaliśmy się i schody pełne przybyłych pań z miasta, które

rozstąpiły się we dwa rzędy, zostawiając środkiem wolne przejście, aby tem łatwiej przyjrzeć się Syberyjczykowi.

Skłoniwszy się pięknym i nie pięknym, ale ciekawym damom, jakie tam były, podążyliśmy na przechadzkę.

— Nie przywiązuaj, kochany ziomku — rzecze Lelewel — wielkiej wagi do tego rodzaju milczącej owacji, której dopiero byleś świadkiem, i wierzaj mi, staremu doświadczyńskiemu „że wygnaniec wszędzie jest sam!“ —

W pośrodku długiej ulicy, będącej główną arterją i miejscem skupiania się ludności berneńskiej, zatrzymała nas ciężkiej budowy brama, na której się co godzina w okazałości pokazuje słynny mechanizm w zegarze. Jest to bowiem jeden z tych zegarów, dla ozdoby którego mechanik XV. stulecia poświęcił nieraz żywot cały.

— Czy chcesz zobaczyć koguta? — zapytał z uśmiechem Lelewel spojrzawszy na swój zegarek — zaraz on ci pokaże co umie. —

W rzeczy samej, czupurny kogut umieszczony na wieżycy, zaczął bić skrzydłami i zapiał trzy razy, głosem wprowadzie nieco chrapowatym, zawsze jednak zapiał.

Na dane hasło sunęło się z framugi, jeden za drugim, czterech ewangelistów i każdy z nich uderzył młotem w dzwon na ten cel przygotowany.

Miało to znaczyć kwadrans.

Potem spiżowym a powolnym odezwała się jękiem jedenaście godzina, a przez cały ciąg trwania dźwięku szła dziwna procesja rozmaitych lalek, która wystąpiwszy z małych drzwiczek pod zegarem, zatoczyła półkole, zanim nie znikła w drugich drzwiczkach, równoległych do pierwszych.

Dalej w końcu ulicy na drugiej bramie z basztą, ujarzmia uwagę w olbrzymich rozmiarach freska, przedstawiająca przysięgę Wilhelma Tella wraz z jego współnikami, na wyśwobodzenie ojczyzny z pod kajdan Gesslerera.

Owe trzy bohaterskie postacie spiskowców, każda z dłonią wyciągniętą ku niebu, wzywające kary bożej na zbrodniarza zasiadłego na tronie, ściskające konwulsyjnie długie miecze w prawicy, silniej od fotografii odbiły się na mym młodocianym umyśle.

I w wielką splotły się w duszy mojej epopeję: historia kapelusza na słupie, któremu kłaniać się kazano; na głowie chłopięcia jabłko, do którego nieszczęśliwemu a nieposłusznemu ojcu puścić strzałę polecono; owa druga strzała ukryta, przeznaczona na przeszycie cielska tyrana; ognie płonące na szczytach gór na znak ogólnego powstania; barka unosząca przywódcę ludowego z rąk dostojnych oprawców; wreszcie szczęk oręża, wrzawa wojenna, pieśń wygrana na obojach i sztandar wolności, utkwiony na skałach, dolinach, wąwozach i jeziorach Helwecji, szczęsnej dziś krainy, której świeci dola złota!

Ciekawy także w swoim rodzaju jest widok z tarasu katedralnego, dokąd udaliśmy się z kolei rzeczy.

Mur prostopadły, przeszło sto stóp wysoki, utrzymuje krańce tarasu. Ztamtąd to widok: na dachy domów, pomiędzy którymi kręci się wężykiem rzeka Aar, na różnobarwną okolicę, zamkniętą cyplami śnieżnic i lodów, o które słońce łamie się w kolorach tęczowych, ma coś doprawdy upajającego.

Cały ten taras na wyniesieniu, ze swoim kościołem protestanckim i swoją statuą, jakkolwiek nie rozległy, jest najbliższą i najulubieńszą przechadzką mieszkańców. Dla ich wygody posiada aleje i chodniki z ławkami, a nawet dwie kawiarnie.

Pomiędzy temi kawiarniami wyryty na kamieniu napis świadczy o tragicznym acz cudownym wypadku, który tam się zdarzył.

Brzmienie napisu jest następujące:

„Ten kamień wzniesiony na cześć wszechmogącego Boga i aby pamiątkę podał do potomności. — Ztąd pan Teobald Veinzeffi, 25. maja 1654, skoczył na dół na koniu. Po tym wypadku służył przez trzydzieści lat jako pastor kościołowi i zgasł bardzo starym, w zapachu świętości, dnia 25. listopada 1694.“

Godłem kantonu berneńskiego jest czarny, pełzący w czerwonym polu niedźwiedź, z jedną łapą do góry podnie-

sioną. Mnóstwo malowideł i posągów wyobrażających nie dźwiedzi napotykać tam można.

Lecz nie wiedziałem, że Bern utrzymuje na przedmieściu i prawdziwych, żywych niedźwiedzi, w przeznaczonych ku temu fosach. Wielkiego one doznają poszanowania od odwiedzających je nianiek, dzieci, a nadewszystko od starych panien, które nie mogą już kosztować przyjemności światowych, zapisują swe kapitały na utrzymanie tych kosmatych czworonogich. Dzięki więc arcycypaniom, żyją one sobie dość wygodnie z ich procentów.

Niedźwiedzie zatem niepospolitą odgrywają rolę i do wysokiego doszły znaczenia w Bernie. Nie dosyć, że mają one swoje imiona chrzestne, swój wywód rodowy, a nawet nazwiska arystokratyczne, ale co większa, posiadają oddzielną familijną historję i swoich dziejopisów — znakomitych dziejopisów!

Ażeby sobie nikt nie śmiał żartować z tych młodszych braci naszych, ani ich lekceważyć, przytoczę tu jedno z główniejszych podań:

Pewna bogata stara panna, zamiłowana w niedźwiedziach, przeniosła się do wieczności, pozostawiwszy na tym padole dalekich tylko krewnych, poczciwych ludzi, kochających ją tak, jak się kocha sztabę złota. Testament jej otworzono ze wszystkimi prawnymi formalnościami w przytomności osób interesowauych.

Pokazało się, że arcycypanna zapisała 60,000 peców rocznego dochodu niedźwiedziom, a 1000 jako jednorazową donację na szpital berneński, z zastrzeżeniem atoli, zastrzeżeniem jasno wystylizowanem, że suma ta ma być obróconą na sprawienie na wieczyste czasy łóżka dla użytku jednego z jej krewnych.

Zwarjowała! — zawołała chórem rodzina. Nieważny testament! wyraźne podejście! zwalić testament! — wrzeszczano jednogłośnie.

Rząd wyznaczył tedy obrońcę dla niedźwiedzi, a że to był adwokat z talentem i niesłychanie giętkim językiem, bez kości, niewinność nieszczęśliwych czworonożnych, którym chciano wyrzeć sukcesję, została uznana i publicznie ogło-

szoną, testament poczytany za ważny i obowiązujący, a spadkobiercy upoważnieni do natychmiastowego korzystania z praw im przysługujących.

Nic nie stało ku temu na przeszkodzie: majątek nieboszczki składał się bowiem z milionowego kapitału w gotówce. Umieszczono go przeto w kasie depozytowej przez rząd wyznaczonej, z poleceniem wypłacania procentu umocowanym opiekunom spadkobierców, których uznano za niepełnoletnich.

Łatwo się domysleć, że od tej chwili wielka zmiana nastąpiła pod względem prowadzenia dworu tych ostatnich. A ich przezacni opiekunowie poczeli jeździć kareta i wydać bale, rozumie się, w imieniu swych pupilów. Co zaś do osobistości małoletnich, to dozorca ich przyjął tytuł kamerdynera i odtąd nie ośmielił się ćwiczyć je drągiem, ale trzcina ze złoconą gałką.

Lecz niestety, nic nie ma stałego w sprawach doczesnych!

Kilka zaledwie pokoleń niedźwiedzich cieszyło się owym dobrobytem, nieznanym przedtem w ich rodzie, gdy wybuchła rewolucja francuska.

Dzieje naszych kosmatych bohaterów nie mają wprawdzie tak ścisłego związku z tą wielką katastrofą, abyśmy mieli zastanawiać się nad jej przyczynami i skutkami; wspomnieć tu tylko wypada o zdarzeniach, w których ci kosmaci zmuszeni byli przyjąć pośredni udział.

Szwajcaria położeniem swoim jeograficznem jest za zbyt zbliżoną do Francji, ażeby nie poczuła tego wstrząśnienia, co uczuł niemal świat cały od wulkanu rewolucyjnego. Pomimo to chciała się oprzeć napływowi lawy wojennej, która ogarnęła Europę.

Kanton de Vaux ogłosił swą niepodległość: Bern zgromadził wojska, lecz choć zwycięzca początkowo, został w rezultacie pobity, i rzeczywiści zwycięzcy pod dowództwem generałów Bruna i Schaunburga weszli z tryumfem do stolicy.

W trzy dni potem najeźdźnicy unieśli skarbiec berneński.

Jedenaście mułów obładowanych złotem wysłano do Paryża: dwa z pomiędzy nich niosły fortunę skrzywdzonych niedźwiedzi, które, chociaż były umiarkowane w swoich opiniach politycznych, zostawszy na liście arystokratów, doznały wspólnego z nimi losu.

Wprawdzie pozostał im pałac ich opiekuna, kupiony za ich pieniądze, którego Francuzi zabrać nie mogli; lecz przeznaczonego opiekun wykazał się jakimś sposobem ze swoim tytułem własności do rzeczonoego pałacu — dosyć, że majątek nieletnich uległ zupełnej ruinie.

Szlachetne zwierzęta dały wtenczas ludziom wielki przykład filozofji praktycznej: okazały się o tyle godnymi w niedoli, ile były skromnymi podczas pomyślności — i tak przeżyły, szanowane od wszystkich stronnictw, przez pięć lat rewolucji, która trwała w Szwajcjarji od roku 1798 do 1803.

W końcu Szwajcjarja uśmierzyła swoje zbrojne góry pod dłonią Bonapartego, podobnie jak Ocean, który uśmierzył swoje fale na głos boży. Pierwszy konsul ogłosił akt unji, i dziewiętnaście kantonów złączyło się pod protekcją Francji.

Zaledwie mieszkańcy Bernu przyszli nieco do siebie, usiłowali powetować szkody poniesione. Ten się starał o urząd, ów o wynagrodzenie, i t. d. Ci tylko, którzy mieli najwięcej prawa do dopominania się, oczekiwali poważnie, w milczeniu, dopóki republika nie pomyśli o nich.

Rzeczpospolita szwajcarska uczyniła wreszcie zadość owej wzniosłej zasadzie, będącej jej godłem: „Wszyscy dla jednego, jeden dla wszystkich“. Zrobiono subskrypcję dla niedźwiedzi i zebrano 60,000 franków. Za tę kwotę, tak szczupłą w porównaniu do ich dawnej świetności, zakupiła dla nich rada miejska realność, przynoszącą 2000 franków dochodu.

Wspaniałe zwierzęta, będące niegdyś milionerami, spadły tak nisko!

Ale nie koniec na tem. Gdy się nieszczęście na kogo zawezmie, ściga go do grobowej deski. Mała fortuna potulnych niedźwiedzi została na domiar przepołowioną, zbiegiem

okoliczności, które już atoli nie mają żadnego związku z polityką.

Posłuchać proszę:

Fosa, w której rezydowały pocziwe zwierzęta, była kiedyś w samym mieście i przytykała do muru więzienia.

Pewnej pięknej nocy jeden z więźniów, skazany na śmierć, umyślił się wymknąć ze swej kamiennej szuflady; a przygotowawszy sobie poprzednio kawałek żelaza, począł wiercić dziurę w ścianie.

Po kilku godzinach pracy udało mu się usłyszeć, że z przeciwnej strony ktoś także dłubie mury skarbowe, i padł na myśl, że jakiś podobny do niego nieborak był osadzony w przyległej kryjówce. A spodziewając się, że przy spotęgowanej pracy obydwoh ucieczka stałaby się łatwiejszą, wzmocnił usiłowania.

Nadzieja jego wzrastała w miarę postępu roboty.

Pracownik z przeciwnej strony walił cegły z siłą i zapamiętałością, którą owładnięty zapominał o zachowaniu należytej ostrożności. Stuk cegły i sapanie robotnika słyszeć się coraz bliżej dawały.

Z swojej strony więzień skazany na śmierć pospieszał takoz, a to tem bardziej, iż obawiał się, aby nieroztropność kamrata nie zdradziła ich obu przed dokonaniem zamiaru.

Na szczęście, że już nie wiele brakowało! Cienka tylko warstwa dzieliła sąsiadów od siebie, ale i ta niebawem padła pod ich ciosami.

I spotkały się naraz głowa więźnia ze łbem niedźwiedzia. Ten ostatni nazywał się „miś Marcin“.

Więzień zdrtęwał, skostniał, skrzepł na taką niespodziankę. Świeże powietrze zalatujące przez wylom ze dworu ocuciło go nieco. Chciał się posunąć naprzód, gdy miś, który słysząc burzenie ściany, instynktem zniszczenia, wrodzonym zwierzętom, przyszedł mu w pomoc, pchał się do dziury.

I przedstawiły się ofercie dwie ostateczności: być powieszonym albo pożartym. Szubienica była rzeczą pewną, gdy rozdarcie prawdopodobną.

Nie bronił więc przybyszowi wkroczenia do swej celi, przycisnął się do kąta i — ocalał.

Zaledwie miś Marcin wlaźł, nieszczęśliwy wysunął się przez jamę, nie będąc od drapieżnego kolegi zaczepionym. Wzajemna niedola zbliża biedaków do siebie.

Nazajutrz, skoro dozorca otworzył drzwi od kaźni, zdumiał na szczególniejsze przeistoczenie osoby: kosmaty Marcin spczywał na legowisku więziennem.

I dozorca drapnął przestraszony, nie zdążywszy nawet za sobą drzwi zamknąć.

Niedźwiedź wstał tymczasem i poszedł za nim powoli, a mając wszędzie poroztwierane drzwi, wylaźł na ulicę i zdążył spokojnie ku targowicy jarzyn i zwierzyny. Łatwo sobie wystawić popłoch przekupek i gości na zjawienie się między nimi tego nowego konsumenta. W oka mgnieniu plac się opróżnił, jak gdyby go kto wymiół, i przybysz mógł sobie natychmiast wybierać jarzyny, owoce i zwierzynę, jaka mu przypadła do smaku.

To też nasz miś niczego sobie nie skąpił, a nikt nie śmiał go płoszyć, przez obawę, aby sam nie stał się zwierzyną.

Padł wreszcie ofiarą własnej żarłoczności i łatwego zarobku, zamiast uciekać do lasu.

Dwaj kowale, mający kuźnię na tym samym placu, widząc zwierza chciwie zajętego pożeraniem jablek i gruszek, które tak zwykle lubi, zbliżyli się cichaczem z rozpalonemi kleszczami z obu stron do niego i schwycili zbiega za uszy.

Poznał od razu, iż na nowo popadł do niewoli. Dla tego nie bronił się i z pokorą dał się odprowadzić do fosy, protestując tylko od chwili do chwili żalonym rykiem przeciw barbarzyńskiemu sposobowi aresztowania.

Wszelakoż rada mieszczan berneńskich zważywszy, że wypadek podobny mógłby się powtórzyć, i nawet za drugim razem nie skończyć tak spokojnie, postanowiła utrzymywać niedźwiedzi na przedmieściu, z rozkazem zbudowania dla nich dwóch fos u wałów miasta.

Wykonanie dekretu rady zmniejszyło kapitał zwierząt o połowę, gdyż kosztą nowej budowy oszacowano na 30,000 franków

Zwiedzając Bern, udałem się do tego nowego, kamiennymi taflami wyłożonego mieszkania, aby złożyć wizytę podupadłej na majątku czworonożnej rodzinie, która się tam przesiedliła była.



VANITAS VANITATIS.



XIX.

„Jeżeli gryzę to sercem gryzę!“

Dojeżdżając do Genewy, Russo snuł mi się po głowie — o nim ciągle marzyłem, pałając chęcią obaczenia jeziora, nad którym dumał, rynku, gdzie dzieła jego urzędownie palono i pomnika, który mu wystawili obywatele, gdy już męczennik przeszedł do innego, szczęśliwszego świata.

Cóż to za sprzeczności!

A jednakże sprzeczności takie napotykamy w życiorysach wielkich ludzi wszystkich narodów, nie wyłączając i Polski. Za życia tortury — po śmierci, gdy już nikomu nie zawadzają, gdy umilkła zazdrość, zawiść i rozbudzone wyższością bliźniego namiętności, wtedy jarzące świece, stuk karet, kadzidła i lamp tysiąca błyski — na wzór dla żyjących.

Smutny dramat istnienia i smutny zgon niemal każdego geniuszu, wyższego talentu i człowieka wolności.

Promoteusz przybity do skały, Chrystus na Golgocie, Diogenes przez Synopę skazany na wypędzenie, Hus i Cerwe w płomieniach, Sokrates wypijający truciznę, Galileusz i Kolumb zakuci w kajdany, Dante i Cerwantes na wygnaniu; Szekspirowi odmówiony pogrzeb na smętarni, Mochnacki pod mającą się zbudować dlań szubienicą, Corregio, Grottiger i Słowacki łaknący nieraz kęsa chleba; Deskart ścigany przez rządy, Milton zmuszony sprzedać swe arcydzieło za

jednego szterlinga, lord Byron wołający: „Żałuję tylko, że nie zostawił nic, co by było uez godne!“ — i tylu a tylu innych, znanych i nieznanym. Na krzyż z nimi! na krzyż! a wypuścić Barabasza!

Z drugiej strony rokoszujący Sardanapale, Baltazary i Nerony, satrapi i gułaje, z całą czeladką czarnym przepukniów ducha, tudzież owym porządnym ludzi, orderowych, plombowanych, lojalnym obrońców systemu cytadeli i banicji.

Oto dzieje ludzkości!

Są one oblane łzami, spisane krwawymi głoskami, są streszczeniem ciężkich prac w adamowym pocie, mozolów i cierpień przetrwanych. Długi odgłos szlochań, jęków i narzekania roznosi smętne echo po bożym świecie.

— Vanitas vanitatis! — zawołał któryś z pasażerów Niemiec, kończąc gawędę z śmiejącym się do rozpuku sąsiadem.

Czyliż to piekło się ze mnie naśmiewa? Jestże to chichot szatański? . . .

I ocknąłem się nagle z podróźnej zadumy.

Potem nastąpiła cisza, sprzyjająca rozmarzonej głowie.

„Vanitas vanitatis!“ . . . Ma słuszność ten długonosaty jegomość . . . Wszak próżność, próżnia, próżniak, z jednego źródła pochodzą.

Wiesz dla czego dzwoni głośny? Bo wewnątrz jest próżny.

Próżnia rodzi najczęściej próżność, ostatnia próżniaka. Wady te kosztują codziennie miliony wyrzucone w błoto. Alcybiades w swym chełmie z kości słoniowej, purpurowym płaszczu i złotych sandałach, nie mógłby się mierzyć pod względem próżności z tak zwanym lwem dzisiejszego wieku lub kokietką przybraną w brabantkie koronki, których na swe szczęście nie znał świat starożytny.

Taka to próżność cechowała także i ów „pobożny“ zakon niemiecki, owym uorganizowanym rabusiów z krzyżem w rękę, a nieposłusznym swemu papieżowi. Krzyż błyszczał na ich chorągwiach, gdy łupili Litwę i biednym jej mieszkańców za nogi po lasach wieszali. Krzyż nawet był wykrawywany i na szynkach, które u nich przy uczcie podawano,

tak, że jeden z podróżnych zapytał: „Jako! to i trzoda należy do zakonu niemieckiego? . . .“

Chęć błyszczenia na zewnątrz i ciągłe staranie zaimponowania innym, jest głównym celem próżności. Oprócz pustych i czcnych w sobie tytułów, należą tu i ordery.

Mój Boże! wiele to radości sprawia nieraz pstrokata wstążeczka zyskana kosztem współbraci, i wieleż to tysięcy orderów wymyślano, aby można za niską cenę kupić sobie człowieka, uderzywszy w strunę jego próżności!

Za czasów Stanisława Augusta niejedna z owej masy ładnych i tak licznych starościn pozwałała się shańbić, byle tylko choć przez jedną noc być królową; a nawet sam August dla samolubstwa i próżności wyrzekł się sumienia i ściągnął na siebie przekleństwo narodu.

Gdy taki pan umiera, robakom nawet odmawiają słusznego prawa do jego trupa, balsamują, chowają do cynowej albo srebrnej trumny, składają w marmurowym grobie, w którym stoi posąg z szumnymi pochlebstwy w złocistych rymach, obstalowanych u najętych wierszokletów, dla ośnienia potomnych.

Tem i podobnemi zajęty byłem myślami, przybywając wieczorem do Genewy, zwanej miastem uczonych, gdzie w skutek instytucji republikańskich mniej niż gdzieindziej szkodliwych wad próżności znaleźć się spodziewałem.

Smutek na wstępie mię opanował, gdy na ulicy Mont-Blanc ujrzałem buchające światło z okien jednego domu i usłyszałem tkliwą na fortepianie muzykę, a jeszcze tkliwszy śpiew przy niej.

Ileż wspomnień naraz cisnęło się do duszy!

Sam jeden nieznany cudzoziemiec, cierpiałem w obec szczęsnych istot, i wskoczyłem do najbliższej doróżki, kawszy się zawieźć czempredzej do hotelu, żeby już nie nie widzieć i nic nie słyszeć, będąc w takim nastroju ducha.

Zerwał się ni ztąd, ni z owąd wiatr gwałtowny, owa biza, będąca podczas jesieni i zimy plagą dla Genewczyków. Padaly poobryware szyldy i dachówki z łoskotem. Zapra-gnałem, aby ten wicher wywiał ze mnie tęsknotę!

Nazajutrz odszukałem mego przyjaciela, pana S., z którym od czasu opuszczenia Lipska dwa razy się spotkałem. Miał dużo ze mną do pomówienia; pojechaliliśmy zatem na spacer do Ferney, by na ustroniu pogawędzić swobodniej.

Korzystając z dwugodzinnej przejażdżki, odwiedziłem mieszkanie Woltera, tego najdowcipniejszego pisarza swojej epoki, którego radbym był słyszeć rozmawiającego z Fryde-rykiem. Dziwiłem się, że Wolter żyjąc w Szwajcarji, wybrał sobie tak nudne siedlisko, mając w pobliżu rokoszne jezioro Leman — ów Wolter, który lubił życie.

Stary dom, gdzie Anglicy ucinają po kawalku franki, lub zrywają liście z drzew szczepionych ręką tego męża, i gdzie pokazują meble filozofa, jakoby nie tknięte od czasu jego śmierci (czemu trudno dać wiarę), tudzież mały ogród źle utrzymany, stanowią ciekawości Ferney. Brakuje tylko w tym rodzaju muzeum wolterowskich trzewików i upudrowanej peruki.

Przepraszam! Dodać potrzeba do szczególności i kaplicę z napisem na frontonie: „Deo erexit Voltaire.“

Zatrzymałem się przed napisem. Znowu próżność! To słowa tego samego rewolucjonisty, o którego mi się spowiednik za młodu pytał: „A może ty studenciku już czytałeś grzesznika Woltaire? . . .

Faryzeusz ewangeliczny, modlący się w synagodze: „Dziękuję ci, Panie, że nie jestem tak zły, jak ów celnik,“ nie mniejszą posiadał dozę próżności.

Od synagogi Faryzeusza myśl pierzchła ku Polsce, jako do zwyczajnego swego schronienia. I przyszedł mi na pamięć napis w kościele OO. Dominikanów w Łucku, z którego zaledwie przypominam sobie te wyrazy:

Franciszka Nowowiejska z Czetwertyńskich domu
W tym grobie leży. Jeśli dziwno komu,
Niechaj się nie dziwuje! Przy królowej nieba
Księżniczce, staroście Braclawskiej być trzeba.

Przewyższył także w próżności wygadanego encyklopedystę z Ferney nasz kasztelan M. Bo gdy tonął w rzece Tanwi, a wyciągnął go z wody z własnem niebezpieczeństwem

chłop za czuprynę, kazał owemu chłopu wyliczyć dwadzieścia nabajów za to, iż ośmielił się dotknąć wierzchowiska szlacheckiego; a następnie w nagrodę za ocalenie życia darował mu wioskę w dziedzictwo. Nad Tanwią zaś wznosił pomnik, do którego sam kasztelan ułożył taki epigram:

Jak drogie życie Pańskie, Pan wie,
Bo go ratował w rzece Tanwi;
A że Pan Pana z przypadku wybawił,
Pan Panu na pamiątkę ten pomnik wystawił!

Vanitas vanitatis!

Ale na co szukać jej odbłyśków aż w Ferney, Łucku i nad Tanwią, kiedy je i tu we Lwowie każdy może znaleźć nie tylko między żywymi, ale i umarłymi; na przykład w napisie na grobowcu w kościele ormiańskim, i to z nie zbyt odległych czasów, bo z r. 1728:

O! jak cienka jest życia ludzkiego osnowa,
Anna pod tym marmurem śpi dyrektorowa;
Zgasł nam splendor szlachetny z Jaśkiewiczów damy,
W życia doskonałości równej szukać mamy;
Ta lubo dzieci nie miała, wszystkim matką była,
Życie święte w sześćdziesiąt lat i trzy skończyła.
Krzysztof Augustynowicz, małżonek serdeczny,
Złożył ten marmur afektu za fundament wieczny.
Te krótkie na nim łzami zakreślone słowa:
„Niech z Bogiem odpoczywa tu dyrektorowa!“



GENEWA — LOZANNA —
I WIĘZIENIE W ZAMKU CHILLON.



XX.

Wykujcie mu postać kamienną na grobie,
W niej niech odżyje umarły,
W rysach podobny żywej osobie,
Którychby wieki nie starły!

Pomnik Jana Jakuba Russa wzniesion jest w prześlicznym położeniu, wśród miasta, na wyspie jeziora Lemana porosłej gajem, do której prowadzi most, jako do miejsca spacerów.

Oswojone łabędzie, białe i czarne, nurki i inne wodne ptastwo uszykowane w gromady, pływają sobie swobodnie naokoło wyspy. Każda gromada obejmuje gatunek, nie mieszający się z drugim — każdy pilnuje swojego obozu. Nikt ich nie płoszy, zostają one pod opieką każdego z osobna i wszystkich razem obywateli genewskich. Dla tego tak są śmiałe, że zaledwie ustępują z drogi czółnom przepływającym i witają spokojnie ludzi swoim klekotem, przeprowadzając ich oczyma.

Z wyspy widok na Genewę, okolającą brzegi jeziora w kształcie amfiteatru, jest rzeczywiście zachwycający, szczególnie w czasie pogody, gdy mnóstwo bacików rybackich o trójkątnych żaglach uwija się w różnych kierunkach po błękitnej wodzie, zostawiając za sobą srebrzyste bruzdy.

Statua syna genewskiego zegarmistrza, który potęgą własnego geniuszu stworzył sobie tak znakomite imię i zwrócił na się uwagę świata całego, jest pięknie odlaną z brązu w kolosalnych rozmiarach.

Ludzkość po latach wielu przebaczyła nakoniec sławnemu filozofowi błędy i występki, z których znalazł cywilną odwagę publicznie się wypowiadać; przebaczyła mu ciemną stronę dziwactw i wyobraźni czysto chorobliwej, oceniając stronę dodatnią, która tak pięknie ukazała się światu przy żywym i jasnym świetle wysokiej inteligencji tego wiekopomnego męża.

Francja wzniosła mu także pomnik w katakombach Panteonu paryzkiego. Jest to ręka z zapaloną pochodnią wysuniętą z mogiły.

Skromny domek Russa przy ulicy tegoż samego nazwiska w Genewie, więcej zajmuje podróżnika, niż pałace i zamczyska, gdzie się mnóstwo pokoleń urodziło, żyło i zgasło, bez zostawienia po sobie czegoś godnego uwagi; gdy przeciwnie dzieje mężów zasłużonych przypominają nam ciągle, że można istnieć z pożytkiem i wielkością, przy całej ułomności natury ludzkiej; tudzież pozostawić ślady stóp swoich na kurzawie ubiegłych wieków,

Inny żeglarz, brat zablakany na puszczy żywota, ujrzy te stopy pielgrzymie i pójdzie wytkniętą drogą.

Pisma genjuszów w ogóle mieszczą zawsze w sobie żywioł broniący społeczność od choroby i śmierci — mieszczą najczystsze pojęcia bezwzględnej sprawiedliwości.

Patrząc na płytę czarnego marmuru na ubogim domku autora Emila, na której wyryto te proste słowa:

„Tutaj urodził się J. J. Russo,
28. czerwca 1712“

zadalem sobie mimowolnie pytanie: Dla czego nie kanonizują takich ludzi, zamiast kanonizować mistrzów świętej inkwizycji? Jeszcze raz powtarzam, iż zadalem sobie tylko pytanie, boć przecie pytać się każdemu jest wolno.

Genewę przyrównać można do ula dobrze uorganizowanego, gdzie każdy z mieszkańców pracuje spokojnie i gorliwie dla powiększenia skarbcza bogactwa narodowego.

Nic więc dziwnego, że próżnujących cudzoziemców uważają w tem przemysłowym laboratorium za intrusów, szerszeni, których można tylko cierpieć pod warunkiem, że nie dotkną się miodu nagromadzonego, lecz przeciwnie,

przyczynią się opłatą podatku za kartę swego pobytu do ogólnej pomyślności.

Słowem, każdy cudzoziemiec, który już to pieniędzmi, już talentem lub nauką nie przyczynia się w Genewie do dobrobytu obywateli, z trudnością bywa przyjęty do towarzystwa tamtejszego ludu religijnego i spekulacyjnego, który w tym grodzie Kalwina jest zimny, pracowity, praktyczny; a każdy z wyższem wykształceniem Genewczyk ma w obejściu się swoim coś doktoralnego.

Jak wszystkie Rzeczypospolite na świecie, począwszy od starożytnego Rzymu, Genewa, ów Rzym protestancki, posiada patrycjuszów i plebejuszów. Pierwsi mieszkają na wyniosłości miasta, drudzy na równinie nad jeziorem. Pierwsi są milionerami, drudzy dorabiającymi się robotnikami i handlarzami, mianowicie zegarków i biżuterji.

Nasz rodak Patek przeszedł już z drugiej kategorii do pierwszej. Fabryka jego i spółki zegarków stała się niemal najpierwszą w Genewie. Ale nie lubi ona wojen!... chociaż sam Patek był ponoć kiedyś wojakiem.

W życiu domowem ziomeków Russa nie trzeba szukać wdzięku salonowego, wytworności i wykwintnej uprzejmości. Nie zaiste! Wszystko tam oddycha surowością obyczajów, suchością kalwinizmu, jako też rachubą. Ależ pracownicy ci, utrudziwszy się w ich biurach handlowych i fabrycznych, potrzebują w swoim towarzystwie prywatnem nie kępować się formami i ceremonjami, ale odetchnąć wolno, swobodnie, bez kosztów, a zawsze z pożytkiem. Dla tego rzadko przyjmują do siebie obcych, wyjąwszy do Czytelni publicznej, i to gdy się jest przedstawionym przez którego z członków.

Czytelnia należy bez wątpienia do najpożyteczniejszych i najlepiej urządzonych zakładów miasta.

Do rzędu wycieczek odbytych statkiem parowym po cudownem jeziorze, wraz z moim przyjacielem S., należy i Lozanna, nadbrzeżne miasto, garbate, wijące się ze swemi domami i mieszkańcami po wzgórzach i dolinach, jak prawie wszystkie miasta, a przynajmniej znaczna ich część w południowej Szwajcarii.

Na Lozannę zarówno jak na Genewę spogląda z po za gór, niby wielka strażnica, siwowłosa, kapryśna w swych przedpotopowych zarysach, dziwna jak fantazja, jak senne marzenie Mont-Blanc, podobna już to do białego widma wystrzyżonego z papieru, już do różowej korytny z pasem fioletowym u dołu, sięgającej złocistym szczytem niebios.

Ale więcej od Mont-Blanc, od Lozanny z jej urozmaiconemi willami, ogrodami i parkami, których rozłożyste drzewa kąpią swe zwisłe warkocze w jeziorze; więcej od całej przyrody zajęło mię urządzenie w tem mieście więzienia, czyli raczej domu poprawczego, to jest mającego na celu nie samo oddzielenie od społeczeństwa członka szkodliwego temuż społeczeństwu, lecz i moralną poprawę przestępcy, gdyż w Szwajcarji innych więzień nie znają.

W ogóle wychodzą u nas z więzień ludzie gorszymi niż tam weszli — w Szwajcarji rzecz ma się przeciwnie.

Największa część występków, a nawet zbrodni, wyrasta zwykle z niedostatku i nędzy; a te ostatnie biorą najczęściej źródło w nieudolności indywiduów, nie mających żadnego fachu dla zapewnienia sobie szlachetną pracą bytu w społeczeństwie.

Złapać więc takie indywiduum, zamknąć, skazać i potrzymać pod kluczem wedle wyroku dwa lub trzy lata; a potem wypuścić w takim stanie, z którego wypłynął pierwszy jego upadek — to nie jest zaradzić złemu. Jest to tylko po prostu demoralizujące pozbawienie go wolności na czas pewien i nic więcej. Tak się u nas jednak dzieje niestety z nieszczęśliwymi bliźniami, za którymi nie ma się kto ująć, a którzy przecież naturą człowieczą są do nas podobni.

I dziwić że się tu, że biedne indywiduum, któremu raz się noga pośliznęła w trudnej sztuce życia, popada w teź same, jeśli nie większe błędy! Sami sobie za niego grzech przypisać winniśmy, który na naszym sumieniu ciężcyć powinien kamieniem.

Jedynym środkiem polepszenia takiego indywiduum, pogodzenia go z ludzkością i Bogiem, jest zwrócenie go żyjącemu z pracy społeczeństwu, jako jemu równego, to jest

uzdolnionego i przyzwyczajonego do owej pracy i do tego zaopatrzonego na początek pewnym zasobem kapitału, dla opędzenia potrzeb, dopóki sobie zatrudnienia nie znajdzie.

Otóż domy poprawcze w Szwajcarii przyjęły sobie za najpierwszą zasadę wyuczenia więźnia rzemiosła, jakie sobie obierze; a powtóre, uskładania dla niego dwóch trzecich części kwoty pieniężnej, zarobionej w areszcie. Do tej zbawiennej ustawy dodany później artykuł uzupełnia kodeks filantropijny, a to, upoważniając więźnia do oddawania jednej trzeciej części swego zarobku rodzicom, żonie, dzieciom, lub komu się podoba.

Tym sposobem związki rodzinne gwałtownie zerwane przez aresztowanie winnego, zawiązują się na nowo. Pieniądze, któremi zasila krewnych, ułatwiają mu powrót na ich łono; gdyż zamiast przybyć do nich shańbiony, biedny i odarty, długo nieobecny członek familji powraca oczyszczony przez karę z występku, uszlachetniony przez pracę i daleki od pokusy nadal, z powodu zasobowego funduszu i profesji, w której go wyćwiczono.

O ile pożyteczne wydały owoce takie rozumne instytucje, okazuje się najlepiej z wyciągu aktów więziennych. Kwestja więzienna tak zajmuje świat cały i stoi na porządku dziennym, będąc przedmiotem rozpraw tylu ludzi, iż nie od rzeczy będzie przytoczyć tu parę z nader licznych ustępów wspomnianych aktów urzędowych w Lozannie, które ja dosłownie tłumaczę.

I tak:

B urodzony w 1807 r. w Bellerive, chłopiec młynarski, ubogi, skradł trzy miary pszenicy zmieszanej z żytem i został skazany na dwa lata kajdan. Zarobek jego przy opuszczeniu domu poprawy, oprócz pomocy, którą przesyłał rodzinie, wynosił 100 franków. Wyszedł bardzo uzdolnionym tkaczem.

Pod powyższą notą, pastor wioski, do której powrócił B dopisał własną ręką:

„Gdy za powrotem do Bellerive ten młody człowiek, upokorzony więzieniem, ukrywał się u ojca swego, nie

mając odwagi wychodzenia z mieszkania, młodzież wiejska udała się w niedzielę do niego i zaprowadziła z sobą do kościoła.“

* * *

L, oskarżona o różne kradzieże — trzy lata zamknięcia — wyszła w dobrym usposobieniu i udała się do swojej komuny, gdzie na przychylne świadectwa, które tam doszły o jej wzorowym zachowaniu się podczas uwięzienia, dziewczęta wyszły na jej spotkanie i uściskawszy, wprowadziły do wioski.

Zarobek 180 fr. Przędka, umiejąca czytać i pisać.

* * *

D, skazana na 10 lat zamknięcia za dzieciobójstwo, nie rozmyślnie — za przybyciem nie umiejąca nic — wyszła wykształconą — celującą szwaczką.

Zarobek więzienny 1250 fr. Obecnie jest guwernantką w jednym z najgodniejszych domów kantonu — i t. d., i t. d.

* * *

Czyż nie patryjarchalny to czyn republikańskiego rządu, kształcenia upadłych braci, i nie wzniosły, obywatelski rys charakteru młodzieży, żyjącej po bożemu, bo przebaczącej bliźnim. Tam zaiste jest miłość, tam Chrystusa noszą w sercu, i szczytne godło federalistyczne: „Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego“ zamienione w praktykę! Tam słowo stało się ciałem!

Pomiędzy Lozanną a Villeneuve, gdy obaczysz samotne zamczysko przy szosie, zdające się tonąć w jeziorze Lemana, wstąp do owej rudery. Jest to bowiem starożytne więzienie stanu, zwane Chillon, zbudowane dla myślicieli, a sięgające czasów książąt sabaudzkich, z epoki XIII. wieku.

Boniward, jeden z tych niezłomnych i gorliwych apostołów, którzy wśród zadawanych im katuszy nauczali wolności, włókł szare pasmo żywota w tem strasznem więzieniu, mającym ciemnice wykute w skale pod wodą; a wiekopomne imię jego dotąd blaskiem swoim zapelnia te lochy.

Boniward był przyjacielem Bertheliego i rzekł pewnego razu do swego przyjaciela, iż dla oswobodzenia ojczyzny gotów jest poświęcić wolność osobistą; a Berthelier odpowiedział, że ofiarowałby dla niej życie.

I obydwaj przez jakiś dziwny fatalizm przepowiedzieli losy swoje.

Berthelier powiedziony na placu wyspy w Genewie na szafot i zmuszany pod pręgierzem o błaganie przebaczenia u księcia pana, zawołał:

— Niechaj zbrodniarze błagają przebaczenia, nie zaś poczciwi ludzie! Niech książę prosi Boga o przebaczenie za to, że mię zamordował! —

I wymówiwszy te słowa, złożył na pniu katowskim pod toporem głowę.

Boniwarda tymczasem opasano żelazną obróżą i na łańcuchu przykuto do słupa w sklepieniu zamku Chillon, gdzie przepędził lat sześć, długich jak sześć wieków, pożerany myślą, że okropna jego niewola nie przyda się może na nic ujarzmionej ojczyźnie, że z prochów jego może nie powstaną mściciele, i że Genewa, jako i on sam, skazani zostali na wieczne kajdany.

Boniward utracił w kaźni dużo krwi i kęsów ciała. Ciemność otaczała go do koła — lita jak skała. Ciemność ta zdawała się poruszać, lecieć gdzieś w nieskończoność — ale on był przytwierdzony przez sześć lat do jednego miejsca, i stracił w głuchem ciemności milczeniu różnicę pół roku i doby dnia. Słyszał jednostajne uderzenie fal o ściany

jego pieczary, a opuściła go nadzieja oglądania kiedykolwiek słońca i boskiej przyrody.

Znikły ślady jego piękności męskiej, pozostały tylko zakłęsłe rysy wynędzniałej i nabrzęklej twarzy, której cera stała się podobną do ziemi.

Przebóg! sześć lat takich tortur. Szczęściem, że myśl nie zabiła materji, ani materja myśli w tym męczenniku za wolność! Że umysłu jego nie zwichnęły cierpienia i walka wewnętrzna. Żaden bowiem z oprawców, począwszy od sabaudzkiego księcia, nie dosłyszał nigdy żadnej skargi, żadnego narzekania ani jęku z piersi bohatera. Zdawało się, że ofiara chciała zemścić się milczeniem za męki, których nie mogła pomścić mieczem.

Boniward rachował sekundy swojej czarnej wieczności, które mijały już dla niego bez wyrazu, jak procesja idących mar z żałobnymi kapturami na obliczach, gdy pewnego razy słyszy niezwykły zgiełk i brzęk u drzwi ciemnicy. Odsuwają nagle zapory, ukazują się pochodnie i wpada lud, wołając:

— Boniwarze! jesteś wolny!

— A Genewa?

— I Genewa wolna! —

Od tej pory więzienie tego męża zamieniło się na świątynię, a słup z łańcuchami na ołtarz. Każdy miłujący wolność, nie pomija jej i posyła ztamtąd westchnienia najczystszej modlitwy.

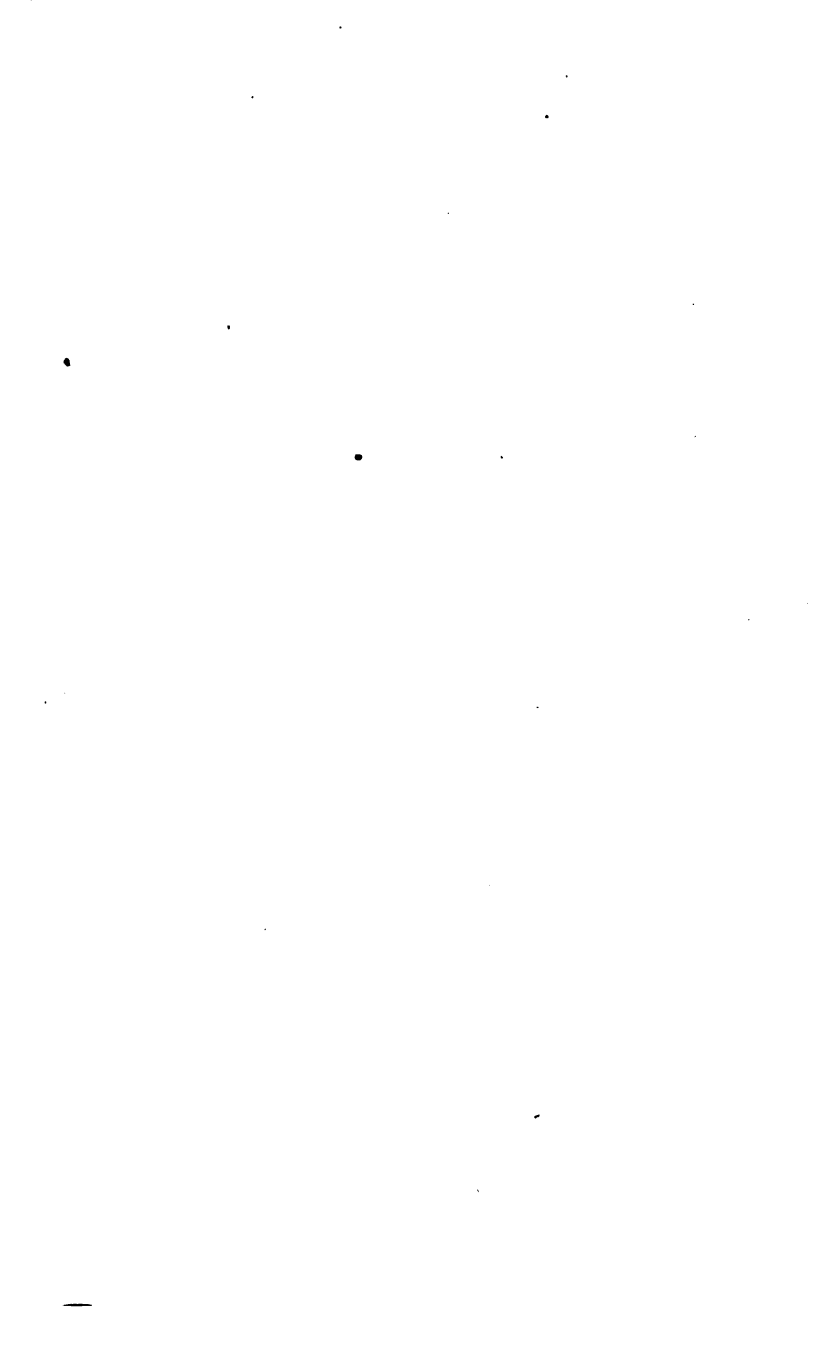
Działo się to w roku 1816, gdy podczas jednej z tych pięknych księżycowych nocy, które Stwórca tak hojnie uposażył Szwajcarję, przesuwała się na stalowem wód zwierciadle jeziora mała barka, rzucając długi cień za sobą. Gdy się więc zbliżyła do szarych, posępnych murów zamku Chillon, stanęła cichaczem u brzegu, i wysiadł z niej urodziwy, z bladą twarzą mężczyzna, z przenikliwym spojrzeniem i wyniosłą postacią, owiniętą w czarny płaszcz po kostki.

Pomimo to dostreżono, że nieznaný podróżnik kulął trochę na jedną nogę.

Zażądał od dozorca pokazania mu kaźni Boniwarda. Wszedłszy tam, pozostał w niej samotny przez czas długi — a gdy się oddalił, odkryto na słupie, do którego był przybity Boniward, obok nazwiska skazanego, wykute drugie nazwisko: B y r o n.



PODRÓŻ NA GORĘ Ś. BERNARDA.



XXI.

Jak pszczołka topiąc żądło i życie z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie.

Powróciwszy z przechadzki do domu, zastałem na stole list pod moim adresem. Łamię pieczętkę i czytam:

„Góralu! jeżeliś jeszcze karku nie skręcił, wracając w dół koziołka, to odpisuj jak najprędzej, czy chcesz mi towarzyszyć do Włoch. Czekam na Ciebie, a w najgorszym razie na list Twój, w monasterze ś. Bernarda.“
Twój S***

Tak więc mój szanowny przyjaciel, z którym rozstałem się był w Genewie przed tygodniem, stał już po nad moją głową o kilka tysięcy stóp wysokości, i o włos nie rozmawiał z błogosławionymi w niebiosach, gdy ja, ziemski żak, pełzałem jeszcze na nizinach.

Dalej więc w góry! Młodości . . . orla twych lotów potęga!

Dojeżdżam tedy do Martigni, położonego u stóp wielkich Alp, a ztamtąd puszczam się piechotą, sam jeden, bez przygotowania, mając tylko mapkę przy sobie za cały drogowskaz, puszczam się pomiędzy przepaście i gardziele skalne, gdzie tylko sępy nocują, gdzie tylko odważni górale koczują.

Gdzie się obrócisz, góry! gdzie spojrzysz, góry! wszędzie góry, szpice, piki, te z lesistą czarną czupryną, tamte po nad niemi porozrywane, odarte i nagie jak szkielety, a tamte, co najwyżej się piętrzą, w białe peruki i śnieżne szaty nie-

winności przybrane. Niebo zaś wśród tych gór i wąwozów jest w wielu miejscach małe, wyglądające jak błękitny fular zawieszony na stropach.

A wszystkie wiją się, snują w rozmaite zygzaki, esy, przeplatane zapadłemi dolinami, na których ruszają się drobni ludzie, małe Liliputki, podobne do dwunożnych robaczków, lub gdzie spadają rozstukane z gradem kamieni potoki.

Żegnam was, rozległe płaszczyzny, łąki i równiny, a najbardziej żegnam ciebie, droga, ukochana niwo o złotych kłosach pszenicy, na której niegdyś dla mnie w piękne wiosny ranki dziki zaturkał gołąbek i zadzwonił skowronek.

Przedemną nowy świat! oryginalny krajobraz, sterczący poważnie w swoich najdziwaczniejszych kształtach, a w całkiem świeżym kolorycie; za mną zaś wspomnienia, tylko wspomnienia . . .

Postępujemy naprzód śmiało w tę zaczarowaną krainę! Wszak w tych szczelinach muszą być kuźnie Cyklopów, a w owych kępach leśnych przesiadują Fauny!

A oto i droga na urwiskach skał wykuta, nad którą pracowali nie ludzie, ale chyba Tytani; a z jednej jej strony bezdenne przepaść, czarna jak otchłań piekielna. Rozbijające się w niej z rykiem spienione wody, przygrywiają coś na dziko smętną nutę, niby potężny organ na smętarzu strat ludzkich, a cała przyroda stoi uroczysta jak kościół!

Zaledwieś wyszedł na grzbiet pierwszej góry, ruchome chmurki kąpią się w powietrzu, tuląc się do skał u nóg twoich. Przez ich rozpory widzisz znowu na dole świat roślinności, i chaty i młyny nad ruczajem, i pasterkę ze stadem kóz, i kościółek na błoni, którego dzwon roznosi echo pomiędzy fałdy górskie.

Nareszcie i to tracisz z oczu, a natomiast przedstawiają ci się różnorodne, powykrzywiane i zębate, nożycami natury wystrzygane masy, jakoby niezmierne skamieniałe księgi historii tworzenia się globu.

Cienkie warstwy czarne, regularnie ułożone jedna na drugiej, składają tom tej historii. Na nim, jak na fundamencie, jak na zasadzie zasad, piętrzą się dalsze tomy brunatnej, czerwonej, szarej barwy — cała biblioteka dla geologów.

A na każdej księdze wryty wulkaniczny napis: Bóg rzekł: „Stań się!” i stało się.

O! te drżące skały, to ocean wrażeń... a ile takich wrażeń, tyle krynicznych strumieni dla orzeźwienia ducha, strudzonego ciszącą go skorupą.

Wśród takich to skał, przypatrujących się wzajemnie sobie w wiekiustem milczeniu, spotykam górala z osiełkiem, który poleca mi swego długouszatego. Siadam więc na niego i pnę się coraz wyżej po wężowatym szlaku.

— Dla czego — zapytałem — owe zwierzątko Jezusowe trzyma się samego brzegu drogi, krańca przepaści, mogąc maszerować środkiem?

— Ba!... ma ono swój rozum. Będąc zwykle obładowane jukami, które przenosi do Włoch, boi się, aby trąceniem o przeciwną skałę nie straciło równowagi i żeby tam na dnie nie zrobił się z niego placek. —

Przymrużyłem oczy.

— Poczciwy osiełek boży! Ale czy nie oberwie się on przypadkiem ze mną i nie polecimy obaj do licha, na ciasto do owych plachów.

— O! to się rzadko trafia. Osieł zawsze stąpa po jednym miejscu. —

Spojrzałem na mówcę z ukosa; nie wiele mi dodał otuchy.

— A dla czego on patrzy w przepaść z wyciągniętą szyją, zamiast pilnować drogi?

— Bo to ośli zwyczaj, proszę pana. Jego bystry wzrok potrzebuje przestrzeni... to nie tak jak my ludzie! —

Nie upłynęła minuta, gdy mój alpejski pegaz chciał wyraźnie zażartować ze mnie: pochylił się i zaczął łbem czegoś szukać w rozpadlinach ściany przepaścistej.

Zeskoczyłem na drugą stronę z przerażenia.

— Voilà un farceur!

— To nic... to nic!... on tylko zwietrzył oset, który bardzo lubi...

— A niech go tam!...

I postąpiwszy naprzód, dałem sobie słowo, że póki

życia, nie będę dowierzał zwyczajom i obyczajom osłów, żadnej narodowości.

— I to tak pan nie lęka się biedz samotnie w góry?

— Jak widzisz, mój przyjacielu!

— A pańskie rzeczy? . . .

— Mam z sobą świeży kołnierzyk w pugilaresie.

— Bon courage!

— Adieu, mon ami! —

Miał słusność ów przewodnik życzyć mi dobrego kurażu, lecz ja przy całej młodości, przy odwadze i chęci doświadczenia nieznanymi wrażeń i miłych zawsze niespodzianek, byłem nieroztropnym, więcej jak nieroztropnym, puszczając się o własnych siłach w nową dla mnie okolicę zakrętów alpejskich.

Powietrze stawało się coraz chłodniejsze, tam i owdzie gnuśne pokłady śniegu zwiastowały już krainę lodową. Przed kilku godzinami jeszcze była pora jesienna, pokryta zielonością ziemia; teraz nastąpiła zima ze swoją nagłą zmianą temperatury. Za każdym przystankiem, gdy obcierałem pot utrudzenia z czoła, ostry wiatr przenikał mię na wskrós.

Bory sosien i buków, pastwiska i wioski, rozrzucone jak gniazda orle na skałach, wszystko zostało podemną.

Nareszcie wieczór się zbliżył i widziałem tylko w pochodzie fantastyczną w swych gustach przyrodę, która wraz z niebem szarą się płachtą okryła.

Znikła mi droga z przed oczu, począłem grzęznąć i zapadać się w śniegu, i słyszałem tylko szum z warkiem toczącego się po kamieniach opodał w głębinie strumienia.

Szaro, szaro i wszędzie szaro! Może przyjdzie zginąć w górach i być pogrzebanym — bez księdza, za całun mając lawinę. Ale przynajmniej umrę poetycznie. Alpy moim grobowcem!

Cokolwiek bądź, trwoga i zwątpienie zaczęły się cisnąć powoli do duszy. Umierać jeszcze zawczasie! Krzyknąłem więc wielkim głosem kilka razy, w nadziei, że mię ktoś usłyszy i przyjdzie z pomocą.

♣ Próżne wołanie! Głos tonął w puszystym śniegu.

Spocząwszy trochę, klekocząc zębami z przestudzenia, wyteżam ostatnie siły i kierując się brzegiem wąwozu, podążam na chybi trafi. Po półgodzinnym marszu słyszę wreszcie psa szczekanie.

Westchnąłem na myśl, że jestem w bliskości osady ludzkiej — ciężar spadł z serca. Spocząłem znowu chwilkę i już przedłużać wśród nocy ciężkie wniebowstąpienie!

Nie zadługo ujrzałem parę mgłych światełek i — ocalałem!

Potrzeba ciepłego pokarmu i ciepłego łóżka coraz bardziej czuć mi się dawała. Chwiejącym krokiem wszedłem do wsi św. Piotra (St. Pierre), o ile sobie przypominam, gdzie już wszelka droga się kończy, a zkaąd prowadzi do św. Bernarda tylko ścieżka, przyczepiona jak tasiemka do gór i pagórków. Tak więc zrobiwszy tego dnia z Martigni cztery mile na nogach, ugłędałem porządnego domu na spoczynek.

Przed drzwiami jednego z takich siedział na tylnych łapach wiernis, zapewne ten sam, co mię z nieszczęścia wybawił, a który powstał na me powitanie, spojrział mi w twarz lśnącymi oczyma i kiwając ogonem, zaprowadził do gospody.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! —

Domowa czeladka otoczyła mię do koła.

— Pan jesteś katolik? — zapytał staruszek.

— Polak i katolik rzymski — odpowiedziałem.

— Katolik! katolik! katolik! — wołały dzieci radośnie, a uprzejma gosposia, wierna przodków wierze katolickiego kantonu Valais, postawiła mi krzesło przy szerokim kominie, do którego przyrzuciła na ognisko szczepek.

Nad kominem u sufitu wisiały szynki, kiełbasy, dziczyzna i różne wędliny. Spojrzałem tam mimowolnie. Domyślna gospodyni zastawiła też kolację, racząc wszystkim co miała najlepszego w chałupie.

Tymczasem jej córka pobiegła, aby przygotować dla mnie pokoik. Spieszyła się, jak mówiła, z powrotem, żeby mieć czas pomówienia z gościem. Matka jej była kretenką nieboga, to jest miała na szyi ogromny narost, któremu to defektowi podlega znaczna część mieszkańców rodzinnego

jej kantonu. Mówiła, że gdy czternaście lat miała, jeszcze nie można było poznać, czy będzie kretenką.

— Proszę mi zawołać doświadczonego przewodnika! — rzekłem w końcu do dziewczyny. —

I wysokiego wzrostu, wysmukły góral zjawił się za chwilę.

— Jutro do manasteru! — zawołałem. — Zechcicie tu wstąpić po mnie koło południa. —

Uśmiechnął się trochę ironicznie góral i wytłómaczył mi, że aby się nie zapadać co moment w śniegu, trzeba wstać raniej, żeby podróż odbyć o mrozie, nim słońce zejdzie. Objął przytem, iż słońce w śnieżnicach alpejskich szkodzi oczom i wnet opali do czarności delikatną twarz cudzoziemca.

— Trzeba ztąd wyruszyć — dodał — najpóźniej o godzinie czwartej po północy, aby zrobić dwie mile drogi.

— Tylko rozumie się piechotą! tylko bez żadnego osła ani muła! —

Góral się znowu ironicznie uśmiechnął.

— Daj Boże! — rzecze na odchodnym — żaby nie było wiatru i żebyśmy mogli sami się tam przekopać. W złą porę pan się wybrałeś! —

Snać był to przewodnik punktualny, jak zegar budzieli, gdyż nazajutrz o godzinie czwartej stał już mi nad głową, potrząsając kamaszami, przeznaczonemi dla nóg moich.

Jakkolwiek mocno zakatarzony, ubrałem się na prędce, zarzuciłem na się paletot kauczukowy, na podwórzu wzięłem z rąk przewodnika tykę okutą na końcu żelazem i puściliśmy się w drogę. Pogoda sprzyjała.

Na ulicy stało dwóch obrzydłych kretenów, rozmawiających z młodym chłopcem.

— C'est un Anglais sans doute! — krzyknął jeden i przyłączył się do nas — z amatorstwa.

Opowiadali oni, mijając St. Pierre, jakoby o jakim podaniu homerycznym, że około tej wsi armja francuska zrobiła swój ostatni etap, nim przeprowała się z Napoleonem na górę św. Bernarda, po za którą oczekiwały ją płaszczyzny Marengo. Byliby nawet pokazali miejsca, gdzie obozowała piechota, gdzie konnica i gdzie artylerja, której żołnierze przenosili

działa zdjęte z lawety i przyczepione do drągów, na własnych ramionach, luzując się co kilkadziesiąt kroków; lecz miejsca te pogrążały się jeszcze w ciemności.

Ów świat górzysty, po nocnym wypoczynku, wywarł na mnie z nadejściem bladej jutrztenki wrażenie dziwnie uroczyste i błogie, uczucie wewnętrznego pokoju, jakiejś niewymownej pociechy. Nigdy przedtem nie czułem się być tak bliskim Boga! Jego wszechmocność napełniła me jestestwo, duch mój nieśmiertelny rozwinął skrzydła.

Wprawdzie wyobraźnia wystawiała sobie poprzednio owe góry wspanialsze jeszcze, niż są w istocie, z kąd możnaby sięgnąć po którą gwiazdę, lecz jest to skutkiem nienasyconej żądzy człowieka; a powtóre, że wszystkie przedmioty, skoro się na nie patrzy, maleją w obec nieskończoności przyrody.

W wyobraźni zaś przedstawiają się one oddzielnie, same przez się, w oderwaniu, i to im dodaje iluzorycznej wielkości.

Pomimo to poglądałem niemy, ze zdumieniem na owe dzieła stworzenia, na owe łańcuchy piętrzących się gór, których uląkł się Hannibal.

Proszę sobie wystawić coś nadzwyczajnego!... Na przykład, że zwinęła się nagle zasłona i że naraz widzi się człowiek taki malutki wśród tych ogromnych rzeczy, wśród tej magicznej sceny natury, jak czarny punkcik zawieszony w przestrzeni.

W istocie, owa świetna panorama, gdzie tylko oko mogło dosięgnąć, składała się z mas ostrokończastych, jednych od drugich wyższych, otoczonych morzem lodów, a w których imaginacja znajdowała podobieństwo do różnych mitologicznych lub urojonych przez się postaci, do rodziny olbrzymów starej ballady.

Młody przewodnik z amatorstwa urozmaicał nam ten dziki, a imponujący obraz martwej przyrody, włączając na wyżyny o kilkaset stóp wysokości i ześlizgując się szybko po równi pochyłej, ciągnąc za sobą tykę służącą mu za podporę — jedynie dla popisania się ze swą gimnastyką.

Tak pnąc się po wąziutkiej ścieżce, jak skoczki na linie, przybyliśmy na górę.

— Dom! — zawołałem ucieszony, nie widząc już od pary godzin ludzkiej zagrody.

— To tylko trupiarnia! — odrzekł poważnie starszy z przewodników.

— Lecz kilka osób pokazuje się z trupiarni!

— Są to właśnie ojcowie, co wyszli na przechadzkę z monasteru św. Bernarda. Czy się pan przyłączy do nich, lub każe mi się doprowadzić do samego klasztoru?

— Bóg zapłać, mój bracie! — rzekłem, wsuwając mu pięciofrankówkę do ręki, a sam zbliżyłem się do księży.

SPOCZYNEK W MONASTERZE.



XXII.

Finis coronat opus.

Siedmiu zakonników w czarnych sutanach, przyodzianych w płaszcze, prawie wszyscy młodzi ludzie, składali kawalkatę. Przyzwyczajeni do cudzoziemców, zawiązali zaraz ze mną żywą rozmowę. Pierwsze me zapytanie było o kolegę.

— Pan S*** — odpowie jeden z nich — znudził się u nas w klasztorze i czeka pana z drugiej strony góry, w mieście Aost, gdzie mu jest jasno i zielono — słowem, we Włoszech. Tam nie tak, jak u nas! —

Zasmuciło mię trochę rozminięcie się z tym bałamutem. Ale nie mogłem wynaleźć lekarstwa, coby go uleczyło z nieotrzymywania słowa; postanowiłem zatem odpłacić mu przy sposobności figlem za figiel.

Tymczasem kawalkata nasza rozwijała się do pochodu, mając postępować gęsim krokiem, to jest jeden za drugim. Ale i góral, przewodnik, należący do służby klasztornej, a odbywający codziennie swe kursa, w celu odszukiwania zabłąkanych, ukazuje się z trupiarni; a za nim idą dwa ogromne białe psy, rasy hiszpańskiej, z żółto-kasztanowatemi łatami, o szerokich łapach i długich włosatych uszach.

Zatrzymałem się na ich widok i pogłaskałem jednego.

— Ładny pies! poczciwy pies! mądry pies! przyszła mucha do psiego ucha, i t. d.

Brytan ani się ruszył, słuchając z uwagą, jakby rozumiał że o nim mowa, nieznanym mu językiem, a przychylna.

— A czy te słynne brysie rzeczywiście posiadają taki węg, iż odkopują zwłoki zasypane przez lawinę?

— Jest to nieco ufryzowane przez wojażerów i malarzy — odpowiedziano — wszelakoż przyznać trzeba, że są one najlepszymi przewodnikami na świecie. —

I w rzeczy samej ruszyły one naprzód do swego obowiązku, za nimi postępował góral, potem ja, a dalej sznur Augustjanów.

Z początku zaledwie ślad stóp ludzkich było znać na śniegu, później kierowaliśmy się tylko po kawałkach drzewa, utkwionych co kilkanaście kroków, lecz w wielu miejscach i te wiatr powywracał i zagrzebał; gdy psy szły zawsze niemylnie, taż samą, znaną im drogą. Zstępowały z niej tylko wtedy, gdy im się igrać, kąsać i skakać zachciało; ale na świst górala stawały natychmiast jeden za drugim, jak wyćwiczeni na komendę żołnierze.

Na szczęście droga już nie była długa, ale przed samym monasterem tak fatygująca z powodu swego prostopadłego prawie kierunku, że pot płynął mi z czoła strumieniem.

Obaczył to góral, dobył flaszę obszytą w skórę i nalał mi wina do ust — a potem kazawszy się trzymać swojego pasa, ciągnął mię za sobą pod górę.

Ujrzałem dopiero klasztor, skoro już znalazłem się tuż około niego. Otaczał go wał śnieżny, odgrzebany od murów, lecz tę ostatnią zaporę przebyliśmy z łatwością.

Klasztor, nie ozdobiony żadną wieżą ani kopułą, wyglądał na pierwszy rzut oka, jako szpital lub koszary, pod posępnem, utrudzającym wzrok, ciężkiem ołowianem niebem.

Weszliśmy na obszerny korytarz, do którego drzwi stoją otworem we dnie i w nocie dla każdego potrzebującego przytułku, który w tej pustyni, wyniesionej o siedem tysięcy dwieście stóp nad poziom, ocala często życie.

Zakonnicy rozeszli się po celach, a zjawił się na ich miejsce ksiądz w złotych okularach, w wysokim na głowie kołpaku w kształcie piramidy ściętej, zagajonej u wierzchu czarnym do koła pióropuszem, oznaką doktora teologii.

Był to przeor klasztoru OO. Augustjanów; przypominał on strojem arcykapłanów starożytnej Niniwy.

Uprzejmy przeor wprowadził mię do refektarza, który wcale nie odpowiadał wyobrażeniu o surowości, jakie zwykle mamy o zwyczajach mnichów. Refektarzem był salon gustownie urządzone, bez żadnej rozpiętej męki Pańskiej, ani czarnych krzyży na ścianach i dębowych ławic; lecz przeciwnie, wisiało tam wiele pięknych rycin, a w kącie stał nawet machoniowy fortepian.

Raptem tedy wkroczyłem ze zdumieniem z Syberji do cywilizowanej Europy, południowej do tego Europy, gdyż w salonie na mą pociechę dosyć było ciepło. Przyniesiono też zaraz filiżankę gorącego buljonu, który, rozumie się, był wyśmienity.

Cela gościnną, gdzie zamieszkałem, podobna do innych tego rodzaju cel, nie różniła się w niczem od owych umeblowanych kawalerskich pokojów, tak znanych naszej emigracji w Quartier Latin w Paryżu, lub na Batigniolach. Dano mi szlafroczek, ogień furkał zalotnie na niskim kominku. Ach! jakże rokosznie zasnąłem!

Nie obudziłem się, aż gdy zawiadomiono, że objad gotowy. W refektarzu zebrali się już byli wszyscy księża, w liczbie dziewięciu. Z gości zaś, którymi często w lecie monaster jest przepełniony, pod tę porę nikogo oprócz mnie nie było. Rozmowę przy stole prowadzono światową, wesołą i interesującą; wino było nie złe i potrawy dość smaczne.

Dowiedziałem się, że zakonnicy zmieniają się w monasterze, z powodu ostrego klimatu, w którym człowiek dłużej nad lat dziesięć żyć nie może; że widok okolicy klasztornej, nawet w miesiącu lipcu, gdy śnieg stopnieje, jest przykry i ponury, wegetacja karłowata, od której ucieka zablakana ptaszyna, a woda w jeziorze zbyt zimna dla przechowania ryby.

Człowiek tylko i pies zamieszkał tę martwą okolicę blisko szczytu góry.

Od czasu założenia monasteru czterdziestu kilku kanoników przełożonych już się tam zmieniło, a reguła ich i gościnnność zawsze jest ta sama.

Pokazywano mi przez okno piętrowy dom, w którym po paręset robotników, przechodzących Alpy, znajduje bezpłatne schronienie. Koszta są pokrywane z kwesty i z darów rzuconych do skarboxy, wiszącej przy drzwiach kaplicy, przez możne osoby, zwiedzające klasztor.

Po obiedzie zostawiono w refektarzu jednego z młodych zakonników, który mię zajmował swą miłą gawędką aż do wieczora. Znał on tak dobrze historję polską, a szczególnie panowanie Sobieskiego, o którym z dumą, jako o obrońcy Chrześcianizmu, wspominał, iż zapytałem go, czy nie jest mym ziomkiem?

— Nie! — odpowie — ale to wszystko jedno, bo jestem Francuzem, a w długich godzinach na pustelni zajmuję się z przyjemnością czytaniem dziejów, zarówno nas obchodzących. —

Potem oglądaliśmy księgę wizytową.

Nazajutrz chciałem pożegnać poczciwych księży. Przeor wyszedł ze mną na dwór, podniósł rękę do góry i badał kierunek wiatru, potem ujął mię pod ramię i wprowadził napowrót do klasztoru, choć góral z tyką i psami już czekał przede drzwiami, gotowy do podróży.

Wkrótce też śnieg zaczął pruszyć i jak dobry przyjaciel poczytał sobie za obowiązek przybyć do samych okien klasztoru, aby nas ostrzedz o niebezpieczeństwie wycieczki.

— Jako cudzoziemiec — rzecze przeor — nie znasz pan złośliwych figlów gór naszych. Puścić się teraz w drogę mimo ostrzeżenia, które niebo zsyła ziemianom, byłoby to lekceważyć znaki Opatrzności. Zostań z nami do jutra! —

Poszedłem tedy do mej celi.

Samotność, ów stary monaster ze swą kostnicą, zacementy między ziemią i niebiosami, zalatujący głos mnichów, śpiewających monotonna litanję w kaplicy, i poświęcenie się ich dla ludzkości wśród tej dzikiej, snem ujętej przyrody — wszystko to budziło myśli poważne i usposabiało do filozoficznych na świat poglądów, do rachunku sumienia swego żywota i do duchownych rekolekcji.

Tyle przygód! tyle zdarzeń i wypadków! w tak krótkim

czasie. A ileż jeszcze czeka ich na ciernistej drodze w namiocie życia!

A smutno i łzawo tam . . . w mazowieckiej stolicy, z kądział zgrzyt łańcuchów i dzwonki mknących ku wschodnim stepom kibitek, zanoszą echo aż na górę św. Bernarda!

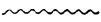

— O! jakże trudno żyć na tym świecie! —

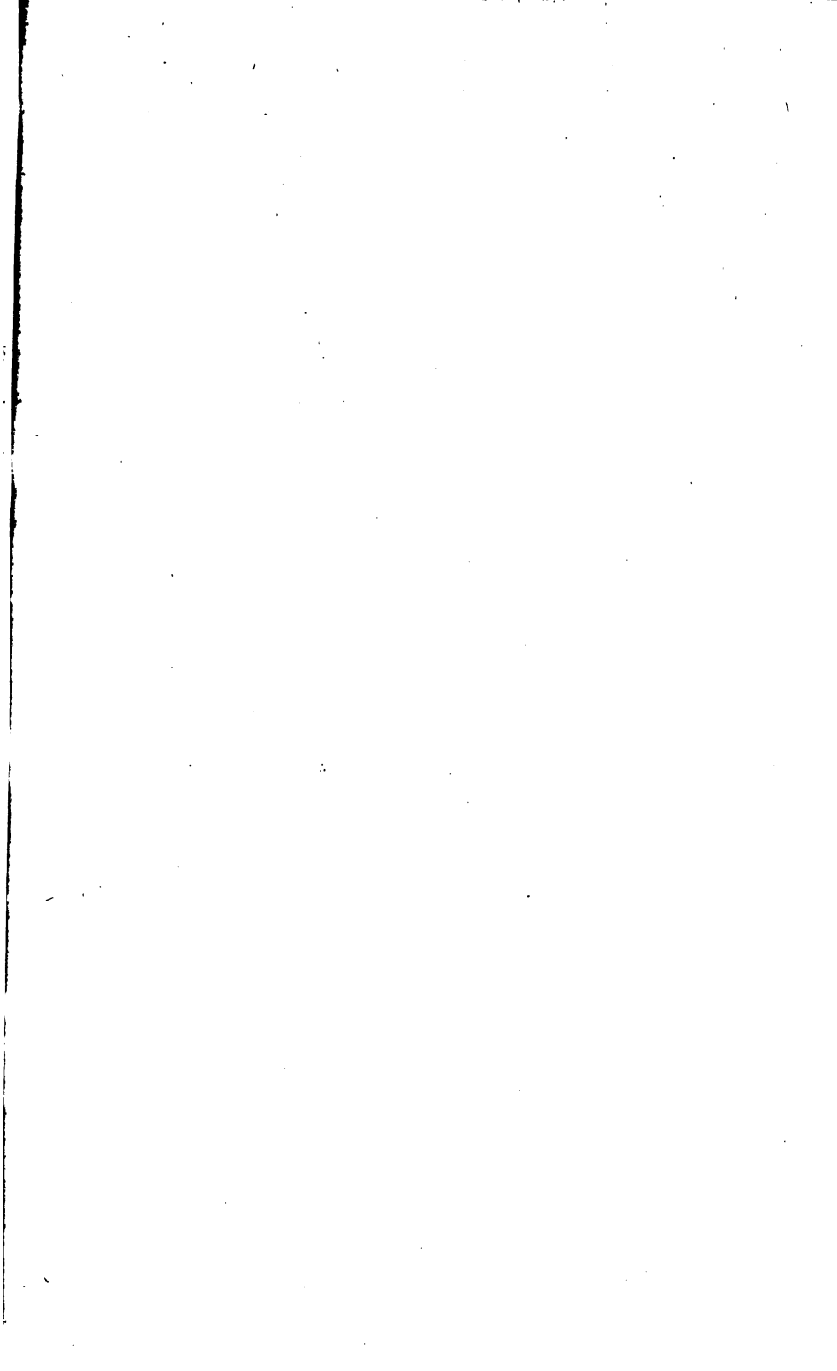
Z tym wykrzyknikiem uleciała młodość moja i poczułem, że zostałem — człowiekiem.

KONIEC.

SPIS NAJNOWSZYCH WYDAŃ DZIEŁ

J. GORDONA.

- 
1. **Obrazki caryzmu.** Pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom VI. Lipsk, 1863. Brockhaus.
 2. **Soldat.** Nowe pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIII. Lipsk, 1865. Brockhaus.
 3. **Kaukaz**, czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIV. Lipsk, 1865. Brockhaus.
 4. **Przechadzki po Ameryce.** — Berlin, 1866. Behr.
 5. **Podróż do Nowego Orleanu.** — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XLVIII. Lipsk, 1867. Brockhaus.
 6. **Obrazki galicyjskie.** — Sanok, 1869. Pollak.
 7. **Szkice i ramotki.** — Lwów, 1870. Seyfarth i Czajkowski.
 8. **Grzechy Krystyny hiszpańskiej.** Powieść historyczna. — Lwów, 1870. Richter.
 9. **Gdy się było młodym.** — Biblioteka pisarzy polskich, Tom LXIII. Lipsk, 1871. Brockhaus.
 10. **Meine Kerker in Russland** (przedruk z Wanderer'a). — Leipzig, 1863. Kollmann.
 11. **Sechs Jahre in Orenburg.** — Dresden, 1864. Wolf.
 12. **Mes Prisons, ou l'exil en Sibirie.** — Genève, 1862. Cherbulier.
 13. **Soldat** w przekładzie czeskim, z portretem autora. — W czasopiśmie ilustrowanem: „Žlata Práha“, 1864.
- 



Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku :
BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

1. **Garczyński.** Poezye.
- 2—5. **Słowacki.** Poezye. 4 tomy.
6. **Gordon.** Obrazki caryzmu.
7. **Borkowski.** Wyprawa partyzancka 1833 r.
- 8—12. **Mickiewicz.** Pisma. Tom. I—V.
- 13—20. **Czajkowski.** Pisma. Tom. I—VIII.
Tom I. Wernyhora. — II. Kirdżali. — III. Powieści Kozackie i Gawędy.
 — IV. Owruczanin. — V. Stefan Czarniecki. — VI. Hetman Ukrainy. —
 VII. Koszowata i Ukraiński. — VIII. Anna.
21. **Norwid.** Poezye.
22. **Siemieński.** Poezye.
- 23—25. **Kraśniński.** Poezye. 3 tomy.
26. **Gosiński.** Poezye.
27. **Zienkiewicz.** Wieczory Lacha z Lachów.
- 28—31. **Zienkiewicz.** Wizerunki polityczne. 4 tomy.
Tom I. Alcyata. Rzecz o rozumie stanu. — II. Polska w kraju i za
 granicą od 1831 do 1848 r. — III. Rewolucyoniści i stronictwa wsteczne.
 — IV. Polska w kraju w 1848. r.
32. **Czajkowski.** Pisma. Tom IX. Dziwne życia Polaków i
 Polek. Dzieło po pierwszy raz wydane.
33. **Gordon.** Szołdat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku.
34. **Gordon.** Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla.
35. **Heltman.** Demokracja polska na emigracyi.
36. **Zmorski.** Poezye.
37. **Hoffmannowa.** Jan Kochanowski w Czarnolesiu.
38. 39. **Witwicki.** Wieczory pielgrzyma. 2 tomy.
40. 41. **Giller.** Podróż więźnia etapami do Syberyi w r. 1854. 2 tomy.
42. 43. **Ujejski.** Poezje. 2 tomy.
44. **Jasieńczyk.** Dziesięć lat niewoli moskiewskiej.
- 45—47. **Giller.** Opisanie krainy zabajkalskiej. 3 tomy.
48. **Gordon.** Podróż do Nowego Orleanu.
49. **Zacharjasiewicz.** Na kresach. Powieść.
50. 51. **Zienkiewicz.** Wizerunki polityczne literatury polskiej. 2 t.
52. **Gaszyński.** Poezje.
53. **Soplica.** Pamiętki.
54. **Niemcewicz.** Pamiętniki czasów moich.
- 55—58. **Chojecki.** Alkhadar. 4 tomy.
59. **Mickiewicz.** Pisma. Tom. VI. Pisma pośmiertne.
60. 61. **Goszczyński.** Poezye. 2 tomy.
62. **Olizar.** Pamiętniki.

8°. Cena każdego tomu 1 Tal., opr. w płótno angielskie z tytułem złożonym 1 Tal. 10 Ngr.

- Lutnia.** Piosennik polski. Wydanie drugie. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
 ———. Zbiór drugi. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
Kraśniński. Przedświt. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
Malczewski. Marja, powieść ukraińska. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
Mickiewicz. Ballady i romanse. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
 ———. Farys i Grażyna. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
 ———. Konrad Wallenrod. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
Poezje obłąkanego. 20 Ngr., opr. 1 Tal.
Słowacki. Zmija, romans poetyczny. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
Zaleski. Duch od stepu. 10 Ngr., opr. 17½ Ngr.
Tecza. Zbiór poezyi. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
Z Wiosny. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
Lacha z Lachów malowniczy podarek ludowy. Wyd. drugie. 5 Ngr.

